

Vicki Baum

Marion i mężczyźni

## ROZDZIAŁ I

Krzysztof utrzymywał zawsze, że lodowiec na Grauhornie można by przejść w rannych pantoflach, a wycieczkę tę zwykł nazywać przechadzką. Był to ten rodzaj lodowca, na który przewodnik prowadzi niewprawnych turystów, by mieli się czym pochwalić po powrocie do domu: maksimum wrażeń przy minimum niebezpieczeństwa.

Gdy ścieżka dosięgła szczytu Keesu, Marion przystanąła, by spojrzeć na lodowiec. Przyjemność wspinania się zatarła w niej niemal przykre uczucie zawodu. Trudno mając czterdzieści pięć lat doścignąć kogoś, kto ma trzydzieści, pomyślała usprawiedliwiając się sama przed sobą. Krzysztof chodził po górach tak wolno, że wydawało się to prawie śmieszne; tymczasem prześcigał każdego, pokonując swym niewymuszonym, lekkim krokiem wszelkie przeszkody i trudne przejścia, jakby nie istniały wcale.

Nie ma nigdzie tak głębokiej ciszy jak cisza w górach. Marion z niepokojem spojrzała na zegarek. Była trzecia dziesięć. Otarła spoconą twarz i wsłuchała się w swój ciężki ze zmęczenia oddech. U jej stóp, jak szklana rzeka, rozciągał się lodowiec, łagodnym łukiem obejmując ciężki zwał Grauhornu. Gdy oczy Marion przywykły do silnego odbłasku słońca na zwalach lodu, odkryła poruszający się powoli w błękitnym cieniu mały punkcik. Krzysztof, mój drogi Krzysztof, radośnie przemknęło jej przez myśl. Nabrała głęboko tchu i spróbowała zajodlować. Była to jednak sztuka, której nie mogła sobie przyswoić. Wyteńczywszy wzrok, odkryła na lodowcu jeszcze jedną postać, a potem trzy inne, posuwające się prawdopodobnie wzdłuż umocowanej do zbocza liny. Teraz Marion musiała zejść ze ścieżki na dół, stromym zboczem prosto na lodowiec. Zbliżywszy się do pasma lodu poczuła nagłe oziębienie powietrza i zatrzymała się, by wciągnąć kurtkę i posmarować twarz dla ochrony

przed poparzeniem przez słońce. Z niecierpliwością myślała o chwili, gdy stanie po przeciwległej stronie. Nie lękała się wprawdzie przeprawy przez lodowiec, niemniej jednak wolałaby ją odbyć w towarzystwie Krzysztofa. Pierwszy odcinek drogi, nurzający się w cieniu Keesu, był istotnie bardzo łatwy do przebycia. Zanim opuściła tę szeroką smugę cienia, padającą od górskiego szczytu, zdjęła plecak, by wyjąć z niego okulary słoneczne. Nie znalazła ich i dopiero wtedy przypomniała sobie, że zostawiła je na balkonie, gdzie opalała się po raz pierwszy w tym sezonie.

- Masz ci los! - wykrzyknęła, bo było to prawdziwe nieszczęście.

Spojrzała na oślepiającą płaszczyznę lodu. Ech, głupstwo, pomyślała, najwyżej dwadzieścia minut niewygody. Opuściła na oczy kresę starego filcowego kapelusza i odważnie ruszyła przed siebie w olśniewający blask. Posuwała się bardzo powoli, ostrożnie utrzymując równowagę na krawędziach nie szerszych chwilami od podeszew jej butów. Bardzo lubiła swoje stare podkute buty i była pewna, że przy ich pomocy zdoła bezpiecznie dostać się do Krzysztofa.

W oczach Marion, oślepionych prawie silnym, niemiłosiernym odblaskiem lodowca, niebo wydawało się granatowe, a śniegi na szczycie miały nierealną, różową barwę. Różowość ta pozostawała jej pod powiekami, nawet gdy przymykała oczy, i poczuła, że krew pulsuje w nich silnie.

Przesuwając się po ogromnym lodowym bloku Marion nabrała nagle pewności, że drobny, ciemny punkt poruszający się w oddali, musi jednak być Krzysztofem. Przysłoniwszy dłonią usta rzuciła w przestrzeń jego imię, przeciągając je szeroko. Odpowiedziało jej pięciokrotnie odbite echo. Zawołała po raz drugi. Mała postać zatrzymała się i odpowiedziała jodłowaniem, które wydało się Marion znajome. Tak, to Krzysztof, uradowała się. Poczekam tu,

wróci na pewno. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona, i że po prostu boi się sama wspinać dalej, aż do schroniska na Arli.

Czekała, krzycząc od czasu do czasu, spostrzegła jednak szybko, że Krzysztof - o ile to był on - nie zdradza bynajmniej zamiaru zawrócenia z drogi. Wobec tego Marion, westchnąwszy, ruszyła dalej.

- Mogę przecież jeszcze dogonić przewodnika i poprosić go. by mnie przeprowadził - powiedziała do siebie.

Cień Keesu rozszerzał się powoli niby plama błękitnego atramentu na arkuszu białej bibuły. Była z tego zadowolona. Blask słońca raził ją bowiem bardzo, a poza tym lód, topniejący po stronie wystawionej na działanie promieni słonecznych, mógł stanowić poważne niebezpieczeństwo.

\*

\* \* \*

Pamiętać i wiedzieć to dwie różne rzeczy, zupełnie różne. Wiemy wszyscy, co stało się w 1918 roku, które artykuły traktatu wersalskiego były błędem politycznym, jakie zarodki przyszłych nieporozumień i wojen kryły się w nim już wówczas. Ale rzeczy, które naprawdę pamiętam, to tylko drobiazgi, ułamki kolorowych szkiełek, z których nie można by złożyć nawet takiej całości jak obrazek w kalejdoskopie.

Było zimno w domach i ciemno na ulicach. Miała prawo świecić się tylko co trzecia latarnia. Ponieważ przybyli do żywienia mężczyźni, zapasów żywności było jeszcze mniej niż w czasie wojny. Miasto roiło się od okaleczonych żołnierzy, a chodnikiapełniali nędzarze, nie zebrzący już, lecz wprost domagający się wsparcia.

W 1918 roku wszyscy nienawidzili się wzajemnie. Żołnierze armii walczących na frontach nienawidzili marynarki, która zbuntowała się na samym końcu. Dawni żołnierze z pierwszych linii odnosili się z nienawiścią do tych,

którym udało się kiedyś pozostać w odwodzie. Wyższe sfery pały nienawiścią do nowego ustroju, co było rzeczą zupełnie zrozumiałą, średnia inteligencja zaś patrzyła z zawiścią na robotników, zarabiających obecnie trzy razy tyle, ile wynosiły przeciętne zarobki adwokatów czy profesorów. Robotnicy i rzemieślnicy odnosili się wrogo do wyższych warstw inteligencji za ich arogancję, wszyscy zaś razem utopiliby w łyżce wody paskarzy, napychających sobie brzuchy, rozjeżdżających się samochodami i obwieszających swoje kobiety brylantami.

Bez końca wybuchały rozruchy, strajki i walki uliczne. Ale oficjalnie mieliśmy nareszcie tak bardzo upragniony pokój.

Co do mnie, to miałam w tym czasie swój własny kłopot, ważący dwa i pół kilo, wrażliwy i nieustannie popłakujący. Michał od pierwszej niepewnej chwili swego życia był trudnym do chowania dzieckiem. Drobnym i mizernym, przetrzymał jednak wszystko z wytrwałością małych stworzeń, których instynkt koncentruje się na jednym: zachowaniu życia. Jego budowa przypominała malowidła el Greca: linie jego ciała były smukłe i wydłużone, jakbym w czasie ciąży zbyt często patrzyła na gotyk Hahnenstadtu. Stary Tillmann był jednak z niego ogromnie dumny i uważał go za niezwykle udane dziecko.

- Popatrz no na tego małego łobuza - mawiał. - Popatrz tylko, jaki on ma kształt czaszki - prawdziwie długogłowy typ nordycki.

Po raz pierwszy zetknęłam się wówczas z tym określeniem, które później w tak niemiły sposób miało zyskać prawo obywatelstwa. Stary pan spoglądał na mnie kiwając głową; był rad, że nie udało mi się popsuć szlachetnej rasy Tillmannów.

Dziwna rzecz, że ani w czasie trwania ciąży, ani później, po urodzeniu Michała, nie czułam żadnego niepokoju i przez długi czas nie przyszło mi nawet do głowy, że Michał mógłby nie być dzieckiem Kurta. Ta nieważna godzina spędzona z Manfredem Halbanem zapadła gdzieś głęboko w czerwony woreczek mojej podświadomości. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia, było odruchem dobroci i litości wobec biednego, chorego człowieka, skazanego na śmierć. Przecież z tak przelotnego związku nie mogą chyba przychodzić na świat dzieci... a może mogą?

Michał był dzieckiem nerwowym, wrażliwym i zagadkowym. Często płakał, dostawał podwyższonej temperatury, kolki lub rozstroju żołądka. Pierwsze ząbkowanie przechorował ciężko i z każdym wyrzynającym się zębkiem powtarzała się ta sama historia. Był wciąż długi, drobny i szczupły.

- No cóż, wojenne dziecko - mawiał doktor Mayer. - Ale wyrośnie z tego.

- Nic dziwnego! - wykrzykiwał dziadek. - Urodził się przecież podczas rewolucji. Nie zapominaj, że żyłaś wtedy w ciągłym strachu i stale byłaś zdenerwowana.

Elżbieta odgrzebywała w pamięci jakieś dawno zapomniane zdarzenia z dzieciństwa mego męża. On też podobno zapadał nagle na żołądek i często miewał podwyższoną temperaturę. Pokazując mi wyblakłe fotografie, oboje unosili się nad niezwykłym podobieństwem. Ja jednak nie widziałam ani cienia podobieństwa. Uważałam, że Michał jest o wiele ładniejszy i subtelniejszy niż Tillmannowie. Urodził się z puklem rudych włosów, potem był łysy jak kolano i w końcu jego główka pokryła się jedwabistym złotym puchem. Miał olbrzymie oczy z długimi, ciemnymi rzęsami - przypomniałam, sobie, że takie same rzęsy czyniły spojrzenie Manfreda tak łagodnym i błagalnym.

Przyszedłszy na świat w czasie najsilniejszego głodu, Michał w stosunku do jedzenia przejawiał wprost arogancką obojętność. Do wszystkiego potrzebował licznego audytorium. Robił przedstawienie i nie było sposobu zmusić go do jedzenia i spania, ani namówić do zabawy, jeśli nie było przy nim kogoś, kto by go podziwiał.

- On się popisuje jak aktor - zauważyła kiedyś Elżbieta. Stałam jak wryta, ze smoczkiem w ręce. Jak aktor... Chyba wtedy po raz pierwszy zaświtało mi w głowie. Michał miał siedem miesięcy. Rozważyłam sobie wszystko i pewnego dnia powzięłam decyzję.

Nie miałam zaufania do sposobu wychowania, jaki zalecał doktor Mayer. Kiedy w sierpniu Michał nabawił się kataru z temperaturą nieproporcjonalnie wysoką do błahej przyczyny, postanowiłam zacząć działać. W naszej dzielnicy było tylko dwóch dobrych pediatrów i gdybym poszła do któregoś z nich, na pewno by mnie poznał lub bez trudu doszedł, kim byłam ja i dziecko. Otuliłam tedy starannie Michała, włożyłam do wózczyka i zawiozłam do ubogiej dzielnicy, gdzie otwarto właśnie poradnię takiego typu, jaką prowadziłyśmy w Bergheim. Gdy czekałam wśród innych kobiet na twardej ławce w poczekalni i poczułam zapach spranych pieluszek, ogarnęło mnie sentymentalne wzruszenie. Była tam lekarka, niepodobna wprawdzie do doktor Susskind, ale młoda, z krótko obciętych włosami. Nazywała się Merz.

- Marion Sommer? - zapytała, rzuciwszy okiem na kartę wypisaną przez pielęgniarkę. - Nie ma imienia ojca? Aha, więc to dziecko nieślubne... Doskonale! Co mu dolega? Za mało waży, co? Nerwowy? No, nic dziwnego, wszystkie dzieci są teraz nerwowe. W jaki sposób go pani odżywia? Dobrze. Zdaje się, że wszystko w porządku. Ma troszkę kataru, ale to przecież nic wielkiego. Poza tym wygląda całkiem dobrze. Ładny chłopczyk.

Michał wpatrywał się w nią, oczarowany. Był bardzo spokojny. Prawdopodobnie wyczuwał z przyjemnością, że jest przedmiotem zainteresowania.

- Jego ojciec był chory na płuca - powiedziałam. - Miał zaawansowaną gruźlicę. Obawiam się, czy dziecko tego nie odziedziczyło...

- Ach tak... A więc nic podobnego - odparła lekarka. - Nie, gruźlica nie jest dziedziczna, przynajmniej o ile nam wiadomo. Ale na wszelki wypadek nie pozwoliłabym ojcu zbliżyć się zbyt do dziecka. Na pani miejscu sama trzymałabym się od niego z daleka. Chyba zdaje sobie pani sprawę z tego, jak bardzo ta choroba jest zaraźliwa?

- Ojciec zmarł przed przyjściem dziecka na świat.

- Naprawdę? Bardzo mi przykro... Ale może to i lepiej dla wszystkich. A zatem przepiszę pani dla synka dodatkową ilość mleka, powiedzmy pół litra dziennie, zgoda? I trzeba mu zapewnić jak najwięcej powietrza i słońca. Powinien sypiać przy otwartym oknie, nawet w zimie. To by było wszystko.

- Dziękuję, pani doktor - rzekłam, czując, że spada mi z serca ogromny kamień.

- Proszę pani - powiedziała lekarka, wypisując receptę - chciałabym obejrzeć malca co miesiąc. Zawsze lepiej mieć go pod obserwacją.

- Więc pani myśli, że mógłby jeszcze dostać gruźlicy? Pisała dalej, nie spojrzawszy nawet na mnie.

- Moje dziecko, każdy może dostać tuberculosis, tego chyba nie potrzebuję pani mówić. W tym wypadku musi pani szczególnie uważać i zachowywać się rozsądnie. Nie mógł wprawdzie odziedziczyć choroby, ale mógł odziedziczyć inklinację. Proszę, oto recepta na mleko. Proszę się nie niepokoić, wszystko będzie dobrze.

- Dziękuję, serdecznie dziękuję, pani doktor - powiedziałam.



Spojrzała na mnie jasnymi oczami.

- Nie ma za co. Ale dlaczego wy, dziewczęta, nie możecie bardziej uważać, co? Przecież wcale nie trzeba mieć dziecka z człowiekiem chorym na gruźlicę. Słyszała pani o kontroli urodzin? Ma pani, proszę sobie przeczytać tę broszurkę. Pod tym względem posuwamy się naprzód prawdziwie żółtym krokiem i właściwie nie wolno mi zalecać pani środków zapobiegawczych. A jednak...

Odeszłam stamtąd szczęśliwa, jakby mi ktoś podarował klejnoty koronne Hohenzollernów. Podniosła mnie na duchu ta rozmowa z kimś, kto mówił tym samym co ja językiem, należał do tego samego typu ludzi i był mniej więcej w tym samym wieku. Oczywiście nie było mi łatwo przyznać się do swego błędu i ta prosta rozmowa z lekarką kosztowała mnie kilka długich, nieprzespanych nocy. Jej wynik wart był jednak tego. Michał był zdrow i będę bardzo uważać, by nie zachorował jak ojciec... o ile... o ile Manfred Halban był jego ojcem.

W tej niepewności przeżyłam całe lata. Bywały okresy, kiedy wszystko zdawało się być w porządku, Michał był zdrow, zachowywał się normalnie i byłam najpewniejsza w świecie ojcostwa kapitana Tillmanna. I nagle pewnego pięknego dnia uderzał piorun z jasnego nieba. Michał zaczął chorować, robić dziwaczne rzeczy i wykazywał nierówne usposobienie naszego byłego sublokatora. W takie dni chodziłam przygnębiona, czując za to wszystko odpowiedzialność i złożąc samej sobie za to krótkotrwałe zetknięcie z pożądlivym, rozpalonym ciałem Manfreda Halbana.

Może gdyby żył mój mąż i wychowywał Michała, może wtedy mały upodobniłby się do niego i nie musiałabym błąkać się w mgłach niepewności. Ale Michał miał zaledwie cztery tygodnie, gdy doniesiono mi o śmierci kapitana. Spadło to na

mnie niebawem po pogrzebie Irmgardy, którą bez trudności zmogła grypa, i cios był tym dotkliwszy.

Od początku rewolucji nie miałam od niego wiadomości, ale nie było w tym nic dziwnego, skoro armie wycofywały się z frontu. Z niecierpliwością czekałam na jego powrót. Wyobrażałam sobie, jak najpierw usłyszę jego głos, a potem kroki w przedpokoju, i jak to będzie, gdy wróci już na zawsze. Wiedziałam, że dopiero wtedy wojna będzie dla mnie naprawdę skończona.

I oto pewnego mglistego grudniowego poranka Elżbieta wprowadziła do pokoju jakiegoś człowieka w szarym, obdartym płaszczu wojskowym. Mężczyzna ten mógł liczyć około czterdziestu lat, miał okrągłą głowę i włosy obcięte przy samej skórze. Był bardzo zakłopotany. Przedstawił się jako Otto Pulke, sierżant z kompanii kapitana Tillmanna.

Kazałam podać wino i sierżant wypił zdrowie nowego maleństwa. Po wymianie wzajemnych grzeczności odważyłam się na pytanie:

- Kiedy pan widział ostatni raz mojego męża?

Pulke zniżył głos.

- Tydzień temu, a dokładnie przed dziewięcioma dniami. Ani przez myśl mi nie przeszło, że z nim już tak źle. Pani zna kapitana Tillmanna: nie pokazywał niczego po sobie. Jaka szkoda, że zdarzyło się to właśnie takiemu człowiekowi!

- Co? - spytałam i poczułam, że marznę do szpiku kości.

- Właśnie przyszedłem, żeby to pani powiedzieć. Ale to tak trudno wyrazić. Człowiek nie wie, od czego zacząć... Pani rozumie?

- Czy... czy mój mąż nie żyje?

- O! To pani już wie?

Słowa Pulkego dobiegały do mnie jak przez tampon z waty.

- Niech pan wybaczy. Jestem jeszcze trochę osłabiona po dziecku. Dziękuję. Już mi lepiej.

Z całych sił przycisnęłam do siebie Marcina i przełknęłam wino, które Elżbieta wlała mi w usta.

- Widzi pan, zaczynam już powoli przywykać do tego - powiedziałam, dziwiąc się, dlaczego próbuję się uśmiechnąć. - W tej rodzinie wszyscy mają szczególny zwyczaj umierania hurtem. Czy może mi pan powiedzieć, jak to się stało?

- Rozkaz, pani kapitanowo!

Był widocznie uradowany, że nie zemdlałam. Zresztą ja też byłam z tego zadowolona. Kiedy zaczął swoje opowiadanie, spostrzegłam od razu, że opowiadał już o tym wiele razy i że sprawia mu to, nie rozumiem dlaczego, jakąś dziwną przyjemność.

- Widzi pani, jeszcze przed zawieszeniem broni pan kapitan dostał gorączki z dyzenterią, a może to był nawet tyfus. Nie chciał tracić czasu na pójście do szpitala, czemu nikt się nie dziwił, bo wszyscy chcieli jak najprędzej wrócić do domu. A więc wsadziliśmy go na konia i tak powlókł się z nami. Dobry Boże! Co to za drogi w tej Francji! Cośmy tam ludzi natracili podczas odwrotu! Po prostu padali do przydrożnych rowów i gnili w błocie. A lało prawie przez cały czas.

Ano przychodzimy jednego wieczora do jakiejś wioski i widzimy, że przed nami most rozwalony. Cały dzień lało jak z cebra i byliśmy przemoknięci do suchej nitki. Pogadałem z panem kapitanem i pan kapitan dał rozkaz zanocowania we wsi. Od razu było widać, że nie ma gdzie szpilki wetknąć, tak pełno było wszędzie wojska. Może lepiej byłoby iść dalej. Ale widać było, że pan kapitan i tak już długo nie pociągnie. Przez cały dzień musieliśmy go co chwilę ściągać z konia; kucał w rowie i załatwiał się szczerą krwią i wodą. Mówię tedy do kilku artylerzystów z czternastego, co tam spali w kościele,

żeby zrobili miejsce dla pana kapitana. Musiałem ich trochę nastraszyć karabinem, wtedy ścieśnili się i zostawili mi kawałek miejsca na słomie. Pewnie się dobrze poczuł, bo powiada do mnie: „Wiesz, Pulke, tu jest świetnie, stary wielbłądzie. To mnie postawi na nogi.” No i zasnął zaraz, a ja poszedłem do niedobitków z naszej kompanii. Ze stu chłopów zostało nas zaledwie dwudziestu sześciu, bez jednego oficera, z wyjątkiem pana kapitana. Ot, co za los! Wyjść cało ze wszystkich walk, żeby w końcu skonać we Francji, w jakimś biednym kościółku, i nawet mnie nie mieć przy sobie w ostatniej chwili!

Ale nazajutrz urządziliśmy mu pogrzeb jak się patrzy. Wszyscy chłopcy brali w nim udział i wszyscy go żalowali. Widzi pani kapitanowa? Narysowałem sobie taką mapkę tej miejscowości, na wszelki wypadek, gdyby pani Tillmann chciała tam kiedyś pojechać, jak wojna się skończy. To jest w takiej małej kotlinie, na północ od Vernerouge. Jest tam kilka krzyży, ale ja na krzyżu pana kapitana wyciąłem jego nazwisko. I przyniosłem pani trochę jego rzeczy, ale zostawiłem je za drzwiami. Bałem się, że pani może się wystraszyć, jak wejdem z całym kramem...

A więc to było wszystko, co mi pozostało po zakończeniu wojny: niezdarny szkic jakiejś zapadłej wioski we Francji, portfel kapitana, w którym znalazłam moje listy i fotografie, jego wojskowy rewolwer, pas oficerski i szabla. Odznaczenia i mała wdowia pensyjka. Jego ojciec staruszek, którym należało się zaopiekować, i dwoje małych dzieci.

Zrobiwszy powyższy inwentarz, jak wszyscy inni ludzie wzięłam się do pracy, raz jeszcze zaczynając wszystko od początku.

Jesienią 1919 roku Hellmuth Klappholtz powrócił z Rosji, z obozu jenieckiego. Pamiętam, jak czyniliśmy wielkie przygotowania przed jego przybyciem. Wyszorowaliśmy

moich malców, aż lśnili, i przygotowaliśmy wspaniały obiad. Chociaż dziadek ledwie się poruszał na skutek reumatyzmu i od dawna musiał zrezygnować z polowania, znalazła się w Detfurth dobra dusza, która dostarczyła nam dziczyzny. Elżbieta przyprawiła ją ziołami i korzeniami i w całym mieszkaniu pachniało pieczoną zwierzyną. Zrobiła również tort („Hellmuth miał zawsze słabość do śliwkowego tortu”), na który trzeba było całymi tygodniami oszczędzać masło i jajka. Dziadek sam czuwał nad tym, by dwie butelki burgunda miały odpowiednią temperaturę.

Nie można było wyjść po Hellmutha na dworzec, bo nie wiedzieliśmy, o której godzinie ma przyjechać. Byłam niespokojna i zdenerwowana. Ubrałam się w czarną sukienkę, na szyję włożyłam sznurek pereł, odziedziczony po Irmgardzie, i przechodząc koło lustra zauważyłam, że mój wygląd stuprocentowo pasuje do rodziny Tillmannów. Rozśmieszyło mnie to i pomyślałam: wspaniała barwa ochronna.

Rozległ się dzwonek. Usłyszałam, że Elżbieta otworzyła drzwi i zaraz potem jej słowa, którymi witała przybyłego, popłynęły wartkim nurtem niby monotonne szemranie małego ruczaju. Dziadek z trudem podniósł się ze swego fotela i wyprostowany ruszył do przedpokoju. Uznałam, że lepiej będzie nie pokazywać się na razie. Ale usłyszałam, że po kilku słowach bez związku staruszek rozplakał się, co mnie przejęło do głębi. Wyszłam i ujrzałam, jak obejmując za szyję młodego człowieka kryje na jego ramieniu twarz zalaną łzami. Młody człowiek, którego dziadek całował, był nieco niższy od niego, ale mimo to wysokiego wzrostu. Miał regularne rysy matki, długą jak ona brodę, jej wąskie policzki, ale cerę zdrową i świeżą. Z niesmakiem, lecz przestrzegając form dobrego wychowania, odczekał cierpliwie, póki starzec nie odzyskał panowania nad sobą, mrużąc coś o tym, że na starość

człowiek staje się mazgajem. Hellmuth, uwolniwszy się z jego objęć, podszedł do stojącego w głębi korytarza roweru.

- Ach, przechowaliście mój rower! - zawołał.

- Nie, Hellmucie, to rower Pulkego - powiedziała Elżbieta.

- A cóż to za Pulke, proszę was? - zawołał arogancko Hellmuth.

- To nasz przymusowy lokator. Później ci wszystko wytłumaczymy. A teraz poznaj ciotkę Marię.

- Cieszę się, że wróciłeś, Hellmucie.

Właściwie nie były to odpowiednie słowa, zważywszy okoliczności, w jakich odbywał się jego powrót do domu. Stuknął obcasami i odpowiedział szarmancko:

- To dla mnie prawdziwa przyjemność poznać cię, ciotko Mario.

Uśmiechnęłam się widząc, jak dalece potrafił zachować nieskazitelne maniery, pomimo odbycia kampanii i pobytu w rosyjskiej niewoli. Nie czekając, aż wskażę mu jego pokój, ruszył przodem.

Postawiłam mu na komodzie, obok jego dziecinnego teleskopu, fotografię obojga rodziców, z kilkoma listkami bluszczu zatkniętymi za ramkę. Obok, w pudełku ze szklanym wieczkiem, stały ordery jego zmarłego ojca.

- Na szczęście tutaj przynajmniej prawie nic się nie zmieniło! - zawołał, po czym stanął na baczność przed fotografią.

Zamykając za sobą drzwi, by mógł zostać sam, ujrzałam, jak ujmował teleskop.

Po pewnym czasie Hellmuth wyszedł ze swego pokoju, by zawrzeć znajomość z małymi kuzynami. Wyraził wprawdzie grzecznie podziw dla rumianych policzków Marcina, ale od razu było widać, że będzie wołał Michała. Było to wspólną cechą wszystkich mężczyzn w tej rodzinie, że bardzo lubili

dzieci i umieli z nimi postępować. Hellmuth nalegał, by przy obiedzie posadzić obok niego Michała, w jego dzieciennym krzeselku. Oczy malca były tak błyszczące, a źrenice tak rozszerzone, iż sądziłam, że może mieć lekko podwyższoną temperaturę, zgodziłam się jednak na to widząc, że robi wesołe minki i jest grzeczniejszy niż zazwyczaj.

Elżbieta wniosła zupę, ale zaledwie wzięliśmy się do jedzenia, za ścianą rozległy się dźwięki gramofonu.

- Na litość boską, cóż to znowu za koncert? - wykrzyknął Hellmuth.

- Ach, to ci pro - le - ta - riu - sze - odparł dziadek. - Hałasują o każdej porze dnia.

- Jacy proletariusze?

- Lokatorzy przymusowi. Ludzie, których narzuciła nam komisja mieszkaniowa.

- Ależ to skandal! Nie przypuszczałem, że zetknę się z czymś takim we własnym domu! - oburzył się Hellmuth, odsuwając swój talerz.

- To są metody przejściowe, aż znajdą się pomieszczenia dla wszystkich, którzy wrócili z wojny... - powiedziałam, chcąc go uspokoić.

Elżbieta zadała sobie tyle trudu, by ugotować zupę, w której wygotowała całe nasze przydziałowe mięso, by dodać jej esencjonalności, a on jej teraz nie jadł!

- Jakże to możliwe, by nie było dość pomieszczeń, skoro wystarczało ich przed wojną? A ci wszyscy, co nie wrócili? - mówił Hellmuth. - A czy nie można przynajmniej wybrać sobie sublokatora?

- Tak właśnie zrobiliśmy - wyjaśniłam. - Pulke był sierżantem w kompanii twego wuja. Uważałam to za nasz obowiązek, nie mówiąc już o tym, że to porządni ludzie.

- Z wyjątkiem zapachu - wtrącił sarkastycznie dziadek. - Poza tym pani Pulke zbyt często odczuwa potrzebę kojenia

swych smutków muzyką gramofonową. Ale przyzwyczaisz się do tego. Do wielu, zbyt wielu rzeczy będziesz musiał przywyknąć, mój chłopcze.

Gramofon przestał grać, ale tylko na chwilę potrzebną do ponownego nakręcenia, po czym znów rozległa się ta sama melodia. Do pokoju weszła Elżbieta i, rzuciwszy urażone spojrzenie na pełny talerz Hellmutha, zabrała go.

- Bang - krzyknął Michał - bang, bang!

Było to pierwsze słowo, które nauczył się wymawiać, imitacja dźwięku, jaki wydawała strzelba Marcina, kiedy strzelał korkiem. Marcin został wyprawiony do kuchni, gdzie ćwiczył się w trudnej sztuce samodzielnego jedzenia.

Zapanowała cisza. Nagle zakołysał się żyrandol. Spoza sufitu rozległy się dźwięki fortepianu, potem hałas przesuwanych krzeseł i w tym momencie stado słoni zaczęło dreptać w mieszkaniu nad nami.

- Znowu zaczynają - odezwał się dziadek. - Tańczą. Co wieczór te same kankany. Jeszcze dwa lata temu chodzili po Starym Mieście zebrząc, z worami starych szmat na plecach, a teraz tańczą nam nad głową. Oto w dwóch słowach masz obecną sytuację.

Ładna, różowa cera Hellmutha pobladła. Muskuły jego długiej, wąskiej twarzy napięły się.

- Dlaczego nie wezwiecie policji? Należałoby ich zaaresztować za naruszanie spokoju!

- Policja? Ech, wiesz, mój drogi, jaki byłby skutek? Daliby żandarmowi jajek, masła, likieru, a ten ukłoniłby się pięknie i podziękował uniżenie. Policja! Śmiechu warte!

Weszła Elżbieta i podała dziczyznę. Odczekała, aż Hellmuth włoży do ust pierwszy kęsek, ale on miał myśli zajęte czym innym tak dalece, że nie pochwalił jej arcydzieła. Biedaczka, zrozpaczona, zamknęła za sobą drzwi. Zdawało



się, że Hellmuth nie wie, co je. Zapatrzył się w przestrzeń, głęboko zamyślony.

- Nas tutaj było potrzeba - rzekł w końcu.

- No oczywiście, wy zapobieglibyście rewolucji! - zakpił dziadek z chłodną, zjadliwą ironią.

- Nie mogę zrozumieć, co się stało z wami wszystkimi. Przyjmujecie te zniewagi i poniżenia, jakby to była kara boska! Ale za co? Za to, że nie żałowaliśmy krwi? Co się dzieje? Czy zupełnie nie macie nerwów? Poczekajcie, gdy wrócą oficerowie z obozów jenieckich, wtedy nastąpi wyrównanie rachunków!

Michał z otwartą buzią wpatrywał się w kuzyna. Hellmuth, skończywszy tyradę, nabił na widelec kawałek mięsa takim ruchem, jakby to był wróg. Wtedy Michał wrzasnął przeraźliwie. Marcin, usłyszawszy w kuchni jego krzyk, wpadł do pokoju zaciętrzewiony, by pomścić jego krzywdę. Od pierwszej chwili traktował małego braciszka jak swoją prywatną własność i zawsze gorliwie stawał w jego obronie.

- Ty wstrętny człowieku! - krzyczał, okładając małymi piąstkami uda Hellmutha.

Na ten widok Michał zaczął wrzeszczeć jeszcze głośniej, gdy tymczasem za ścianą ciągle grał gramofon, na górze tańczono w najlepsze, a dziadek wielkim głosem domagał się ciszy.

Nagle Michał umilkł równie niespodziewanie, jak zaczął krzyczeć. Chwyciłam go na rękę.

- Myślę, że najlepiej położyć ich obu spać, zanim zupełnie nie stracą równowagi. Przepraszam was bardzo. Elżbieto, proszę kawę i ciasto podać do salonu. Ojcze, Hellmucie, bądźcie łaskawi przejść do tamtego pokoju, a ja wrócę do was za chwileczkę.

- Czymżeśmy się stali? - piorunował dalej Hellmuth. - Narodem niewolników, żebraków, najemników? Wy nie rozumiecie, co to znaczy wrócić do kraju i zastać takie warunki. Kiedy byłem w Rosji, jedyną moją myślą było ujrzeć Niemcy. Sypiałem przy koniach, pracowałem w polu. Ale było mi to obojętne. Byłem jeńcem i punktem honoru stało się znosić wszystko bez skargi, bo jedyną ambicją jeńca jest nie dać poznać po sobie, że cierpi. A potem powrót! Potrzebowałem czterech miesięcy na przejście Rosji! To biali, to czerwoni! Było nas czterech towarzyszy niedoli: ja, Heinz Arnheim, Joachim Sarwitz i Andrzej. Pamiętasz Andrzeja, dziadku? Przez cały czas marzyliśmy tylko o powrocie do domu. Gdybyśmy przypuszczali, co zastaniemy w Niemczech, przyłączylibyśmy się do białych, a zresztą do kogokolwiek! Nic nie byłoby równie poniżające, jak to życie, które prowadzicie tutaj! Jak możesz znieść coś podobnego, dziadku?! Słuchaj, jest przecież broń mego ojca, jest twoja własna strzelba, dlaczego nie mamy wyjść na ulicę i strzelać w łeb każdemu, kto się ośmieli targnąć na nasze prawa?! Potrzeba mi tysiąca mężczyzn, nie lękających się niczego, zdecydowanych albo zrobić przewrót, albo zginąć, a wtedy mógłbym uratować ten kraj, pełen dezertarów i tchórzy!

- Milcz! Dość mam tego! - krzyknął stary Tillmann. - A gdzie byłeś, gdy my przechodziliśmy najcięższe czasy? W Rosji! Nie ty nas będziesz uczył odwagi! Ludzie dzielni nie idą do niewoli. Ludzie dzielni giną - jak zginęli twoi bracia, twój ojciec i wuj, jak tylu innych synów i wnuków! Ty... ty...

Staruszek trząsał się z gniewu. Hellmuth przyskoczył do niego i przeraziłam się, że go uderzy. Ale pohamował się nagle, stuknął obcasami.

- Rozkaz, dziadku. Proszę o wybaczenie. Zabolalo mnie to, co zastałem... A teraz, pozwól, że wyjdę. Mam umówione spotkanie z przyjaciółmi. Do widzenia.

Wyszedł, a ja podążyłam do kuchni, gdzie Elżbieta, zalewając się łzami, siedziała nad resztkami naszej uczyty.

- On przecież nic nie jadł, Hellmuth nic nie jadł! - zaszlochała, spojrzawszy na mnie zaczerwienionymi oczami.

- To z nadmiaru radości, że wreszcie wrócił - wytłumaczyłam jej. - Czy Elżbieta nie wie, że ze szczęścia zawsze traci się apetyt? Tak przynajmniej twierdził mój dziadek.

Elżbieta zabrała się do sprząwania resztek.

- Skądże bym miała wiedzieć? Skądże bym miała wiedzieć? - powtarzała. Ale po chwili, odzyskując dawną energię, dodała: - Gdybyśmy tak mogli dostać gdzieś trochę mąki, to jutro można by znowu upiec tort.

\* \* \*

Kiedy Michał czy Hellmuth - każdy na swój sposób - sprawiali mi za dużo kłopotu, szukałam podpory w Marcinie, zawsze spokojnym, dobrym i łagodnym, stworzonym po prostu na głowę rodziny, nawet wówczas gdy nie wyrósł jeszcze z pieluch.

Miał on zwyczaj gromadzenia resztek, których nie dojadł, i chowania ich dla mnie w moim łóżku. Podnosząc kołdrę byłam pewna, że znajdę dwa plasterki ziemniaka, kawałek marchewki, łyżkę szpinaku i kęs mięsa. Byłam wdzięczna za intencje tych podarunków.

- Marcin daje - mówił do mnie - Marcin jest dobry chłopczyk.

Koniecznienie chciał nauczyć Manna jeść łyżką.

- Mann jest głupi pies - skarżył się. - I Micki jest głupi.

Imię Michał przerobił na Micki i odtąd zawsze tak go nazywał.

Chciał koniecznienie wykształcić braciszka i kładł mu w głowę różne swoje mądrości. Micki, chwała Bogu, nie odziedziczył gruźlicy po swoim ojcu, ale odziedziczył jego

kompleks niższości. Siedział w kojcu, patrzył żywymi oczkami w obramowaniu gęstych rzęs, nastawiał ciekawie uszka i kolekcjonował zasłyszane dźwięki. Większość z nich potrafił naśladować: radosne szczekanie Manna, trzaskanie drzwiami, syczenie wody w czajniku. O wiele wcześniej niż nauczył się mówić „mama”, nucił łamiącym się głosem wszystkie melodie z pięciu płyt gramofonowych pani Pulke, toteż nieraz zastanawiałam się, co wyrośnie z tego dziecka i kim będzie, gdy dorośnie.

Później przyszedł czas opowiadania bajek. Stado szarańczy nie rzuca się na pola tak żarłocznie, jak on na każde słowo. Pierwsze bajki opowiadał mu Marcin, we własnej, skróconej wersji.

- Było siedmiu karzełków i królowna Śnieżka powiedziała: „Chcę jabłko”, a karzełki odpowiedziały: „Nie dostaniesz jabłka, my nie jesteśmy paskarzami i nie mamy jabłek”. (To był wyraźny wpływ pouczeń Elżbiety). A wtedy Śnieżka kupiła sobie jabłko od złej królowej i powiedziała: „Mmmm, co za jabłko!” A potem podrzuciła je do góry i królewicz powiedział: „Wyjdź za mnie”. I teraz obydwójce codziennie jedzą jabłka.

Micki się zastanowił.

- Co to jest jabłko? - zapytał.
- Nie wiem - odrzekł Marcin.
- Głupiś - powiedział na to Micki.
- Sam jesteś głupi!

I zaczynała się wojna. Hellmuth wybiegał ze swojego pokoju i pytał ze złością:

- Co się tu znowu dzieje? Czy nie można mieć w tym domu ani chwili spokoju?
- Oni jeszcze nigdy nie jedli jabłek. Dlatego się biją. Mają przynajmniej w perspektywie wielką przyjemność.

Hellmuth wracał do pokoju, zatraskując za sobą drzwi i klnąc na czym świat stoi warunki, w których dzieci mogą nie znać jabłek.

Pulke brał nieraz chłopców na kolana i opowiadał im bajki o jabłoni. Dziadek szperał w stosie starych ilustrowanych czasopism i wydobywał obrazki przedstawiające jabłka i winogrona. Później opowieści rosły razem z chłopcami, a dziadek, Hellmuth i Pulke przyjęli na siebie poszczególne tematy. Dziadek opowiadał im o bajecznych, przedwojennych czasach, w które trudno było po prostu uwierzyć: jak Kaiser przejeżdżał w otwartej karecie, jak odbywały się defilady wojskowe, wszyscy byli bogaci i szczęśliwi. Niechętnie słuchałam, jak nabija główki dzieci wspomnieniami czasów tak różnych od naszego obecnego życia. Ale były to ulubione opowieści chłopców. Pulke z kolei wyliczał cuda, które będą ich udziałem w przyszłości, o ile będą cierpliwi. Gdy będą duzi, każdy będzie miał swój samochód, będą mieszkali w dużych, jasnych i czystych domach, będą podróże, teatry i kina, a wszystko za darmo. Pracować się będzie nie dla zarobku, ale dla przyjemności, a niedziela będzie trzy razy w tygodniu. Znałam dobrze te historie z Giessheim F 12. Pulke pracował w tramwajach miejskich i był zażartym socjalistą.

Chłopcy słuchali opowiadań Pulkego, ale szybko się niecierpliwiłi, zbyt wiele było w nich teorii, a za mało konkretów.

- Opowiedz nam o tatusiu - prosił Michał.

- I o wojnie. I o tym, jak poszedł z czterema żołnierzami i wziął do niewoli dwudziestu trzech Francuzów.

Pulke chętnie opowiadał. Miał do tego żyłkę: w jego słowach czuło się nastrój tej nocy, słyszało przerażone głosy Francuzów, zaskoczonych przy ognisku w pewnej wiosce.

- Nasz pan kapitan Tillmann, wasz ojciec, świeć Panie nad jego duszą, był najodważniejszym człowiekiem w całej dwudziestej szóstej dywizji.

- Kocham tatusia - oświadczył kiedyś z ciężkim westchnieniem Marcin, po zakończeniu jednej z takich opowieści.

- Ja też kocham tatusia. Więcej niż ty. Kocham go najwięcej w świecie - powiedział na to Michał. - Kiedy kula zraniła go w nogę, on szedł i mówił: „Wszystko w porządku, sierżancie, to wcale nie boli, to tak, jakby człowieka pchła ugryzła”. A on mnie też kocha!

- Skąd wiesz, że cię kocha? - spytał Marcin, urażony, ponieważ sam nie czuł się na siłach wygłosić tak zuchwałej tezy.

- Bo mi powiedział! Wszedł do pokoju i powiedział: „Micki, kocham cię, jesteś moim małym króliczkiem”. (To było ze słownika Elżbiety).

- Nieprawda!

- A właśnie, że tak!

- Kiedy wszedł do pokoju? Nie może przecież przyjść, bo nie żyje... prawda, wujku Pulke? Jak będziemy więksi, to pojedziemy do niego i zawieziemy mu kwiatki, on jednak nie może przyjść do nas.

- A właśnie że przyszedł, wtedy, kiedy leżałem w łóżku, i powiedział, że mnie kocha!

- To ci się śniło! - krzyknął Marcin, zadowolony, że znalazł realną odpowiedź na tak nieprawdopodobny problem i wyraźnie mu ulżyło.

- Nie śniło! Podeszedł do mojego łóżeczka i powiedział... powiedział: „Kocham cię o wiele bardziej niż Marcina!”

Marcin po prostu oniemiał. Ujrzałam, jak zaciska pięści, i czułam, że zbliża się walna rozprawa.

- Marcinku, to przecież jeszcze małe dziecko - wtrąciłam pospiesznie. - Sam nie wie, czy coś mu się śni, czy nie.

- Proszę cię, mamusiu, zabroń mu takich snów - zaczął mnie błagać Marcin. - Mój tatuś szedł i szedł z kulą w nodze, a Michał jest beksą i gdy uderzy się, to tak beczy, że wuj Hellmuth musi mu dać klapsa, żeby przestał.

Michał ze wstydem musiał ustąpić z placu, bo rzeczywiście płakał o byle głupstwo. Potrafił beczeć nie tylko uderzywszy się, ale z powodu tysiąca błahych przyczyn. Płakał, bo Mann był smutny, bo mała myszka złapała się w pułapkę nastawioną przez Elżbietę, bo księżę został zamieniony w ropuchę. Albo dlatego że deszcz padał. A czasem tylko dlatego że był w melancholijnym nastroju, że podlegał właśnie jakiemuś tajemniczemu smutkowi, jednej z tych niewytłumaczalnych, gnębiących go depresji.

Micki walczył z tą słabością i od czasu do czasu natura Tillmannów brała górę nad tym czymś obcym, nieszczęśliwie czułym w jego charakterze. Wielką podporą był dla niego Hellmuth. Dopiero po latach odkryłam całą głębię jego wpływu. O czym opowiadał chłopcom, nie zdołałam dociec, bo nie robił tego nigdy przy świadkach, a treść opowiadań pozostawała tajemnicą pomiędzy nimi trzema. Gdy jednak malcy wychodzili z pokoju Hellmutha, policzki im pałały i błyszczały oczy, buntowali się przeciwko pójściu do łóżek i oświadczali, że gdy będą dorośli, będą nosić mundury i karabiny i strzelać do wszystkich: bang, bang, bang!

Po takich posiedzeniach Michał zwykle dostawał gorączki lub krzyczał przez sen, odbyłam więc poważną rozmowę z Hellmuthem, prosząc, by nie denerwował moich malców.

- Przeciwnie, to ty ich zanadto rozpieszczasz - odpowiedział niegrzecznie. - Ty i stara Elżbieta zrobiłyście z nich zmokłe kury. Im potrzeba męskiej ręki i batów od czasu do czasu, żeby się zahartowali. Trzeba ich wychować na

silnych, odważnych ludzi, czy tego nie rozumiesz, ciotko Mario?

A może on ma rację, pomyślałam. Tymczasem jednak Hellmuth, wygłaszając takie teorie, sam pogrążony był w zupełnej inercji, niezdolny do żadnego wysiłku. Oficjalnie podjął na nowo studia prawnicze, które przerwała mu wojna. Przesiadywał zamknięty w swoim pokoju, jak na bezludnej wyspie. Całymi godzinami i dniami potrafił leżeć na łóżku w swych starych wojskowych butach, opartych na kapie. Codziennie po obiedzie stukał uprzejmie obcasami i znikał.

- Proszę wybaczyć, ciotko Mario. Mam spotkanie z przyjaciółmi.

Kilku z nich znałam z widzenia. Przychodzili do nas od czasu do czasu i przesiadywali z Hellmuthem w jego pokoju; trzeba było potem wietrzyć godzinami, aby pozbyć się piekielnego smrodu fajek. Czasami gwizdali w umówiony sposób na ulicy, a wtedy Hellmuth spiesznie wybiegał i razem szli na jakieś tajemnicze zebrania.

- Głupi smarkacze - burczał dziadek. - Strzelają grochem z pukawek. Któż to są, ci jego wielcy przyjaciele? Heinz Arnheim, Joachim Sarwitz, hrabia Andrzej von Elmholtz. Trzej chłopcy, którzy jak miliony innych nie potrafili poza wojną znaleźć dla siebie innej drogi w życiu, ani też powrotu do normalnych czasów po nastaniu pokoju.

Podobnych do nich pełno było na ulicach. Młode, a już zużyte twarze, fanfaronada i ubóstwo, wojskowe ruchy i wyraz ponurego zdecydowania. Wszyscy nosili jednakowe bluzy, stare wojskowe spodnie i buty. Przestali być żołnierzami, ale na pewno nie stali się cywilami. Zrzeszali się w tajnych związkach - nauczono ich przecież tylko posługiwać się bronią i trzymać razem, nie wyobrażali więc sobie życia bez codziennych walk, podniecenia i niebezpieczeństwa. Wkrótce pojawiła się wśród nich nazwa:



narodowy socjalizm. W Stanach Zjednoczonych tacy młodzi ludzie mogą się zajmować, chwala Bogu, grą w piłkę nożną.

\* \* \*

Jeżeli nie zawodzi mnie pamięć, to chyba pod koniec 1922 roku znów zetknęłam się z Klarą. W kulminacyjnym momencie zalewu ekspresjonizmu w naszym mieście zjawiała się Klara, w aureoli sławy. Żyliśmy wtedy w dziwnym okresie, który ludzie poczęli nazywać inflacją. Nikt do końca nie rozumiał tej nazwy, miało się tylko wrażenie, że człowieka porywa z sobą obsuwająca się ziemia. Ceny skakały w górę, a za nimi szła podwyżka płac. Zupełnie jakby się wspinało, szczebel po szczeblu, na jakąś nie kończącą się drabinę. Robotnicy otrzymywali tysiąc marek zamiast jednej, a nazajutrz cena chleba skakała na dwa tysiące. Mnożyły się strajki, coraz okrutniejsze walki uliczne, a przed sklepami ludzie, coraz bardziej wygłodzeni, wystawali w kolejkach dłuższych niż podczas wojny.

Pewnego wczesnego grudniowego poranka stałam pod brudnym szklanym dachem w hali dworca kolejowego, czując lekkie ściskanie ze zdenerwowania w pustym żołądku. Nagle nadjechał pociąg i wysiadła z niego Klara, z którą nie widziałam się tyle lat. Miałyśmy obie ochotę się rozpłakać, ale należałyśmy przecież do generacji, która nie pozwalała sobie na łzy.

Klara była po dawnemu żywiołowa. Wtargnąwszy jak burza do spokojnego hotelu, zawładnęła od razu telefonem, wydając przezeń głośnie polecenia dotyczące prób i oświetlenia sceny. Zajęta równocześnie bagażem, kostiumami i dekoracjami, udzieliła reporterom dwóch wywiadów, pozowała do zdjęcia w prasie i zagadała zupełnie przedstawiciela tejże, po czym zamówiła śniadanie dla nas obu i w końcu wszystkich wyrzuciła za drzwi. Rzuciła się na hotelowe łóżko, zdjąwszy przedtem buciki, i zaczęła pokpiwać

ze mnie swoim niskim, szorstkim głosem, którego mi tak często brakowało. Zdjęcia pokojowe pozostawiły po sobie masę dymu ze spalonej magnezji, Klara otworzyła więc okno i zaczerpnęła łyk świeżego powietrza.

- Co za życie! Naprawdę świńskie - powiedziała tonem nie znośącym sprzeciwu. - Na dobitkę Anna nie mogła jechać ze mną z powodu Czarnej Hańby...

- Któż to jest Anna? - spytałam.

- O! Ona jest równocześnie wszystkim: panną służącą, garderobianą, sekretarką i głosem sumienia! Nie przypominasz jej sobie? To przecież ona sprzątała w Bergheim nasze mieszkanie.

Przeleciało mi przez głowę jakieś niejasne wspomnienie młodego, bladego, chudego stworzenia, czołgającego się po podłodze i wycierającego kurz pod którymś meblem.

- O, Anna! Ależ oczywiście! Więc ona jest teraz u ciebie? Ale jaką rolę odgrywa tu Czarna Hańba?

Czarna Hańba było to określenie, jakiego gazety niemieckie używały na określenie kolorowych wojsk okupacyjnych.

- No więc, kiedy w Bergheim stacjonowali jako okupanci Murzyni, Anna miała z jednym z nich dziecko. Dlatego wzięłam ją do siebie. Nikt nie chciał jej przyjąć, a trudno było przecież dopuścić do tego, by się rzuciła do Renu, nieprawdaż?

- Czy została zgwałcona?

- Zgwałcona? Nigdy w życiu! Ona po prostu szaleje za swoim Murzynem. Ja zresztą również. Jest to najpiękniejszy, najnaiwniejszy kawał hebanu, jaki kiedykolwiek oglądały ludzkie oczy. Niestety, Czarna Hańba nie jest już tak udana, widocznie pomieszanie krwi czarnego i białego człowieka nie daje dobrych wyników, nie mówiąc już o tym, że wychowanie tej małej jest całym problemem. Przypominasz sobie szarawy

kolor tej kawy, którą podawałyśmy żołnierzom na dworcu? Otóż mała ma właśnie ten kolor skóry. W dodatku jest bardzo nieśmiała i często choruje. W tej chwili mamy odrę i dlatego muszę sobie sama ze wszystkim dawać radę. Ba! Robiłaś przecież artystyczne objazdy i wiesz dobrze, co to znaczy.

- To było co innego - odparłam. Musiałam sięgnąć na dno pamięci, żeby przypomnieć sobie, że niegdyś grywałam na skrzypcach i dawałam koncerty. - Widzisz, ja nigdy nie byłam wielką sławą.

- Faj, sława! - skrzywiła się Klara. Patrzyła na mnie długo i poważnie. - Pozwól, niech ci się przyjrzę, wróbelku.

Wyciągnąwszy do mnie rękę, pociągnęła mnie tak, że musiałam usiąść na łóżku obok niej.

- No i jak? Czy zmieniłyśmy się bardzo, czy tylko troszkę?

- Nie mam pojęcia - odrzekłam. - Pewno zmieniłyśmy się, Klaro, ale kiedy i jak to się stało, sama nie wiem. Zresztą, nie pamiętam już, jakie byłyśmy przed tym.

- Przed czym?

- No, przed tym wszystkim... Pamiętasz, jak myślałyśmy kiedyś, że na drugiej półkuli ludzie przez cały czas stoją na głowie? No więc teraz jesteśmy takimi właśnie ludźmi z drugiej półkuli, takie przynajmniej odnoszę wrażenie. Odkąd wojna się skończyła, mam ciągle zawroty głowy.

- Prawdopodobnie jesteś niedożywiona, stąd te zawroty. Chodź, zabierzemy się do śniadania.

Było to wystawne śniadanie, kosztujące prawdopodobnie, biorąc pod uwagę ówczesne ceny, miliony marek. Miałyśmy czas i na raczenie się smakołykami, i na wzajemną obserwację, i na odnowienie naszej znajomości. Tak, zmieniłyśmy się na pewno. Nosiłyśmy teraz krótsze spódniczki, a włosy Klary były również krócej przycięte. Zmieniły się nasze ruchy i mówiłyśmy obie twardszym

akcentem niż dawniej. Nasi mężczyźni przynieśli z okopów swój sposób mówienia i zaszczepili nam swój słownik.

- Wiesz - powiedziała Klara - mam dla ciebie pozdrowienia. W zeszłym miesiącu tańczyłam w Wiedniu i spotkałam masę naszych dawnych przyjaciół. Oczywiście tych, którzy przeżyli wojnę.

Zadałam sobie w duchu pytanie, kogo z nich mogła spotkać. Z rzadkich naszych listów wiedziałam, że mama Balbi umarła, a siostra Klary, zostawszy wojenną wdową, prowadziła obecnie sklep z damskimi kapelusami. Wiedziałam również, że „on”, ukochany Klary, musiał abdykować i oboje z Pimprenelle prowadzili teraz duży majątek dochodowy w Rheinhalten. Wyjeżdżając ofiarował Klarze okazałą sumkę, za którą otworzyła w Monachium szkołę tańca.

- Czy to pozdrowienia od Schaniego? - spytałam.

- Schaniemu powodzi się nieźle. Wiesz, był w wojsku, w czeskim pułku, i wyszło mu to bardzo na dobre. Jak stanie się modny, usłyszysz dobrą muzykę. Ale pozdrowienia nie są od niego. Pozdrowić kazał cię Karol Dupont. Mój Boże! Dobrze, że nie może cię teraz zobaczyć, kiedy nie jesteś dawną piękną, prawda?

- Jak mu się wiedzie? - spytałam odruchowo.

- Świetnie, jak zawsze. Ma wielkie powodzenie. Zarabia mnóstwo pieniędzy malując portrety nowobogackich. Weź więcej masła. I nałóż sobie miodu. Powiedz mi...

- Co takiego?

- Jak ty żyjesz? Samotnie?

- Wiesz przecież, że mam dwóch synków.

- Tak, tak. Ale, jakby to powiedzieć... Bez mężczyzny?

Bez miłości?

- Tak. Bez miłości i bez mężczyzny.

- Zabawne. A dlaczego?

Zastanowiłam się. Istotnie, dlaczego? Stały mi w oczach ciemne, duszne pokoje w Riede, z Hellmuthem przeżuwającym własne myśli za zamkniętymi drzwiami, z sędziwym teściem, wiecznie zgryźliwym, skulonym z bólu i chorym na prostatę. Doktor Mayer dopatrywał się w tym nawet początków raka. I Micki, który również nie odznacza się najlepszym zdrowiem... Trzeba go będzie znów zaprowadzić do doktor Merz...

- Nie mam czasu na takie zbytki jak miłość - powiedziałam. - Widzisz, ja pracuję, mam posadę. Z trudem dostałam jeden dzień urlopu na widzenie się z tobą.

- No dobrze. A co ty teraz robisz? - spytała Klara tonem tak lekkim, jakby uzyskanie całodziennego urlopu w środku tygodnia było rzeczą najłatwiejszą w świecie.

- Hm, co się nadarzy. Obecnie pracuję w kwiaciarni. To jedno z tych zajęć, do których nie chcą przyjmować mężczyzn. A jest tak dużo bezrobotnych!

- To prawda. Ale czy koniecznie musisz zarabiać na życie? A twoja renta?

- Praktycznie nie istnieje wcale. Z dnia na dzień obiecują ją zwaloryzować i nigdy do tego nie dochodzi. Za moją miesięczną rentę nie byłabym w stanie wykupić tygodniowej racji chleba. To po prostu jakieś szaleństwo!

- Hm - mruknęła Klara.

- No a ty? - spytałam.

- Cóż ja? Czasem zarabiam dużo, a czasem nie mogę związać końca z końcem.

- Nie, nie to. Mam na myśli... mężczyzn. Czy przyjmujesz hołdy całego świata, czy też zawsze jesteś wierna jednemu?

- Ja? Ja nie potrafię się przywiązywać. Mężczyźni są na ogół nudni - odparła wymijająco, poruszając palcami nóg w jedwabnych pończochach.

Sięgnęła po paczkę papierosów i zapaliła jednego.

- Łap! - zawołała, rzucając mi papierośnicę.

- A powiedz mi, jak „on” się miewa?

- O, myślę, że dobrze - odparła. Z tonu, jakim to powiedziała, wywnioskowałam, że „on” przestał dla niej istnieć, tak samo jak Karol Dupont dla mnie. - Ach, Boże! Czyż miłość nie jest doprawdy najbłahszą rzeczą na świecie? I zarazem najkonieczniejszą?

- Tak. A szczególnie wtedy, kiedy nie jest się zakochaną - rzekłam z przeświadczeniem.

- Otóż to. Albo gdy ci przynieśli do szpitala kochanego człowieka, z którego wszystkie wnętrzności wypłynęły jak makaron, i jedyną rzeczą, którą mogłaś dla niego zrobić, był nagły zastrzyk końskiej dawki morfiny, żeby go raz na zawsze uwolnić od męki.

Nie odpowiedziałam nic, a Klara dodała po chwili:

- Był to jeden z naszych sanitariuszy. Zdaje się, że byłam w nim, jak to mówią, śmiertelnie zakochana. Nie chciał walczyć, ale, mój Boże, w jakie piekło szedł nieraz, by uratować pierwszego lepszego rannego!

Usiadła nagle i wsunęła nogi w pantofelki.

- A teraz pogrzebmy umarłych i zapomnijmy o wojnie - rzekła prawie wesoło. - To wszystko działo się przed tysiącami lat. Chodź, jedziemy, o dziesiątej mam próbę!

Tak rozpoczął się ten gorączkowy dzień, tak gorączkowy, jakiego nie przeżyłam od bardzo dawna. Po południu zaciągnęłam Klarę na chwilę do Riede, aby jej pokazać moich synów. Marcin, jak zawsze, zachowywał się nadzwyczaj grzecznie, wlepiwszy oczy w torebkę Klary w oczekiwaniu czegoś do jedzenia. Micki od razu zawarł z nią sojusz. Wdrapawszy się jej na kolana zaproponował, żeby opowiedziała mu bajkę.

- Ja cię lubię - oświadczył, głaszcząc ją po twarzy łąpkami usmarowanymi czekoladą. - Ty tak ładnie pachniesz. Pozwolę ci nawet spać w moim łóżeczku.

Nawet Hellmuth, chcąc ujrzeć słynną tancerkę, wyszedł ze swego pokoju z miną pozornie niedbałą. Usiłował arogancją pokryć onieśmienie, ale widać było, że Klara napawa go niemal strachem. Po chwili jednak poszła z nim do jego pokoju obejrzeć pamiątki, które chciał jej pokazać, i usłyszałam, że prowadzą ze sobą poważną rozmowę. Klara wypytywała go i dyskutowała z nim na temat dręczących go zagadnień, on zaś opowiadał jej o tańcach widzianych na Kaukazie. Na koniec spytał ją, czy nie mogłaby dać mu biletu do teatru. Tak bardzo chciałby zobaczyć ją, jak tańczy!

- Widzi pani... nie mogę sobie pozwolić na kupno biletu - powiedział ze smutnym, udęczonym uśmiechem. - Praktycznie rzecz biorąc, jesteśmy po prostu dziady...

Pamiętam doskonale ten dzień, bo tak bardzo odbiegał od i koleiny mego codziennego życia. Widziałam, jak Klara tańczyła, i po przedstawieniu zabrała mnie z sobą na raut wydany na jej cześć przez ludzi, którzy najwidoczniej dorobili się na wojnie majątku. Były tam szeregi pokoi, umeblowanych z paraliżującym wręcz zbytkiem, mnóstwo olbrzymich dywanów, a stół ugiął się po prostu pod ciężarem wyszukanych dań. Biblioteka była przepełniona książkami tak dalece, że miało się wrażenie, jakby kupowano je na metry. Wszystkie były oprawne w skórę i, mimo woli, ich widok przypomniiał mi dziury w moich własnych bucikach. Wszystko razem sprawiało wrażenie, że właściciele mają zwyczaj kupowania hurtem: wielkie krzyżowe fortepiany, auta, jedzenie, likiery, biżuteria, jedwabie, kotary, futra, dywany, obrazy i całe skrzynie mydła.

Nie miałam pojęcia, że Klara zaprosiła Hellmutha, aby poszedł z nami na to przyjęcie. Ujrzałam go nagle,

trzymającego w ręku kieliszek szampana, z twarzą zupełnie zieloną, i przełękłam się, czy nie zrobiło mu się przypadkiem niedobrze, i czy nie wyniknie z tego jakiś skandal. Przypuszczam, że musiał się gwałtownie zakochać w Klarze i po prostu poszedł za nią, nie zdając sobie zupełnie sprawy, dokąd i po co idzie.

- Chyba wypiliśmy za dużo - szepnęłam mu na ucho. - Może wyszedłbyś trochę na świeże powietrze?

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby mnie nie poznawał, i roześmiał się.

- Rzeczywiście, przydałoby się trochę świeżego powietrza - powiedział na cały głos. - Czy to wszystko nie przyprawia cię o mdłości? Popatrz tylko, jak oni porastają w pierze, gdy my... ach, Boże wielki! Powinienem był wziąć ze sobą kilka granatów, i spokój. Następnym razem, gdy się będę wybierał na przyjęcie, lepiej się zaopatrzę!

- Nie powinnaś była go zapraszać - powiedziałam, gdy Hellmuth wyszedł. - To zupełnie co innego czytać w gazetach dowcipy o paskarzach, a co innego ujrzeć to wszystko na własne oczy. Rzeczywiście, może człowieka zabołec serce.

- Uważam, że przeciwnie - odparła Klara. - Dobrze jest czasem wyjść z codziennego kieratu i zobaczyć, jak żyją inni.

Po szampanie ostre kanty rzeczywistości zacierały mi się w oczach. Zapakowano nas potem do wspaniałego wozu - a może tylko taki mi się wtedy wydawał - i na gumach, jak na obłokach, pomknęliśmy przez ulice, bardzo ożywione o tej późnej, nocnej godzinie. Nie wiedziałam, że w Hahnenstadt panowało tak bujne nocne życie, nawet samo to określenie było dla mnie nowością. Bary, dancingi, restauracje i znowu bary, dźwięczące amerykańskim jazzem, strumienie mocnych, mrożonych trunków. Podczas gdy ja spałam w mej samotni w Riede, nowy świat wychynał na drugorzędnych ulicach Starego Miasta.



Wypiłam tego wieczoru pierwszy cocktail w moim życiu i przyjemnie zamroczona przyjechałam z Klarą do hotelu, gdzie zdecydowałam się przespać tę noc.

Po cichutku weszliśmy po schodach na górę. Byłam lekko wstawiona i w nastroju raczej lekkomyślnym, jednak gnębiła mnie myśl, że jutro rano, o ósmej, muszę się stawić do pracy. W pokoju Klary było zimno, więc próbowała odkręcić kaloryfer. W przewodach rozległy się szmery, ale kaloryfer pozostał zimny.

- W nocy centralne ogrzewanie nie działa - powiedziałam.

Klara owinęła mnie w grube, watowane kimono. Zapaliła papierosa i wsunęła mi go w usta, zanim zapaliła sama. Wydobyła z walizki mały prymus i nastawiła wodę, by się zagotowała.

- Co ty robisz? - spytałam.

- Kawę - odparła. - Muszę cię przecież otrzeźwić.

Rozpuściła w wodzie kilka brązowych kostek. Miły, gorzkawy zapach nappełnił pokój, dając złudzenie ciepła.

- To mój wynalazek - . powiedziała Klara. - W hotelu nigdy nie można dostać kawy wtedy, gdy człowiekowi jest najbardziej potrzebna, to znaczy między czwartą a piątą nad ranem.

Usiadła przy mnie i otoczyła ramieniem moją szyję.

- Nie mogę znieść myśli, że miałabyś dalej żyć tak jak dotychczas. Z twoich listów niczego się nie domyśliłam... Ale teraz... widzę, wróbelku, że żyjesz po prostu jak w więzieniu! To przecież nie pasuje do ciebie. Dlaczego wzięłaś sobie na kark tego starego, zgryźliwego mizantropa i tego młodego, ponurego spiskowca? Przecież to gorsze nawet niż więzienie! Zupełnie jakbyś się żywcem замуrowała w rodzinnym grobowcu!

- Nie rozumiesz tego - odrzekłam. - Mam obowiązki i muszę je wypełniać.

- Obowiązki?! Gwiżdż na nie! Wobec rodziców też miałaś obowiązki, a rzuciłaś ich nie mrugnawszy okiem.

- To zupełnie co innego. Rodziców nie wybierałam sobie, więc czułam się w prawie odejść. A tutaj sama sobie nawarzyłam piwa i muszę je wypić.

- Ładnieś się urządziła! - krzyknęła Klara z rozpaczą. - Kiedy wychodziłaś za mąż za swego kapitana, nie brałaś przecież ślubu z tą całą miłą rodziną, którą ci zostawił w spadku. Pleciesz głupstwa!

- Nie o to chodzi. Muszę ci coś powiedzieć, Klaro. Nie chciałabym, żebyś mnie uważała za pokutującą Magdalene, ale widzisz, popełniłam pewną winę. Każdy ma swoje grzechy na sumieniu. Chodzi tylko o to, by zdać sobie sprawę, jak dalece człowiek potrafi potem ponosić konsekwencje. Takie jest moje wyznanie wiary, mam zamiar się tego trzymać i basta.

- Niezupełnie basta - uśmiechnęła się Klara na to moje stare wiedeńskie powiedzenie, zmartwychwstałe raptem w mgłach Hahnenstadtu. - Jakież to, jeśli wolno spytać, popełniłaś grzech? Nie lubię, gdy przemawiasz zagadkami.

- A więc dobrze! - powiedziałam. - Nie mówiłam o tym nigdy i z nikim i z trudem sama przed sobą przyznaję się do tego, ale widzisz: przypuszczam, że Michał nie jest dzieckiem mego męża.

Moje wyznanie nie wywarło, zdaje się, wielkiego wrażenia na Klarze. Popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby ją to ubawiło i jakby miała ochotę roześmiać się albo zagwizdać.

- Hm - powiedziała w końcu. - Przypuszczasz, a więc nie jesteś pewna?

- Nie... widzisz...

- To jasne. Trzeba być bardzo złośliwą, żeby na pewno twierdzić, kto jest ojcem dziecka - zażartowała.

- Słuchaj, Klaro, to nie jest temat do dowcipów - rzekłam urażona.

- Pewnie, że nie. A więc: co masz do zarzucenia temu człowiekowi? Nie możesz wyjść za niego? Czyżby miał żonę? Ale kochasz go, prawda?

- On nie żyje, ale gdyby żył, nigdy bym za niego nie wyszła. Nie kochałam go wcale i znałam go za ledwie. Ale moja droga: dwa razy dwa nie zawsze jest cztery.

- Ach, więc to tak - powiedziała Klara i głos jej złagodniał. - Miałaś pewnie mnóstwo przykrości?

- Nie wiesz jeszcze najgorszej rzeczy - on był chory na gruźlicę i dlatego, ile razy Micki kichnie, tyle razy wpadam w panikę. Nawarzyłam takiej kaszy, że nie wiem po prostu, jak z tego wybrnąć. Rozumiesz teraz chyba, że mam wobec tej rodziny dług do spłacenia. Oto powód, dla którego trzymam się z dala od mężczyzn, miłości i wszystkich tych spraw. Jest to bowiem jedyny sposób naprawienia mej winy.

- Nie powinnaś z tego robić tragedii, wróbelku, i nie wyobrażaj sobie, że jesteś aż tak dalece ważna. Czy wiesz, ile mężatek znajduje się w tym samym położeniu? Miliony kobiet nie mają pewności, kto jest ojcem ich dziecka: czy mąż, czy kochanek, czy jakiś przystojny chłopak, którego przypadkowo poznały w barze i nigdy już później nie widziały na oczy.

Taka myśl nigdy nie przyszła mi do głowy.

- Czy to możliwe? - spytałam zdumiona.

- Mogę dać za to głowę - odparła Klara. - Ileż to już pisano na temat mężczyzn, zawsze niepewnych swego ojcostwa! No więc, jak matki mogą być pewniejsze? Skąd zawsze mogą dokładnie wiedzieć? To mrzonka!

- Żeby choć nie był chory...

- Powiedz mi jedno - rzekła Klara, patrząc mi uważnie w oczy - czy na skutek tych wszystkich spraw kochasz mniej to dziecko?

- Mniej?... - zająknęłam się. - Mniej? Ależ przeciwnie, o wiele bardziej!

- A dlaczego sądzisz, że jest synem... tego człowieka, którego ledwie znałaś?

- Ponieważ wygląda na to, że z wiekiem będzie coraz podobniejszy do niego.

- A więc w takim razie powiem ci, że to musiał być czarujący człowiek. Ten malec jest taki rozkoszny, że człowiekowi na jego widok ściska się serce - jak na widok każdego arcydzieła.

- Nie, nie uważam, że Manfred był czarujący. Był taki... no wiesz... nigdy nie napiłabym się z jego szklanki. I to właśnie ja muszę mieć jego dziecko! Nie rozumiem, dlaczego mnie to spotkało!

- Spotkało ciebie i co dzień spotyka inne kobiety. Rozejrzyj się trochę i popatrz, jak żyją ludzie wokół ciebie. Nadrabiają stracony czas i nie buntują się wcale. Zresztą te wszystkie sprawy między obu płciami są doprawdy tak mało ważne! Czy widziałaś kiedyś pod mikroskopem kroplę brudnej wody? No więc to prawie to samo. To samo wirowanie, ten sam pęd do wzajemnego przenikania, w taki sam sposób roją się, spotykają, rozchodzą... Muszę kiedyś opracować taniec na ten temat. Będzie się nazywał „Poligamia”. Ach, ty mała, głupia, niewinna monogamistko!...

\* \* \*

Z początkiem lata umarł dziadek. Pod koniec był już tak przezroczystry jak abażur, lecz umierał tak godnie, jak przystało na pruskiego radcę Sądu Najwyższego ze starej szkoły. Martwił się bardzo, że nie zdążył dokończyć swych pamiętników, zatytułowanych: „Służyłem memu krajowi”, które kazałam włożyć mu do trumny.

Myślałam z pewną przyjemnością o tym, że teraz, gdzieś na jakimś obłoku zarezerwowanym dla „starych panów z

dobrej sfery", spotka obu mych własnych dziadków i będą sobie mogli zagrać w niebiańskiego brydża.

Hellmuth sprzedał mieszkanie wraz z całym urządzeniem - nie wiem za ile milionów inflacyjnych marek - lecz wiem na pewno, że po upływie dwóch miesięcy mógł całą tę sumę wrzucić do muszli w ubikacji. Elżbieta spakowawszy manatki znikła na horyzoncie, niby oddalający się po burzy grzmot. Co do mnie, Hellmuth polecił mi zwrócić się do urzędu mieszkaniowego o przydział jakiegoś pomieszczenia. Pulke z rodziną urządził się w ten właśnie sposób, ale jemu przyszło to łatwiej, gdyż zaciągnął się właśnie do policji, bardzo ceniącej ludzi jego pokroju. Przypuszczam, że był to najpiękniejszy dzień w jego życiu, gdy włożywszy znowu na siebie prawdziwy mundur, mógł podjąć nową służbę. Natomiast sytuacja dzieci i moja nie była już tak różowa.

- Niech pani uważa - powiedziała mi doktor Merz - pani synek ma co wieczór podwyższoną temperaturę. Nie trzeba zaraz zamartwiać się tym, ale jest anemiczny i koniecznie powinno się zlikwidować ten koklusz.

- Czy pani jest pewna, że to tylko koklusz? - spytałam.

- Naturalnie, że koklusz; panuje teraz w całym mieście, ale ja nie określałabym tego, że to „tylko” koklusz. Odbiera mu apetyt i przeszkadza w spaniu, a nie pozbędziemy się tej sprawy, póki trwać będzie epidemia w Hahnenstadt. A ponieważ, jak pani wiadomo, ma on predyspozycje...

Słowo „gruźlica” nigdy nie padło między nami, ale czaiło się w każdej rozmowie.

- Temu dziecku koniecznie potrzeba górskiego, czystego powietrza i jak najwięcej słońca, a nie tego ciemnego dymu, który tu w mieście nazywamy niebem. Niech mu tylko da pani możliwość spania na wolnym powietrzu, i to zimą i latem, niech go pani zacznie obficie a prosto odżywiać, to nie będzie

najmniejszego powodu do obaw. Nie lubię takiej stale podwyższonej temperatury.

Oto powód, dla którego przenieśliśmy się do Einsiedel.

Trudno mi dzisiaj odtworzyć w pamięci dokładny obraz tej górskiej wioszczyny, tak bardzo podobnej do Staufen, że te dwie miejscowości zlewają się niejako w mojej głowie. Wioseczka, położona w Alpach Bawarskich, w zupełności zasługiwała na swoją nazwę, oznaczającą w języku niemieckim „Pustelnię”. Docierało się tam albo przeprawiwszy się łodzią przez jezioro, albo okrążywszy je wąską, przybrzeżną ścieżyną. U stóp góry rozrzuconych było kilka małych gospodarstw chłopskich, każde położone możliwie jak najdalej od sąsiedniego, gdyż mieszkańcy byli z natury prawdziwymi odludkami. Szczęściem dla mnie urząd mieszkaniowy nie interesował się zupełnie tą miejscowością i przyznał nam cały domek do wyłącznego użytkowania. Była to samotna chata, pochylona od starości, której dach, pokryty dachówką, wyglądał jak czapa wciśnięta głęboko na uszy. Leżały na nim kamienie, mające go chronić przed porwaniem przez wichry, dmący często w górach. Dach miał dziury w kilku miejscach i przeciekał, toteż musieliśmy podstawiać na podłodze miski i garnki, do których w czasie deszczu kapały krople wody, stukając cicho: tok, tok, tok...

Po obu stronach domku biegł drewniany ganek, a nad drzwiami widniał namalowany wizerunek świętego Floriana, który na skutek poodpadania farby wyglądał jak trędowaty. Umieszczono pod nim następujący napis:

O Święty Patronie Florianie!

Ochroń moje obejście, A spraw,

Niech spłonie dom sąsiada. Żarliwością wiary nadrabiał on wyraźny niedostatek miłości bliźniego.

Ganek miał ogromne znaczenie. Tutaj, zimą i latem, sypiał Michał. Porobiłam mu miękko wyścielone śpiwory, by mu

było ciepło i przytulnie. Podczas niektórych nocy w zimie powietrze było tak mroźne, aż gardło bolało przy oddychaniu, ale równocześnie tak wspaniałe, że człowiek miał ochotę śpiewać. Z młodego dębu zwisała mieniąca się zasłona sopli, z których od czasu do czasu obrywał się któryś, spadał na ziemię i rozbijał się w srebrny pył z delikatnym, szklanym dźwiękiem. W słoneczne dni niebo wydawało się nieprawdopodobnie ciemne na tle pokrytych śniegiem, iskrzących się szczytów. Na wiosnę słychać było spadanie lawin, a czasem widzieliśmy nawet, jak odrywają się od zboczy, w chmurze białego pyłu. Stoki gór gwałtownym urwiskiem spadały w jezioro, a w lecie płonęły jaskrawą czerwienią górskich kwiatów. Przyroda w Einsiedel była potężna i dzika i czułam się wobec niej drobna i wątła, sama z dwojgiem małych dzieci w zapadłej, samotnej chacie. Latem przyjeżdżali z Monachium ludzie, by wiosłować po jeziorze, zimą zaś byliśmy przeważnie zasypani śniegiem; gdy jednak jezioro zamarzło, można było sankami przedostać się na drugą stronę. Niełatwo mi przyszło zostać wytrwałą, nie znającą trwogi góralką. Przez kilka pierwszych tygodni musiałam nieustannie zwalczać drobne, pozornie nie do przewyciężenia przeszkody. Rezygnacja z wszelkich zdobyczy cywilizacji jest mocno wątpliwym przedsięwzięciem i niech mnie nikt nie usiłuje przekonać, że życie na wyspie bezludnej może być miłe. Jak tu na przykład rozpalić ogień, by nie napęlić dymem całego domu? A jak rąbać drewno na małe szczapy i suszyć je potem? Nalewać naftę do lamp i zapobiegać kopceniom? A jak postarać się o przewiezienie kupionych w Ansbach artykułów żywnościowych, które łodzią trzeba było przeprowadzić przez jezioro? A codzienne brnięcie po śniegu po mleko do farmy Gabla lub wyprawa wysoko w góry po drób i jajka do matki Guggl? Górale nie są rozmowni i niewiele wykazują uprzejmości w stosunku do obcych. W ich

przekonaniu byłam po prostu matołkiem. Nie potrafiłam przecież ani upiec chleba, ani zabić prosiaka, ani zrobić kielbas, a gdy rój pszczół opadł przypadkowo na moim ganku (co było uważane za specjalnie szczęśliwy znak), nie umiałam go schwytać i osadzić w ulu. A kiedy jeden z chłopców od Gugglów zlitowawszy się zrobił to za mnie, jesienią bałam się odebrać plastry.

Gdyby nie to, że ludzie w Einsiedel mieszkali w takiej odległości od siebie, kto wie, czy nie byłiby zdolni do ukamienowania mnie za zmuszanie dzieci do sypiania na mrozie. Szybko doszli do przekonania, że jestem nieszkodliwą wariatką. Każdą przysługę oddawali mi bardzo niechętnie, a gdy w zamian ofiarowywałam im trochę pieniędzy, utwierdzało ich to w przekonaniu, że rzeczywiście jestem niespełna rozumu.

Pamiętam, że odczuwałam wtedy nieustanny ból w plecach, ręce stwardniały mi jak drewno i chwilami obawiałam się, że zwariuję w samotności. A jednak jakże pięknie i czysto, jak przestronnie było dokoła i jak wolnym czuł się tam człowiek! Micki rósł i nabierał zdrowia, a Einsiedel było chyba jedyną miejscowością, w której mogliśmy się utrzymać za moją zdewaluowaną rentę wdowią po oficerze, w tych oszalałych latach inflacji.

To oczywiście Klara wynalazła mi ten zakątek, ona, tak zawsze w porę znajdująca się pod ręką. Co więcej, przyjeżdżała do nas latem na przedłużające się z reguły weekendy, a zimą na narty. Pewnego razu przesiedziała nawet ze mną cały miesiąc, naderwawszy sobie ścięgno. Od czasu do czasu brałam moich chłopców, przeprawialiśmy się przez jezioro, wsiadaliśmy w pociąg jadący do Ansbach (bo cywilizacja kwitła przecież o miedzę od naszego prymitywnego bytowania) i zjeżdżaliśmy do Monachium na parodniowy pobyt, pod pozorem, że należałoby Michała



poddać oględzinom lekarskim. Tymczasem doktor śmiał się tylko, gdy mu przyprowadzałam chłopca.

- Krzepki jak dąb - mawiał za każdym razem. - Zobacz pani, że prześcignie starszego brata.

Marcin był zawsze gospodarzem w domu i głową rodziny. Mały, spokojny pocziwiec, o wiele praktyczniejszy ode mnie. Każdy z chłopców miał swoje obowiązki w gospodarstwie: zbieranie chrustu na podpałkę, podlewanie ogródka, pamiętanie o pożywieniu dla kota, nalewanie nafty do lamp, karmienie kur, uważanie, by nie zmarnowała się deszczówka. Po kilku miesiącach przybyła nam nowa lokatorka: Czarna Hańba. Klara przyjechała kiedyś z Anną, a ta przywiozła swą kolorową córeczkę i zostawiła ją u nas, wyjechawszy z Klarą na artystyczny objazd. Ignominia miała trzy lata, oczka czarne jak morwa, ciemny kolor skóry i podlegała nagłym atakom płaczu lub śmiechu. Był to widok po prostu niesamowity, gdy Ignominia, ubrana w bawarski strój ludowy, ze splecionymi w cztery mysie ogonki afrykańskimi kudełkami, szła na mszę do małego kościółka. Klara płaciła za jej pokój i utrzymanie; przypuszczam, że posługiwała się tym pretekstem, by poprawić w tych najcięższych czasach inflacji stan moich finansów. Moi chłopcy chełpili się nią niesłychanie. Proszę! Mieć jasnowłose, a nawet brunatnowłose dzieci, jak Gugglowie, mógł każdy, ale nikt nie miał czarnych, tak naprawdę czarnych, i to wszędzie! Okoliczność, że Ignominia była wszędzie czarna, zdawała się mieć ogromne znaczenie dla moich chłopców. Przyłapałam ich kiedyś na tym, jak z okrutną determinacją tarli jej skórę szczotką i kawałkiem glanspapieru, używanego przeze mnie do czyszczenia miedzianych rondli. Cóż za radość! Ciemny kolor nie znikał wcale! Innym razem ujrzałam, jak badali ją wewnątrz. Marcin otworzył jej, jak mógł najszerzej, buzię, a tymczasem Michał zaglądał jej do gardła, by sprawdzić, czy wewnątrz również

jest czarna. Okazało się jednak, że nie, i chłopcy przez kilka dni chodzili oburzeni. Chyba nie zawahaliby się pociąć ją na kawałki, byle tylko móc się przekonać, jakiego koloru jest w środku, i w końcu musiałam im zrobić cały wykład, aby wyjaśnić niektóre zjawiska biologiczne. Najzabawniejsze było to, że Ignominia uległa poddawaniu się wszelkim eksperymentom, nie mrugnawszy nawet okiem na żadną torturę, zadawaną jej gwoli zaspokojenia ich ciekawości. Przypuszczam, że w swej małej, trzyletniej duszyczce czuła się niezwykle pochlebiona i zaszczycona tak niezwykłym podziwem.

Marcin zajął się od razu jej wychowaniem, z tą samą troskliwością, z jaką pomagał mi zrobić z Michała dobrze ułożonego, umiającego się znaleźć chłopca.

Ach! Jakże głęboko spokojne i pogodne bywały te zimowe noce, gdy układając całą trójkę do snu na ganku, słuchałam, jak odmawiają pacierz, a później otulałam ich po raz ostatni. Zwinięci jak trzy małe precle zasypiali szybko, co poznawałam po ich spokojnych oddechach. Pozostawałam jeszcze przez chwilę, wsłuchując się w spokój nocy. Wokół panowała taka cisza, że po prostu dzwoniła w uszach. Miałam wrażenie, że cały świat usnął i oddycha głęboko wraz z moimi dziećmi, i czułam się spokojna i bezpieczna pod opieką Boga.

## ROZDZIAŁ II

W dziesięć minut później Marion zorientowała się, że zgubiła ślad ludzi idących przodem. Uśmiechnęła się z irytacją i półkolem wróciła na własny trop do miejsca, w którym zboczyła z drogi. Ale o wiele trudniej było wracać. Poślizgnąwszy się, z trudem złapała równowagę wbijając w lód swoją siekierkę. Spokojnie, spokojnie, powtarzała sobie. Serce jej waliło, jakby miało za chwilę pęknąć. To przecież szaleństwo, nie dojdę nigdy, pomyślała. Noc zapadnie, zanim dotrę do schroniska na Arli, i co wtedy? Najlepiej będzie wrócić od razu do domu i zapomnieć o całej przygodzie. Ale gdy spojrzała za siebie na przebytą dotychczas powierzchnię lodu, z Keesem gubiącym się daleko, daleko w przestrzeni, podczas gdy zwał Grauhornu wyłaniał się pozornie tuż przed nią, zaczerpnęła tchu, rzuciła w przestrzeń nowe wezwanie i poczęła nasłuchiwać. Pięciokrotnie odbite echo powtórzyło jej okrzyk. Przymknęła powieki, by pozwolić odpocząć oczom, tak potrzebnym teraz do odnalezienia zgubionego śladu, i ujrzała czarowną wizję - Krzysztofa przepływającego się przez ten lodowiec, takiego jak wtedy, gdy szli tędy razem. Tak pewnie wędrował przed nią, jakby stąpał nie po zdradliwej, śliskiej powierzchni, lecz po puszystym trawniku swojej angielskiej ojczyzny. Była to tak miła i wyraźna wizja, że Marion uśmiechnęła się do niej z zamkniętymi oczami, a nawet otwarłszy je i ruszywszy dalej, nie przestawała się uśmiechać. Starła się odpocząć nieco, pofolgować mięśniom i wyrównać oddech. Weszła na skalny występ i rozejrzawszy się dokoła ujrzała zgubiony ślad, szeroki na stopę, nie więcej; znajdował się w odległości zaledwie dwudziestu metrów, ale dzieliły ją od niego dwie lodowe szczeliny.

I właśnie w chwili, gdy przesuwiała się śnieżną przełęczą, Marion poczuła nagle, że pod jej stopami otwiera się przepaść. Dalszy ciąg nastąpił tak szybko, że nie miała czasu

zorientować się w sytuacji. Czowała, że leci w przepaść i instynktownie szukała punktu zaczepienia. Lód łamał się jej w palcach, a ona tymczasem ześlizgiwała się i leciała coraz głębiej. Kryształki lodu i śnieg zasypywały jej twarz, całe ciało bolało. Siekierkę wytrąciła jej z ręki jakaś silniejsza zapała. Spadała i spadała coraz niżej, i wydawało się jej, że nieskończenie długo leci w głąb lodowca. W końcu zatrzymał ją poprzeczny blok lodu. Ostatnie uderzenie, ostry przeszywający ból. Marion fiknęła koziółka i usiadła.

- Idiotycznie! - powiedziała głośno, udzielając sobie surowej nagany.

Musiała teraz wziąć się w garść, by nie ulec panice na skutek wstrząsu. Serce biło jej szybkim, nierównym rytmem i drżała od stóp do głów.

- Musisz głęboko oddychać! - nakazała sobie.

Po kilku minutach, a może było to tylko kilka sekund, odzyskała władzę nad własnymi nerwami i usiłowała rozejrzeć się w sytuacji. Oczy przywykły na tyle do dziwnego półmroku, że mogła rozejrzeć się wokół siebie. Pierwszą jej myślą było (oto cała Marion): Jakież to piękne! Nieprawdopodobnie, nierealnie piękne. Potem wsunąwszy rękę do kieszeni kurtki, z westchnieniem ulgi namacała papierosy i zapalniczkę. Głęboko zaciągnęła się dymem i roześmiała się.

- Coś podobnego nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy w życiu! - powiedziała głośno. - Aleś musiała zabawnie spadać, moja droga! Zdaje się, że jesteś odcięta od świata. Skup się i zastanów, co teraz zrobić.

Sytuacja nie była taka zła, jak jej się wydawało, gdy spadała. Wtedy miała wrażenie, że leci z wysokości Empire State Building, lecz spojrzawszy teraz w górę spostrzegła, że brzegi rozpadliny nie były zbyt oddalone. Bryła lodu, która ją zatrzymała, oddalona była od powierzchni lodowca o

wysokość mniej więcej jednego piętra. Ciemne niebo wisiało zupełnie nisko, a słońce zaglądało w szczelinę oświetlając przeciwległą ścianę i niecąc w jej błękitnej przezroczystości tysiące iskier. W tym szerokim strumieniu światła słonecznego, którego można by nieledwie dosięgnąć ręką, było coś bardzo krzepiącego. Gorzej było natomiast spojrzeć w dół, gdzie pod zesłanym Marion przez łaskawe losy tronem, ziała mroczna, głęboka przepaść.

Marion zamrugła oczami: tam, pod nią, leżała jej siekierka, zaczepiona o lodowy występ mniej więcej w odległości dziesięciu metrów, w miejscu, gdzie błękitna szczelina rozszerzała się w ciemną bezdeń. Nie było sposobu, by ją odzyskać. Pożegnajmy się z nią raz na zawsze, pomyślała Marion, zdecydowana dzielnie znosić przeciwności losu. Wypaliła papierosa, starannie zgasiła niedopałek o lodową skałę i cisnęła go w przepaść. Kręciła się, by znaleźć wygodną pozycję, w której mogłaby poczekać na dalszy rozwój wypadków. Na szczęście szczelina była odległa zaledwie o kilka metrów od trasy, którą przebywano lodowcem. A w tej chwili na lodowcu znajdowało się pięć osób, no i Krzysztof! Na pewno zjawi się wkrótce, by wydobyć ją z matni, bo przecież niemożliwe, by nie usłyszano jej głosu, gdy ustawicznie będzie wzywać pomocy.

A gdyby nawet to zawiodło, pomyślała, to trzeba będzie jakoś wydostać się stąd o własnych siłach. Pewnie że nie będzie to łatwe bez liny, ale da się zrobić. Jej oczy poczęły automatycznie notować każdą, najdrobniejszą chropowatość, gdzie można by postawić nogę i zaczepić palce. Gdybym miała siekierkę, byłoby to dziecinną zabawką, przyszło jej na myśl. Wiedziała dokładnie, gdzie wyrębałaby sobie stopnie w stromej ścianie... Gdyby miała siekierkę... Niespełna trzy metry dzieliły ją do ocalenia.

- No ale przecież nie masz siekierki, moja droga, więc nie ma o czym mówić. Spróbujemy wołać.

Jej głos zgubił się jednak w szczelinie i zabrzmiał przerażająco nagle. Trzeba krzyczeć głośniejsze, pomyślała, nie jest to przecież akustyka łazienki. Napęliła powietrzem diafragmę i wytchnęła; i oto nagle z jej gardła wydobyło się prawdziwe jodłowanie! Zastęchała się w nie zdumiona i pełna podziwu. Człowiek uczy się wszystkiego, gdy przyjdzie taka potrzeba, przemknęło jej przez myśl. Wstrzymała oddech i zaczęła nasłuchiwać. Tak, zdawało się jej, że słyszy w oddali, bardzo słabo, nie powtórzone przez echo czyjeś jodłowanie. Zawołała znowu.

Tutaj głęboko panowało lodowate zimno. Marion pomyślała z radością, jak to dobrze, że przynajmniej nie zgubiła plecaka. Stanowił on teraz doskonałą warstwę izolacyjną pomiędzy ścianą lodu a jej grzbietem, za to uczucie w pośladkach nie było wcale miłe: zdawało się jej, że przymarza do siedzenia. Zaszło jej w ustach, ręce i lewy policzek miała pościerane do krwi. Coraz to nowy ból dawał się jej teraz we znaki, gdy minęło pierwsze oszołomienie. Ale najbardziej niepokoiło ją dziwne uczucie i bezwład prawej nogi w łydce. Próbowwała poruszyć nią, ale nadal była w jakimś dziwnym stanie. Marion wsunęła się wtedy głębiej w bezpieczny kąt między ścianą rozpadliny a małym blokiem lodu sterczącym przed nią niby poręcz i litościwie przesłaniającym jej głębiej przepaści.

Nawoływała bezustannie. Tym razem wydało się jej, że słyszy bliższą, wyraźniejszą odpowiedź. Byłam przecież nieraz w gorszym położeniu, myślała sobie. W Wołczyńce było o wiele gorzej. A gdy Michałowi groziła ślepotą, czyż nie była to straszniejsza sytuacja? Zapaliła znowu papierosa i na nowo zaczęła nawoływać.

W każdym razie mam tu cudowny widok. Szkoda, że nie wzięłam z sobą aparatu fotograficznego. Zupełnie jak pałac lodowy lub jaskinia pełna szmaragdów i diamentów. Zadowolona jestem trochę z tego, że wpadłam w tę jamę, jest to bądź co bądź przeżycie, którym nie każdy może się pochwalić. Jestem z tego tak uradowana jak Kathi ze swojej drewnianej nogi. Mam jednak nadzieję, że pośladki nie przymarzną mi do mego tronu. Zimno tu bardzo, ale nie niepokoję się wcale, nie czuję się ani nieszczęśliwa, ani przerażona. To przecież zupełnie naturalne, że człowiek marznie w głębi takiej biało - zielonej lodowej szczeliny. Czuję się jak sześćdziesiąt kilo zamrożonego mięsa. To najzabawniejsza przygoda, jaka mnie spotkała w moim śmiesznym życiu. Chciałabym móc chodzić teraz, tak jak chodziłam sobie rano. Uważaj, Marion, bo możesz zjechać na samo dno tej czeluści... jak na sankach. Teraz dobrze. Na razie musimy tylko czekać, Krzysztof przyjdzie na pewno.

I tak Marion czekała, siedząc, paląc papierosa, nawołując w regularnych odstępach czasu i znowu nasłuchując. Usiłowała przypomnieć sobie wszystkie rady, których ongiś udzielił jej Maks Wilde, stary, doświadczony góral, od którego pochodziły wszystkie jej wiadomości dotyczące gór, wspinaczki i lodów. Od kilku lat nie myślała o nim, a teraz nagle przypomniała go sobie. Myślała o nim uparcie, nasłuchując i badając wzrokiem ściany szczeliny w poszukiwaniu sposobu wyjścia, gdy tymczasem słońce poczęło cofać się cał za całem ku krawędziom przepaści.

\* \* \*

Maks Wilde zjawił się u nas w okresie, gdy przeżywaliśmy najcięższe czasy. Było to na wiosnę, gdy południowy wiatr spowodował nagle tak gwałtowne topnienie lodów na szczytach, że rzeki nie mogły pomieścić takiej ilości wód. Jezioro było spienione i wystąpiło z brzegów, zalewając

ścieżkę. Byliśmy odcięci od świata. Gdy tego ranka wybrałam się po mleko do Gabla, gospodarz mruknął, że gdzieś niżej osunęła się góra. Jeśli chodzi o groźbę powodzi, to nasz domek był poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Za to pod każdym innym względem był w opłakanym stanie. Dach wyglądał jak sito. Na szczęście były w nim jeszcze miejscami całe kawałki, toteż umieściłam materacyki dzieci w miejscach jako tako chronionych przed wilgocią. Marcin i Micki, przejęci własną ważnością, spoceni i zasapani, ułożyli deski, po których można było przejść z pokoju do pokoju, od komina do stołu i od stołu do szafy.

Ignominia, przycupnąwszy na taborecie, chlapała bosymi nóżkami w wodzie i bawiła się w jedną ze swych ulubionych zabaw. Każdy paluszek jej małych nóżek był zwierzątkiem: Anky, Panky, Lanky, Manky i Sanky, i kąpała wszystkie po kolei. Szalejąca burza i ulewa przyniosły ze sobą niemal nocne ciemności; czułam się tak, jak musiał się czuć patriarcha Noe w swojej arce.

Było zimno, a spaliliśmy cały nasz zapas drewna. Nie pozostawało mi nic innego, jak wzięwszy stajenną latarnię, pobrodzić przez podwórze do szopy, obok której składaliśmy nasze drzewo. Za przykładem Ignominii zdjęłam buty, płaszcz nieprzemakalny zarzuciłam na głowę i odważyłam się wyjść na ulewę. Podwórze tworzyło jedno wielkie bajoro i od razu głęboko zapadłam się w błoto. Drzewo przemokło zupełnie; strumienie wody spływające z dachu zalewały je obficie.

Wyjawszy klucz otworzyłam szopkę, gdzie trzymałam konserwy. Drzwi nasiąkły wilgocią i musiałam pchnąć je silnie.

- Dobry wieczór, matusiu - zabrzmiał nagle w ciemnościach gruby głos.

Serce stanęło mi w piersiach; tyle się przecież nasłuchiwałam o złodziejach i rozbójnikach, chociaż u mnie w



domu nikt jeszcze nie ukradł niczego. Skierowałam światło latarni w stronę, skąd dochodził głos, i ujrzałam leżący na podłodze, pomiędzy puszkami konserw, kłęb szmat. Wszyscy przywykliśmy wtedy konserwować zapasy żywności, narzuciły to nam ciężkie czasy.

- Nie bójcie się, matusiu - odezwał się głos z toboła. - Nie zrobię wam nic złego. Ale leje, co? Mielibyście sumienie wygnać mnie stąd?

- Jakeście się tutaj dostali? - spytałam zmieszana. Tobół uniósł się w górę, na chwilę zamajaczyły w półmroku dwie bose stopy. Były obłoczone, a u jednej brakowało trzech palców. Z drugiej strony toboła, gdzie znajdowała się głowa, dobiegł cichutki śmiech.

- Matusiu, jeśli boicie się złodziei, to trzeba się postarać o lepsze zamknięcie. Ja sobie poradziłem kozikiem, wiecie?

Pozbierałam w fartuch kilka puszek.

- Niczego nie ukradłem - powiedział.

Był już w podeszłym wieku, choć głos miał jeszcze młody i silny. Długie, siwe włosy opadały na opaloną twarz, przypominającą mapę, na której plastycznie przedstawiono rzeki i pasma górskie. Oczy miał jak jeziora na mapie: jaskrawoniebieskie i głęboko zapadnięte.

- Zdycham z głodu, ale nie wziąłem niczego - powtórzył.

- Nie mógłbym jednak przysiąc, że nie włożę czegoś do gęby, jeśli mi się głód zwiększy - dodał, śmiejąc mi się w nos.

- Skądęście przyszli? - spytałam.

Zrobił nieokreślony ruch ręką w stronę północnego zachodu.

- A stamtąd. Z gór.

- Co? Przychodzicie z Watzmanna podczas takiej pogody? Zlazł ze swego miejsca i od razu na podłodze, u jego zabłoconych nóg, utworzyła się kałuża, a z przemoczonych kosmyków włosów poczęła naokoło ściekać kroplami woda.

- Z Watzmanna czy z jakiegoś innego szczytu, matusiu - powiedział wesoło. - Nie byliście nigdy, maticzko, w Himalajach, to są dopiero góry, a nie takie kretowiska!

- Cóż wy możecie wiedzieć o Himalajach? - powiedziała zdumiona.

- A bo byłem w Karakorum w dziewięćdziesiątym ósmym roku z wyprawą Whitley'a. Wiem, co myślicie w tej chwili. Myślicie se pewnie: „co za kłamczuch!“. Ano, to popatrzcie.

Rozpiął na piersiach koszulę czy raczej coś, co miało być koszulą, i ujął łańcuszek zawieszony na szyi. Ujrzałam skłębione siwe włosy, wyzierające z dziurawego płótna, i ramiona pokryte tatuażem.

- Patrzcie - powiedział ukazując dziwaczny skórzany worek, który nosił na piersiach.

Kucnąwszy, rozwiązał worek i rozłożył wydobyte zeń papiery na swoich kolanach. Zobaczyłam wśród nich książeczkę wędrownego czeladnika, pozostałość po starym, niemieckim związku; na koniec wyjął wycinek z gazety, wyblakły, pożółkły i zniszczony. Była to reprodukcja z jakiegoś ilustrowanego dziennika, przedstawiająca grupę mężczyzn w zabawnych kostiumach turystycznych.

- To jestem ja - rzekł wskazując jednego z nich brudnym, sękatym palcem. - Ładny chłopak, nie? No więc to było w roku 1898. Dużo wody upłynęło od tego czasu.

Włożył wycinek do worka, a worek wsunął z powrotem pod koszulę. W przyszłości miałam się przekonać, jakim skarbem był ten worek dla Maksa, i jak wielkim zaufaniem zaszczycił mnie wówczas, pokazując mi jego zawartość zaraz po naszym poznaniu. W końcu jednak ten sam worek miał go kiedyś zdradzić i wydać na łup przeznaczenia...

Tymczasem dzieci wyszły na ganek i zaczęły wołać do mnie, czemu zasiedziałam się tak długo i czy nie potrzebuję pomocy Marcina.

- Nie, nie! Zostańcie tam, na litość boską! Już wracam! - krzyknęłam.

Maks z widoczną przyjemnością słuchał, jak cała trójka poczęła teraz wrzeszczeć na wyścigi:

- Prędzej! Spiesz się! Jesteśmy głodni!

- To wasze? - zapytał.

- Dwoje z nich. Wiecie... mamy u siebie małą Murzynkę... rozumiecie... z czasów, gdy były wojska okupacyjne...

Skrzywił się przyjaźnie.

- Białe czy czarne, wszystko jedno. Gdybyście, matusiu, jak ja widzieli wszystkie rasy pod słońcem, to by was już nic nie dziwiło. Pod skórą wszyscy jednacy. Wbijcie nóż, popłynie jednakowo czerwona krew; zadajcie im ból, będą płakać jednakowo gorzkimi łzami.

- Zdaje się, żeście niejedno w życiu widzieli - powiedziałam.

W Einsiedel nie kwitła rozmowność, toteż zabawnie było pogadać z tym starym włóczęgą. Skierowałam się do drzwi i spojrzałam na mokre drzewo.

- Co za świństwo - powiedziałam w rozpaczy.

- A gdzie gospodarz? - spytał Maks.

- Gospodarz? Nie ma żadnego gospodarza. Jestem tutaj sama z dziećmi.

Zaledwie wymówiłam te słowa, ugryzłam się w język. Przecież przyznać się takiemu obieżyświatowi do braku mężczyzny w domu, znaczyło wywoływać wilka z lasu! Przy mdłym świetle latarni zdawało mi się, że dostrzegam w jego oczach jakiś niedobry błysk.

- To nie ma mężczyzny? - zaśmiał się. - Szkoda, nikt wam tedy nie rozgrzewa łóżka?... Czekaście, ja wam zaniosę.

Gwałtownym ruchem chwycił naręcze drzewa i ruszył przodem.

- Słuchajcie no - powiedziałam. - Jeśli nawet nie ma w domu mężczyzny, to jest rewolwer mego męża, i nie myślcie, że...

Zatrzymał się i odwrócił ku mnie.

- Jezus Maria! Ależ matusiu, nie można przecież być tak strasznie podejrzliwą! - zażartował. - Coś wam powiem: nigdy nie trzeba się bać, a jeśli już się boicie, to nie pokazujcie tego po sobie. Chodźcie tędy. Przeskoczcie tutaj. W porządku.

Rzucił przed nami polana, jedno po drugim, podnosząc je zaraz po przejściu. Gdyśmy wreszcie dotarli w ten sposób do drzwi kuchni, gdzie czekały dzieci, zatrzymał się.

- Chętnie bym wam pokazał, jak można rozpalać mokre szczapy - rzekł. - Ale jeśli się obawiacie, nie wejdę do domu. Może wystawicie mi tu jakiś talerzyk zupy, mameczko? Nie będę musiał wtedy kraść.

Nie wiedziałam, co począć, i nagle, gdy tak stałam, pełna obaw i niezdecydowana, podszedł do nas Marcin i potrząsając ręką Maksa, powiedział swym jasnym, wysokim, chłopięcym głosem:

- Czy pan lubi klopsy? Moja mamusia robi najlepsze klopsy w całym Einsiedel. Proszę, niech pan wejdzie i przekona się. My bardzo lubimy gości, prawda, matusiu?

W ten sposób Maks Wilde wszedł do naszego domu i mieszkał z nami przez dwa lata.

Mężczyźni są z natury koczownikami. Poznawszy cię, pozostają przez jakiś czas przy tobie, potem cię opuszczają. Idą na wojnę, gdzie zabijają innych i w końcu sami giną, albo bankrutują i popełniają samobójstwo w toaletach giełdy. Czasem zakochują się w innej i odchodzą. Niektórzy zostają, ale tak zmienieni, że to prawie to samo, jakby odeszli. Ktoś taki jest nadal twoim mężem, ale ciągle masz wrażenie, że ten

dawny wyjechał w podróż, a pozostał manekin sypiający w łóżku obok, czytający gazety podczas śniadania i płacący rachunki. Każdy jednak mężczyzna odchodząc, pozostawia coś po sobie: czasami są to dzieci, czasami pieniądze, czasem opinia, jaką miał u ludzi; zostają po nim płyty, przepisy na cocktaile, numer telefonu, czasem garść doświadczeń lub odrobina wiedzy; czasem nieukojoną tęsknotą za dotknięciem jego rąk, głosem, a czasem po prostu kropla gorzkości, jakaś zmarszczka na twojej twarzy i twardy ton w twoim śmiechu. Maks Wilde, stary włóczęga i łazik, jeśli nie coś gorszego jeszcze, dał mi wartości cenniejsze i bardziej trwałe, choć nigdy nie dotknął nawet czubka mego małego palca. Ale i on odszedł i został w końcu zabity.

Mój Boże! Jakie łatwe i miłe stało się życie z chwilą przybycia Maksa! Bardzo kochał dzieci, a malcy uwielbiali go po prostu. Naprawił dach i odtąd woda przestała się wlewać do naszego domu. Przebudował komin i teraz drewno zawsze paliło się dobrze, bez względu na to czy było suche, czy mokre. Nie dusiliśmy się już w kłębach dymu i tylko miły zapach płonących szczap rozchodził się po całym domu. On dorobił nowe zamki do drzwi i odświeżył barwy świętego Floriana na ścianie. Uprawił nieużytki należące do domku i w małym ogródku hodował jarzyny, zioła i jagody. Potrafił również przyrządzić smaczniejsze potrawy niż kucharz w „Czterech Porach Roku” w Monachium. Nasze kury zaczęły nieść duże, brunatne jajka, a po pewnym czasie dochowaliśmy się nawet maciorki. W odpowiednim momencie Maks zabrał ją na drugą stronę jeziora do pokrycia, gdyż nie ufał reproduktorskim zdolnościom knura z gospodarstwa Gugglów.

Maciorka oprosiła się dwa razy w ciągu roku: w jednym miocie dwanaścioro, w drugim czternaścioro prosiątek. Maks wezwał wtedy do pomocy dzieci, zaznaczając z naciskiem

ważność wydarzenia. Mieliśmy teraz własne kielbasy, szynki i słoninę, a w dodatku kapustę i kartofle, w czasie, gdy nawet za biliony marek nie można było dostać takich produktów. Mieliśmy też kozę z dwoma kozłętami; jej mleko miało podobno, „doskonale zrobić” Michałowi, ale cóż, skoro oświadczył, że czuć je starymi butami i nie zmuszałam go do picia.

Niedługo doszliśmy do własnej krowy. Została ona umieszczona w czystej obórcie, zbudowanej przez Maksa z kawałków pni naniesionych na brzeg jeziora. Krowa została nazwana Amelią, a dzieci odnosiły się do niej z takim szacunkiem, jakby była królową Sabą. Nie było niczego, czego Maks nie potrafiłby zrobić, ani takiego rzemiosła, którego by kiedyś w życiu nie wykonywał. Zrobił nam meble, na których wymalował róże i niezapominajki. Ponaprawiał moje miedziane rondle i stale reperował buciki dzieciom. Z poziomek, które dzieci znosiły do domu, robił soki. Chłopcom zmajstrował łuki i strzały i nauczył ich strzelać. Miał błogosławione, szczęśliwe ręce: zawsze brudne, czarne i sękaty jak korzenie, zalatujące klejem, wnętrzościami prosiaka, prochem i setką innych woni. Ale wszystko, czego dotknął tymi rękami, kwitło i rozwijało się, począwszy od pszczoł w ulach, a skończywszy na Ignominii, która ubóstwiała Maksa; począwszy od królików, co - w przeciwieństwie do królików sąsiadów - nigdy nie dostawały kolki, a skończywszy na Michale, który w ciągu tych dwóch lat rozwinął się bardzo i wyrósł na ślicznego chłopca, o włosach spłowiałych od słońca, opalonej buzi, policzkach rumianych jak brzoskwinia, potrafiącego utrzymać w karchach swe nierówne usposobienie.

Cóż z tego, kiedy stary włóczęga nie chciał osiąść u nas na stałe. Jego pobyt nosił cechy czegoś przejściowego. Przychodziły takie okresy, że znikał i nie widzieliśmy go

nieraz przez kilka tygodni. Wraciał jednak zawsze, ponieważ zapomniał o czymś ważnym i wynajdywał sobie wymówki i powody, dla których musiał zostać. Trzeba było na przykład zaprowadzić Amelię do byka Gugglów; była to ważna sprawa i musiała być umiejętnie przeprowadzona. Dzieci oczywiście były przy tym obecne, tak samo jak przy narodzinach prosiątka, by wcześniej i z należytą powagą nauczyły się podchodzić do pewnych zjawisk w życiu. Maks uważał, że zapewni im to w przyszłości zdrowy i jasny pogląd na te sprawy, a mnie oszczędzi niepotrzebnego kłopotu trudnych wyjaśnień, jakie rodzice muszą dawać dzieciom. A później trzeba było znów poczekać, aż się urodzi cielątko. Był to udany cielak i Maks musiał go odchowować, by w odpowiednim czasie zaprowadzić do rzeźnika w Ansbach.

I tak nadeszła jesień, a nie była to pora odpowiednia do wędrówki w świat, i Maks w ten sposób został u nas przez cały rok. Byłam już skłonna przypuszczać, że na dobre zrezygnował z awanturniczego życia na rzecz ciepłego kąta przy domowym ognisku, gdzie dzieci chodziły mu po głowie.

Bywały z nim jednak kłopoty i nasze stosunki nie zawsze układały się tak gładko. Na przykład Maks unikał zetknięcia z policją i ani rusz nie chciał iść do Ansbach i zameldować się u miejscowych władz. Pewnego dnia przyszli do nas żandarmi, by spisać protokół dotyczący osobnika, będącego moim lokatorem, parobkiem, czy kim on tam był, a wtedy Maks zniknął na trzy dni. Gdy wrócił, wzięłam go po prostu za kołnierz i zaprowadziłam do biura meldunkowego. Tutaj Maks wydobył ze swego mieszkania papiery, które okazały się być w porządku. Mogliśmy spokojnie wracać do domu. Jedyną nieoczekiwaną rzeczą był fakt, że według posiadanych papierów Maks nie nazywał się Maks Wilde, ale Emil Hacker.

- No i po co było robić tyle komedii? Nie zjedli was przecież, prawda?

- Nie znoszę ich wszystkich! Wy, matusiu, nie znacie tak dobrze tych glin jak ja. A ci po biurach to najgorsi! Tylko życie człowiekowi utrudniają.

- Ale jak wy się właściwie nazywacie? Maks czy Emil?

- Jestem Maks - odparł, krzywiąc się po swojemu - a Emil, pokój jego duszy, był chłopcem o wiele porządniejszym ode mnie.

Doszłam do wniosku, że prawdopodobnie ukradł te papiery lub Emil został zabity w jakiejś bójce i wtedy Maks, z wiadomych powodów, zatrzymał sobie jego papiery.

- Wy się nigdy o nic nie wypytujecie, mateczko, i to mi się w was podoba - powiedział Maks, a mnie to dziwnie pochlebiło. - Baby mają zwyczaj wydobywania wszystkiego z człowieka, a później go zdradzają, bo są za durne na to, by trzymać język za zębami. A wy nie.

- Nigdy nie uważałam was za niewinnego baranka, od pierwszej chwili, gdy was zastałam w mojej szopie - odparłam. - Ale nic mnie to nie obchodzi, dlaczego Maks musi się trzymać z dala od żandarmów, a Emil może im spokojnie patrzeć w oczy.

Tatuaż pokrywający jego suche, brunatne ciało, który było widać, gdy pracował z obnażonym torsem, mógłby przyprawić o rumieniec wstydu nawet właścicielkę domu publicznego w Port Saidzie. Ale my wszyscy tak już przywykliśmy do scen wyobrażonych w okolicy pępka, że nikt na to nie zwracał uwagi. Maks pokryty był też bliznami i brakowało mu trzech palców u nogi.

Pierwsza zauważyła to Ignominia.

- Przecież ty nie masz Anky, Panky i Lanky? - zawołała. - Coś ty z nimi zrobił?!

- Zjadłem! - odpowiedział Maks. Dzieci uwielbiają takie żarty.



- A ja wiem! - krzyknął podniecony Micki. - Wpadłeś raz w sidła, usłyszałeś, że zrobiły „klik” i już byłeś złapany w potrzask! Wtedy urwałeś je zębami i w ten sposób uratowałeś się.

- Masz trochę racji. Tylko że to nie był potrzask. Było to kilka lat temu, w północnej Kanadzie. Szukaliśmy, ale nie złota, tylko radu. To wygląda tak nijako, jak wysuszone końskie łajno. A więc, jak mówiłem, były tam takie tereny, nazywało się to Diabelski Komin, a mróz dochodził do 35 stopni poniżej zera. Wiecie, co to znaczy? Wtedy odmroziłem sobie Anky - Panky - Lanky i myślę: „Słuchaj, stary, jeśli nie pozbędziesz się od razu tych paluchów, to jesteś ugotowany”. Ano, wziąłem kozik i oderżnąłem je. To wcale nie boli na mrozie. Zupełnie nie boli. Dopiero później, na wiosnę, kiedy odmarznie.

Mówiąc to wziął swój kozik i począł mu się uważnie przyglądać. Był to jego drugi skarb, gdyż, jak się zdaje, towarzyszył mu we wszystkich przygodach. Ostrza były już bardzo wąskie na skutek używania, a miedziana oprawka wytarta i zniszczona.

Co do jego palców u nogi byłam przeświadczona, że wszystkie jego opowieści były kłamstwem. Możliwe, że je odmroził, możliwe, że sam je sobie obciął, ale w żadnym wypadku nie mogło to być przed paroma laty. Kiedy przyszedłszy do nas z błogim westchnieniem zanurzył swe zabłocone nogi w ciepłej wodzie, jedna z nich wykazywała straszliwy stan zapalny i brak świeżo obciętych palców. Musiałam przywołać na pomoc całe doświadczenie, jakie zdobyłam kiedyś jako pielęgniarka, zanim udało mi się powstrzymać ropienie i doprowadzić do prawidłowego zagojenia się ran.

Toteż na temat braku palców miałam własne zdanie. Ważne musiał mieć powody człowiek, który wolał raczej w

mękach przebyć Watzmann niż udać się do szpitala. Nie zadawałam jednak żadnych pytań. Robiłam to jednak nie ze szlachetnych pobudek, bynajmniej. Po prostu uważałam, że nie mogę sobie pozwolić na zbytek dowiedzenia się o nim czegoś takiego, co zmusiłoby mnie do wydania go w ręce policji.

Pewnego razu Maks, udawszy się do Ansbach, wrócił kompletnie pijany. Nie chcąc, by dzieci ujrzały go w tym stanie, zawlokłam go do szopy i zostawiłam tam, póki z niego nie wyparuje alkohol. Przykro było dotykać kogoś tak zionącego wódką i w tej przykrew chwili nienawidziłam go za to, że postawił mnie w takim położeniu. Tym bardziej byłam zdziwiona później, widząc, jak dalece upadł na duchu, gdy odzyskał przytomność.

- Matusiu (ciągle nazywał mnie tak, pomimo własnej siwizny), matusiu, jeśli jeszcze raz złapiecie mnie na pijaństwie, weźcie łańcuch i mocno mnie gdzieś przywiążcie. Kiedy jestem urżnięty, to, widzicie, nie wiem, co robię, a to straszne. Nie mogę wam opisać, co się ze mną dzieje, gdy otrzeźwieję. Boję się... tylko wtedy się boję. Patrząc na swoje ręce i myślę sobie: „O, moje ręce, co wyście robiły, kiedy byłem pijany? leżeliście popełniły coś złego, to wolałbym skonać na miejscu!” Rozumiecie? Jak raz wytrzeźwiałem, to miałem ręce całe we krwi i myślałem sobie: „Czy te ręce zabiły kogoś?” To najstraszniejsze uczucie, człowiek oblewa się wtedy zimnym potem, który strumieniami spływa mu po całym ciele! Ale wtedy to nie było nic takiego. Rozbiłem butelkę i po prostu poharatałem sobie ręce. Ale, na miłość boską, mateczko, nie pozwalajcie mi więcej chlać!

Jeszcze gorszą przeprawę miałam z nim, gdy kiedyś przyszedł do mnie Gabel ze skargą, że Maks nagabywał jego najmłodszą córkę. Gospodarz przysięgał, że skreśli mu kark,

jeśli Maks jeszcze raz ośmieli się do niej zbliżyć. Obiecałam sama rozmówić się z winowajcą...

- Jak mogliście zrobić coś podobnego? To przecież niesłychane! - powiedziałam. - Jeśli to prawda, to aż mnie mdli na samą myśl o tym.

- A cóż to takiego niesłychanego? Chłop przecie jestem, a ona kobieta. No więc co?

- Przecież ona ma dopiero dwanaście lat! To jeszcze dziecko! - krzyknęłam.

- Ale już jest kobitą. To wcale nie zależy od wieku. Już jest dojrzała i potrzeba jej chłopca. Jak krowa się grzeje, to się ją prowadzi do byka, a jeśli dziewczusze potrzeba tego, co to wiecie, to się z nią robi tyle ceregieli! Zastałem ją kiedyś w niedzielę zbeczaną, bo wszystkie inne dziewczyny poszły ze swoimi chłopakami, a ona nie miała nikogo. No to trochę pozalecałem się do niej, żeby ją pocieszyć. Tak to było.

- Doskonale! Jeśli był jej potrzebny przyjaciel, mogliście jej posłać jakiegoś młodego chłopaka. Wy już jesteście starzy i powinniście się wstydzić - powiedziałam, zdając sobie sprawę, jak dalece nie nadaję się do prawienia morałów temu staremu grzesznikowi.

- Ej, jeśli się o to rozchodzi, to taki stary chłop wie lepiej od tych młodych kogutów, czego dziewczusze potra - odrzekł z brzydkim błyskiem w oczach. - A zresztą, ja nie jestem jeszcze taki stary. Mam pięćdziesiąt dwa lata, a to najlepszy wiek.

- Niemożliwe - powiedziałam zdumiona.

W moim przekonaniu Maks miał powyżej siedemdziesiątki i od dawna przekroczył wiek miłosnych podbojów.

- Chcecie obejrzeć mój paszport? - spytał drwiąco.

- Wasz czy Emila?

Splunął umiejętnie, podciągając spodnie.

- Wy sama potrzebujecie chłopca, matusiu. Takie życie jak wasze wykracza przeciw prawom natury, a to największy grzech na świecie.

To mnie zupełnie wyprowadziło z równowagi i ze złością zaczęłam mu wymachiwać pięściami przed nosem.

- Żebyście mi dziewczęta zostawili w spokoju, bo inaczej przegnam was precz z mojego domu! Chcę mieć spokój, dość już było kłopotu! Nie chcę doczekać tego, że albo Gabel was zabije, albo któryś z jego chłopców zastrzeli was tutaj, zrozumiano? A jeśli na stare lata zachciewa się wam amatorów, to idźcie do Ansbach, do którejś z dziewczyn służebnych w oberży, bo one są od tego, ale dziewczętom w Einsiedel macie dać spokój!

Powiedziałam mu jeszcze wiele nieprzyjemnych rzeczy w formie umyślnie niewyszukanej, by lepiej zrozumiał, a on wysłuchiwał wszystkiego z nachmurzoną miną.

- Dobrze już, dobrze, matusiu - rzekł wreszcie. - Nic takiego złego nie zrobiłem. Kiedyś opowiem wam o takich wyspach, na których dziewczyny dojrzewają w wieku lat dziesięciu. Odbywa się wtedy wielka uroczystość, a każdy mężczyzna w plemienu, od wodza do najmłodszego smyka, ma prawo spać z taką dziewczyną. Śmieszne, co? To są rzeczy naturalne, ale my tutaj mamy inne zwyczaje. Jeśli potrafiłem doskonale dawać sobie radę z Eskimosami i Zulusami, to na pewno poradzę sobie jakoś z tym starym niedźwiedziem, Gablem. Nie kłopotcie się o to.

Nie odzyskałam jednak spokoju i zwierzyłam się z tego kiedyś Klarze, podczas jednej z jej przelotnych wizyt. Klara miała słabość do starego, a na nim najwidoczniej robiła ogromne wrażenie. Przed jej przyjazdem kąpał się i golił starannie, wydawał mnóstwo pieniędzy na kupno nowych koszul, haftowanych szelek, a raz nawet wspaniałej pary spodni z koźlęcej skóry.

Klara, usłyszawszy o tym nowym dodatku do rejestru grzechów Maksa, była zachwycona.

- A to stary kozioł! - wykrzyknęła. - Widzisz go, starego bezbożnika! Czy ty go nie lubisz? A powiedz, co byś poczęła bez niego? Pokaż no, co tam nowego wyrzeźbił?

Maks zarabiał pieniądze, potrzebne na wódkę, wizyty w Ansbach i swoją garderobę, wyrzynaniem w drzewie różnych zabawek, które potem sprzedawał. Snycerstwo było w tych zapadłych stronach starą artystyczną tradycją. Widywałam wiele ślicznych, małych figurek Maksa, ale nigdy nie przypuszczałam, że kiedyś odegrają one w moim życiu tak ważną rolę.

Przed nadejściem Bożego Narodzenia Maks wydobył z kieszeni swój drogocenny kozik i zaczął obrabiać kawałki drzewa, które znosił do domu od pewnego czasu: orzecha, dzikiej wiśni i osiki rosnącej nad jeziorem.

- Co wy robicie? - spytałam zaciekawiona.

- Małego Jezuska w żłobku, dla dzieci. To ma być niespodzianka. Nic im nie mówcie i schowajcie to dobrze.

Pracował wieczorami, kiedy dzieci spały już na swoim ganku, a ja, oczarowana, przyglądałam się jego robocie. Było coś zniewalającego wprost w tej obserwacji i wspomnienie tych wieczorów pozostało we mnie do dziś, miłe i uspokajające. Było tak, jakbym obserwowała rośnięcie kwiatów. Na kominie huczał ogień, po którym zostało trochę jarzącego się światła; słysząc było, jak osuwają się przepalone szczapy i jak reszta dostosowuje się do tego, niby żyjące istoty, poruszające się we śnie. Czasem oberwany sopel lodu rozbijał się na zamrożonej ziemi z dźwiękiem szklanego dzwoneczka. Wióry leciały spod kozika Maksa, a w jego palcach rzeźbiony przedmiot nabierał coraz wyraźniejszych kształtów. Maks zwykle ustawiał swoje arcydzieła szeregiem na stole, żebym mogła się nimi bawić. Więc najpierw maleńki

Jezusek w swoim żłóbku, za nim klęcząca Matka Boska z bardzo zdziwioną miną, potem Józef, któremu Maks dał rysy gospodarza Gabła, trzej królowie, pasterze, aniołowie, owce, woły, drzewa palmowe. Powoli wypełniała się szuflada, w której chowaliśmy naszą niespodziankę, a Maks rzeźbiąc opowiadał mi o ludziach, których spotykał w życiu, o tym, jak ich poznał i dlaczego od nich odszedł. Słuchałam tego z lekkim ściśnięciem serca, zadając sobie pytanie, kiedy i dla jakich przyczyn opuści i nas. Życie przecież, odkąd zamieszkał z nami, stało się o tyle miłsze i bogatsze, że wprost nie śmiałam myśleć o tym, że przyjdzie taki dzień, iż będziemy musieli sami, bez niego, dawać sobie radę. Czasami, zmieniając temat, rzeźbił dziwaczne postacie.

- To są figurki, jakie wyrabiają z drzewa Maorysi w Nowej Zelandii. Nigdy nie mają więcej niż trzy palce i zawsze wywieszony język, bo Maorysi wierzą, że można wystraszyć wroga, pokazując mu język. Pomyślcie tylko: jedno dzikie plemię ludożerców zmykające ze strachu, ponieważ inne plemię ludożerców pokazało mu język!...

Maks posiadał niezwykły talent. Potrafił odtworzyć wszystko, co zobaczył. Zaludnił moją szufladę postaciami w stylu gotyckim, barokowym i wiktoriańskim, jawajskimi figuрынkami i murzyńskimi maskami. Rzeźbił czasem takie rzeczy, na które nie sposób było spojrzeć bez rumieńca wstydu, ale potrafił też robić inne. tak subtelne i delikatne, że człowiek obawiał się ich dotknąć.

- Chciałabym wam pomagać. - powiedziałam raz, po kilku tygodniach uważnego przypatrywania się jego pracy. - Przykro mi tak siedzieć, patrząc tylko, a nic nie robiąc.

- Aha, palce was swędzą, co, matusiu? No to czemu nie weźmiecie pudełka z farbami i nie zabierzecie się do malowania? W tym to ja tam jestem nietęgi.

Zaczełam więc z początku kolorować jego rzeźby, a nieco później sama wyrzeźbiłam pierwsze swoje dzieło. Maks przyniósł mi nożyk (ten sam, którego używałam dzisiaj rzeźbiąc Nerona) i specjalnie dobrany kawałek drzewa, nie tak miękkie jak sosna i nie tak twarde jak wiśnia.

- Starajcie się wydobyć to, co się w nim kryje - nakazał mi. - Jak się dobrze wsłuchacie, to drzewo samo wam powie. Bo drzewo wszystko wie, ho, ho, dokładnie tak, jak wy lub ja.

Zbadałam palcami oporność drewna i poczułam lęk przed zanurzeniem w nim noża, jakbym fałszywym cięciem mogła je zranić.

- Co mam zrobić? - spytałam.

- Próbujcie znaleźć to, co w nim tkwi. Na początek trzeba ulegać jego woli. Później będziecie mogli zmuszać je do posłuszeństwa. Zróbcie na początek coś prostego. Taką rzecz, którą dobrze znacie i lubicie, powiedzmy - jabłko. Co myślicie?

Klara ma jeszcze to jabłko. Głuptasek, używa go jako przycisku. Zabrała je z sobą, gdy w 1938 roku opuszczała Wiedeń, chcąc ocalić życie. Nie bardzo przypomina ono jabłko, ale pamiętam, że byłam z niego tak dumna, jak z urodzenia Michała.

Po trzech miesiącach snycerki doszłam do przekonania, że to jedyne zajęcie w moim życiu, sprawiające mi autentyczną przyjemność. Moje studia muzyczne były bardzo ciężką pracą. Wysiłki w okresie, gdy byłam sekretarką, nie przekroczyły nigdy poziomu amatorstwa. Praca społeczna i pielęgnarska stanowiła dla mnie raczej ucieczkę od osobistych przeżyć. A do tej pracy byłam po prostu stworzona.

- Ty przecież masz drewno we krwi, Marion - mówiła Klara, drażniąc się ze mną tą aluzją do moich przodków z czcigodnej firmy Dobsberg i Syn.

A jednak w jej słowach był cień prawdy. Wkrótce sama zaczęłam robić wyprawy po potrzebne mi kawałki drzewa, znosząc do domu ułamki kory, czubki pniaków, i gromadząc je jak czyste złoto. W moich rękach poczęło się rozwijać wrodzone wyczucie i byłam teraz bardzo zadowolona, że tak mi stwardniały w pierwszych miesiącach pobytu w Einsiedel, bo inaczej nie poradziłabym sobie teraz z drewnem. Teraz ono musiało mi być powolne. Odkryłam, że choć nie znałam świata, tak jak Maks, to i ja mam sporą ilość postaci, którym pragnęłam nadać kształty. I tak rzeźbiłam kolejno wszystkie możliwe zwierzęta: krowy, kozy, różne rasy psów, a raz nawet, w nagłym przyływie sentymentalizmu, pewnego starego kota wabiącego się Hrabianka Jolanta. Sięgnęłam również po tematy w krainę czarodziejskich baśni opowiadanych dzieciom i stopniowo porzucałam rzeczywistość, tworząc małe istotki z fantazji: karła Nochala, złą królową, zajaczka i żółwia. Łapałam się nieraz na tym, że śmiałam się serdecznie na myśl, co powstanie na przykład z kawałka brzozy, odłożonego przeze mnie na bok. Dzieci z najwyższym zainteresowaniem śledziły moje wysiłki. Skupiwszy się przy mnie, pomagały mi zarówno swymi krytycznymi uwagami, jak i pochwałami, dodającymi mi bodźca. Maks był dumny ze mnie, a równocześnie jak gdyby trochę zazdrosny. Powolutku wszystkie kąty i zakamarki naszego mieszkania zapełniły się figurkami, które zaczęły spadać i tłuc się. Dzieci również poczęły tracić poprzednie zainteresowanie tą rozrywką, zwłaszcza że nadeszło lato i miały teraz inne zajęcia.

Maks nauczył ich robić wędki; biegali teraz na poszukiwanie robaków i łowili ryby. Ukazali się pierwsi letnicy i oto do naszego rajku wraz z nimi zakradł się wąż: handel. Turyści zaczęli kupować moje figurki.



Wytwory mojej fantazji nie budziły w nich większego zainteresowania, natomiast były tam dwa dzidziusie, które szły jak świeże bułki. Jeden z nich, tłuściutki i jasnowłosy, usiłował ssać paluszki swojej nóżki, drugi zaś, leżąc na brzuszku, ukazywał światu krągły, różowy tyłeczek.

Każdy z turystów chciał dostać takie same bobaski, a pieniądze były nie do pogardzenia. Wiedziałam przecież, że przyjdzie kiedyś dzień, w którym trzeba będzie opuścić tę wioskę, gdzie czułam się tak spokojna i szczęśliwa, i wrócić do miasta, gdzie moi synowie mogliby uczęszczać do szkół. Porzuciłam więc czarodziejskie istoty zaludniające moją wyobraźnię, wywołujące przez sen uśmiech na mej twarzy i proszące, by je ożywić, a ślęczałam teraz całymi dniami nad szablonowym wyrabianiem wciąż tych samych dzidziusiów. Maks zabrał się razem ze mną do pracy i we dwójkę nafabrykowaliśmy dość bachorków ssących palec i pokazujących tyłeczki, by zarobić miliony i biliony inflacyjnych marek.

Później, w ciągu lata, zaszły rozmaite wydarzenia, które zasadniczo zmieniły moje plany.

Zaczął się od tego, że Klara przyjechała z wizytą zapowiadając, że pozostanie u nas przez dwa tygodnie, po czym Annę wraz z Ignominią zabiera z sobą do Berlina. Doznałam wrażenia, że ktoś dał mi młotkiem po głowie.

- Opuuszczasz Monachium? Wyjeżdżasz do Berlina? Zostawiasz mnie samą w Einsiedel? Ale dlaczego, na litość boską? - wykrzyknęłam z rozpaczą.

- Ponieważ Kant zaofiarował mi wymarzone stanowisko. Pamiętasz Kanta? A „Melancholijnego Pierrota”? Człowieka z demoniczną bródką i zaczarowaną pałeczką? Jest teraz dyrygentem Konserwatorium w Berlinie i pierwszym jego dziełem było stworzenie klas nowoczesnego tańca i

zaangażowanie mnie na ich kierowniczkę. Jestem teraz ważną osobą, rozumiesz, Marion?

Schani Kern, sławny już kompozytor, był również w Berlinie. Jego żona, Suzi, była primadonną w operze, i podobno bardzo utyla, jak większość śpiewaczek. Zdawało się, że wszyscy przenoszą się teraz do Berlina, a takie ogniska życia artystycznego, jak Monachium, Drezno i Wiedeń, schodzą na drugi plan.

- Jak to się stało, że oni teraz zajmują tak wysokie stanowiska? - spytałam Klarę.

- Bo teraz nadszedł nasz czas, dziecinko. Świat nareszcie nas docenił. Jesteśmy pokoleniem, które prowadzi ten bal!

Czułam lekki zamęt w głowie, przysłuchując się, jak wymienia nowe nazwiska, przytacza nowe poglądy. Stałam się wieśniaczką posiadającą własną krowę i maciorę, która lada dzień miała mieć prosięta. Maks zaszczepił ostatnio kilka dzikich wiśni, a takie doświadczenie miało ogromne znaczenie, gdyż w razie, gdyby się udało, na przyszły rok mielibyśmy własne słodkie wiśnie. Mimo to rozmowy z Klarą poruszyły we mnie jakąś uśpioną strunę. Klara pracowała teraz nad nowym tańcem i kiedyś zapytałam ją, czy mogłabym go zobaczyć.

- Poczekaj, aż przybierze ostateczną formę - odrzekła.

- Jak go nazwiesz?

- Pieta. Jest to kobieta trzymająca na łonie zwłoki zabitego syna.

W tydzień później Klara zawołała mnie do stodoły, gdzie klepisko służyło jej zamiast estrady do tańca. W stodole było chłodno i mroczno, w powietrzu unosił się wilgotny zapach świeżo skoszonej trawy. Patrzyłam na tańczącą Klarę. Był to piękny taniec i pod jego wpływem obie posmutniałyśmy. By wyrwać nas z tego melancholijnego nastroju, Klara wykonała zabawną parodię dawnych tańców baletowych, pełnych

ckliwej słodczy, efektownej beztreści i szampańskiej lekkości. Było to tak komiczne, że nie mogłam się powstrzymać od głośnego śmiechu przy tych wszystkich jej pozach i piruetach.

Gdy wyjechała, zabrawszy ze sobą Ignominę, mój smutek powrócił, a Einsiedel wydało mi się nagle zupełnie zmienione, kiedy Klara wyjechała tak daleko. By wygnać smutny nastrój z domu, zabrałam się do rzeźbienia w drzewie malutkich statuetek przedstawiających moją przyjaciółkę. Jedną nazwałam Pieta, drugą Baletnica i posłałam jej obie do Berlina jako prezent noworoczny. Maks wykpił mnie, Klara nie odpisała nawet, czy jej się podobały, i wkrótce zapomniałam o całej tej sprawie.

Niedługo potem nastąpiła stabilizacja marki. Zawaliły się stosy bilionów, świat powrócił do normalnego stanu, a ludzie znów skwapliwie zaciskali sznurki swoich sakiewek. Powróciłam do wyrobu moich bachorków z paluszkami i bachorków z tyłeczkiem, ale nikt ich już nie chciał kupować. Tymczasem w tym nowym ładzie, jaki zapanował na świecie, bardzo potrzebowaliśmy pieniędzy.

Pewnego dnia nadszedł krótki, niezrozumiały list od Klary, z załączonym artykułem z gazety. Okazało się, że Klara posłała moje figurki na wystawę sztuki stosowanej, i że odniosły one wielki sukces. W artykule omawiającym te statuetki porównywano je do rzeźb znajdujących się w katedrze w Chartres. Aczkolwiek przesada tego porównania nawet mnie wydała się śmieszna, niemniej jednak moja miłość własna została tym mile pogłaskana.

W spokojną toń mego życia został nagle wrzucony mały kamyczek. Usłyszałam pluśnięcie, na powierzchnię wydostały się drobne pęcherzyki powietrza, niknąc zaraz i zakreślając prawie niedostrzegalne kręgi. I wszystko byłoby się uspokoiło, gdyby nie to, że zamordowano jednego z ministrów.

Wspomniany minister był człowiekiem spokojnym i ostrożnym. Rząd niemiecki nie mógł, czy nie chciał zatrudnić po wojnie nikogo, kto by miał wojownicze usposobienie. Toteż gdy minister został pod Monachium zabity w pociągu, aczkolwiek nie cieszył się zbyt wielką popularnością, nikt nie wątpił, że śmierć jego będzie dla Niemiec dotkliwą stratą. Zarządzono kilka aresztowań, odkryto parę nowych tajnych organizacji i w końcu mianowano nowego ministra. Od wojny tyle zdarzyło się już zabójstw politycznych, że nie wzbudziło to specjalnego zainteresowania. Do nas w Einsiedel dotarły o tym tylko niejasne pogłoski poprzez stare dzienniki sprzed czterech dni i plotki z oberży w Ansbach.

W dwa tygodnie po morderstwie zjawił się u nas niespodziewanie Hellmuth Klappholtz i wypadki potoczyły się jak lawina. Zastałam go siedzącego w kącie naszej paradnej izby, podczas gdy Maks nie spuszczał z niego podejrzliwego i badawczego wzroku. Obaj chłopcy siedzieli na kolanach Hellmutha, a Micki po prostu szalał z radości. Zdziwiło mnie to bardzo, bo gdy wyjeżdżaliśmy z Hahnenstadt był tak mały, że nie przypuszczałam po prostu, że w ogóle mógł pamiętać Hellmutha.

- Dzień dobry - powiedziałam z głupią miną, stawiając na podłodze dwa wiaderka morw, które uzbierałam przy drodze.

Hellmuth wstał i ukłonił się po swojemu, śmiesznie stukając obcasami.

- Dzień dobry, ciotko Mario. Nie spodziewałaś się mnie, prawda?

- Nie chciałem go wpuścić - odezwał się ponuro Maks - ale nie wiedziałem, czy bylibyście zadowoleni, gdybym się z nim wdał w bójkę.

- Oczywiście, że nie. Dobrzeście zrobili. To jest mój... mój siostrzeniec.

- Naprawdę? Siostrzeniec?! - rzekł Maks, tym jednym słowem wyrażając całe morze podejrzeń. - I co? Czy on tutaj zostanie?

- To nie wasza sprawa - odparłam ostro.

Maks zagwizdał przez zęby i wyszedł z izby nie mówiąc ani słowa.

- Kto to taki? - spytał nerwowo Hellmuth.

- Nasz parobek.

- Był na wojnie?

- Nie, chyba nie.

- A więc dezterter?

- Nie bądź głupi, Hellmuth. To stary człowiek, a zresztą wojna złapała go aż gdzieś w Turkiestanie. A poza tym co to właściwie cię obchodzi? Jeśli chcesz wiedzieć, to służył nawet w Legii Cudzoziemskiej.

- Łatwiej się porozumieć z dawnymi towarzyszami broni - rzekł Hellmuth. - Prawdę powiedziawszy, nie spodziewałem się zastać tutaj jakiegoś podejrzanego indywiduum.

Spojrzałam na niego uważnie. Miał na sobie wciąż tę samą starą bluzę, te same wojskowe spodnie i te same skórzane buty z cholewami. Twarz zeszczuplała mu i wyciągnęła się, przez co broda wydawała się jeszcze dłuższa niż zwykle. Był źle ogolony.

- Głodny jesteś? - spytałam.

- Tak, dziękuję. I chce mi się pić.

Posłałam chłopców do piwnicy, gdzie w dużych, płaskich misach trzymaliśmy mleko, z którego zbierało się śmietankę. Sama podeszłam do szafy i ukroiłam kilka grubych kromek domowego chleba, posmarowałam je masłem i nałożyłam na nie kielbasę. Tymczasem nadeszli chłopcy, jak zwykle na bosaka, a każdy niósł wazkę mleka. Twarz Hellmutha rozpogodziła się nieco, gdy usiadłszy na ławce z opartymi na

stole łokciami, zaczęli wpatrywać się w niego. Zabrał się do jedzenia i picia.

- No a teraz, Hellmucie - rzekłam, gdy skończył jeść - powiedz, co cię do nas sprowadza. Może brak ci dachu nad głową?

- Robimy pieszą wycieczkę i przyszło mi na myśl, że dobrze byłoby, dla odpoczynku, zatrzymać się tu przez parę dni. Oczywiście, jeśli nie sprawi ci to kłopotu, ciotko Mario.

- Ty i kto jeszcze?

- Andrzej... Przypominasz go sobie? Hrabia Andrzej von Elmholtz. Poznałaś go przecież w Hahnenstadt. Razem wróciliśmy z Rosji.

- Gdzie on jest?

- Poszedł dalej ścieżką - odparł Hellmuth. - Jeśli zgodzisz się na nasz kilkudniowy pobyt, mam mu dać sygnał.

- Sygnał? Jaki sygnał?

- Och, jakikolwiek. Co prawda nie spodziewaliśmy się zastać u ciebie tego człowieka. Mieliśmy zamiar, że tak powiem, odosobnić się nieco od świata - ciągnął Hellmuth z wymuszonym uśmiechem.

- Słuchaj, chłopcze - przerwałam mu - widocznie znalazłeś się w takim położeniu, że ziemia pali ci się pod nogami, i chcesz się u mnie ukryć.

- Niezupełnie. Powtarzam, że robimy pieszą wycieczkę, tylko z pieniędzmi u nas krucho, a chcielibyśmy wypocząć, zanim ruszymy dalej. Jeżeli uważasz, że to oznacza, iż ziemia się nam pali...

- Wiesz dobrze, o czym myślę!

- Nie, nie wiem.

- Chłopcy, idźcie pozbierać dzisiejsze jaja - powiedziałam do Michała i Marcina, chłonących każde słowo. - I trzeba poszukać czerwonej kury, ona gdzieś w ukryciu znosi jajka.

Gdy dzieci wyszły, Hellmuth powiedział:

- Nie mam żadnych tajemnic i nie przypuszczałem, że będzie tyle kwestii o jedną głupią wizytę. Ostatecznie ty i twoje dzieci jesteście jedynymi krewnymi, jakich posiadam, i nie ma w tym chyba nic dziwnego, jeśli od czasu do czasu mam ochotę zobaczyć się z wami, nieprawdaż?

W jego słowach kryła się taka jakaś bolesna cierpliwość, że po dawnemu poczułam do niego niechęć połączoną z litością. Nic nie odpowiedziałam, usiłując odgadnąć, co może się kryć pod jego zagadkowym przybyciem. Nagle Hellmuth rzekł z wymuszonym uśmiechem:

- No więc dobrze! Aresztowano kilku naszych przyjaciół i wydaje nam się, że lepiej będzie zniknąć na razie, zanim niebezpieczeństwo nie minie.

- Więc znów się bawicie w żandarmów i złodziei - rzekłam z oburzeniem.

Zawsze robił na mnie wrażenie dziecka, którego nawet nie można winić za jego czyny. Wysłano go przecież na wojnę zanim zdążył doróść i zatrzymał się na pewnym stopniu rozwoju.

- Czy jesteście zamieszani w tę aferę z zamordowanym ministrem? - zapytałam.

Popatrzył mi prosto w oczy, niemal wyzywająco.

- Na pewno nie.

- Słowo honoru?

- Słowo honoru.

Odetchnęłam głęboko.

- Nie byłabym zachwycona, gdyby mi przyszło kryć zabójstwo polityczne, bez względu na to, jaka partia i z jakich pobudek je popełniła.

- Nie mam z tym nic wspólnego.

- No więc dobrze. Możesz dać znak swemu przyjacielowi.

Podszedł do okna, wy dobył z tornistra małe lusterko i skierował jego odbicie na jezioro. Refleks słońca muskał

powierzchnię wody. Hellmuth kilkakrotnie powtórzył ten sygnał, po czym schował lusterko.

- Mógłbyś się przy jego pomocy ogolić od czasu do czasu - powiedziałam.

Czułam prawie nienawiść do tego chłopca, który zjawił się, by zburzyć nasz spokój.

Andrzej był chłopcem o ciemnych włosach i ciemnych oczach, ubranym tak samo jak Hellmuth, ale zupełnie odmiennym. Był tak zmęczony, że po prostu robiło mu się słabo, a poza tym robił w majtki ze strachu. Umieściłam ich na poddaszu, w pokoju zarezerwowanym zawsze dla Klary, i poleciłam im nie ruszać się stamtąd, jeśli chcą uniknąć przykrości. Andrzej natychmiast położył się do łóżka. Mimo woli uśmiechałam się na myśl, jak wydelikaceni i słabi byli ci bohaterowie, w porównaniu z prostymi góralami.

- Jeśli naprawdę chcecie się ukrywać, to źle wybraliście miejsce - powiedziałam im. - Dwaj tacy mężczyźni mogą łatwo zginąć w dużym mieście, takim jak na przykład Monachium, ale tutaj możecie być pewni, że dostarczycie tematu do gadania zarówno w Einsiedel jak w Ansbach.

Andrzej mruknął tylko coś w odpowiedzi, a Hellmuth nie przestał chodzić tam i z powrotem po pokoju, jakby to była więzienna cela.

Ich lęk wzrastał z dnia na dzień. Nie miałam pojęcia ani czego się obawiają, ani na co czekają, i nie miałam najmniejszej ochoty się dowiadywać.

- To gorsze niż więzienie! - krzyknął kiedyś Hellmuth, gdy zanosłam im jedzenie na górę.

To mnie rozzłościło na dobre.

- Proszę, drzwi otwarte! Możecie sobie jechać, kiedy chcecie. Nie wzywałam was tutaj i błogosławić będę dzień, w którym się wyniesiecie.



Zbyli milczeniem moje słowa, ale nazajutrz dzienniki doniosły, że osobnik, który zamordował ministra, musi się kryć w okolicach Watzmanna. Opisywały też mordercę jako człowieka w wieku około dwudziestu lat, ubranego w bluzę, spodnie wojskowe i buty z cholewami. Mężczyzn, odpowiadających temu rysopisowi, były tysiące. Toteż Andrzej i Hellmuth czytając to mieli zadowolone miny. Byłam przekonana, że wiedzieli więcej, niż chcieli przyznać, ale nie byli bezpośrednio zamieszani w zabójstwo. Odnosiłam raczej wrażenie, że chcieli uchodzić za niesłychanie ważnych i ukryli się, by wyrzeć większe wrażenie, nie wiedziałam tylko na kim. Nie traktowałam ich więc poważnie, choć bezwzględnie były to mąciwody.

Pewnego jednak popołudnia Michał, który zszedł nad jezioro łowić ryby, wbiegł pędem z powrotem na górę i wpadł bez tchu do pokoju, z tak płonącymi policzkami, że kropla wody, padłszy na nie, na pewno zamieniłaby się natychmiast w parę wodną.

- Idą! - krzyknął. - Idą, idą tutaj po wuja Hellmutha! Co robić?! Może ich zastrzelić? Mamusiu!

Objął ramionami moje kolana i ścisnął je z rozpaczą. Czulałam, że lada chwila może wybuchnąć płaczem, choć od dawna tego nie robił, ale teraz jego dziecinna, dumna, dzielna duszyczka załamała się zupełnie.

- Spokojnie, kochanie - powiedziałam, rozplątując jego rączki. - Co ty opowiadasz? Kto idzie?

- Policja! - wyszłochał. - Policja! I to jego szukają. Sam słyszałem, jak mówili. Mamusiu, błagam cię, nie pozwól im go wziąć!

Z trudem zdołałam uspokoić pocziwego malca, a w nocy dwa razy musiałam wstawać i przykrywać go, bo spał bardzo niespokojnie, a nawet krzyczał przez sen. Patrol przeszedł koło mojego domu i gospodarstwa Gabla i znikł na dróżce

prowadzącej do schroniska na szczycie Watzmanna. Towarzyszyła mu fala domysłów i plotek.

- Czy ten młodzieniec, który tu przyszedł najpierw, to wasz kochanek? - spytał mnie tego wieczoru Maks, gdy w celach komercyjnych różowaliśmy tyłeczki bachorkom.

- Głupiście - odparłam. - To mój siostrzeniec. Jest ostatnim członkiem rodziny mego męża i dlatego musiałam się nim zająć.

- Za wielkie ryzyko ponosicie dla tego siostrzeńca - powiedział Maks. Od pierwszego wejrzenia nienawidził Hellmutha; a uczucie to było odwzajemnione. - Zobaczycie, że sprowadzi nam na kark policję, zanim zdążymy zipnąć. Gdybyście mieli odrobinę zdrowego rozsądku, to byście go zaraz wyrzucili z domu.

- Przecież to taki sam turysta jak każdy inny - odparłam. - Przemęczył się nauką i teraz, potrzebuje wypoczynku i mleka prosto od krowy. Policji nic to nie obchodzi.

- Nie? No to po co dawał te znaki telegraficzne swemu kompanowi, że droga wolna? Ja tam od razu przeczułem kłopot.

- Jakie znaki telegraficzne? - spytałam zdumiona.

- Heliografem. Myśmy się nim stale posługiwali. W Ugandzie. Coś wam powiem, matusiu: albo on, albo ja. Jeśli go nie przegnacie, to ja sobie pójdę. Nie chcę z nim żyć pod jednym dachem! Jest coś za bardzo zestrachany. Tacy tchórze mogą na cały świat sprowadzić biedę. Tchórze rozpoczynają wojny, bo ich strzelby zbyt łatwo zaczynają strzelać. Tchórze głośniej krzyczą niż ludzie odważni, bo im się zdaje, że jak narobią szumu, to nikt nie pozna, że mają pietra.

- A wyście nigdy nie mieli pietra? - spytałam.

- Miałem, matusiu, miałem, i to jeszcze jakiego! - odrzekł, a na jego pergaminowej, pomarszczonej twarzy pojawił się jakiś szczególny wyraz. - Nie macie pojęcia, jak

bardzo się bałem, raz czy dwa razy w życiu. To coś strasznego, mateczko. To najgorsza rzecz, jaka może być, i powiem wam, że bać się można na tysiące sposobów, ale na nabranie odwagi jest tylko jeden sposób. Trzeba sobie powiedzieć: „Nic mi się stać nie może”. Nic. Słyszycie? Nic wam się stać nie może! Trzeba to tylko wiedzieć. Tylko to coś znaczy.

Odłożył na bok bachorka i wziął do ręki kozik. Myślałam, że zacznie rzeźbić następnego, ale on tylko rozszczepił kawałek drewna, a jego myśli błąkały się gdzieś daleko.

- Co chcecie powiedzieć przez to „nic się nie może stać”?  
- spytałam. Wiedziałam, niestety, że może mi się przytrafić mnóstwo rzeczy, i to bardzo niemiłych.

- Chcę przez to powiedzieć, że gdy się raz zrozumie, że człowiekowi nic się nie może stać, to życie staje się łatwiejsze  
- rzekł zniecierpliwiony moim babskim brakiem zrozumienia.  
- Bo to jest tak, matusiu: cokolwiek się zdarzy, są możliwe tylko dwa wyjścia. Albo się przeżyje, no to dobrze. Albo się nie przeżyje, to chyba jeszcze lepiej. Pojmujecie? Przyroda to mądrze urządziła - nikt nie dźwiga więcej, niż potrafi unieść. Przypuśćmy, że jesteście chorzy i tak was boli, że ledwie możecie wytrzymać. No to co? Albo przestało was boleć, a wtedy wracacie do zdrowia, żyjecie dalej i zapominacie o chorobie, albo umrzecie, a wtedy przestaniecie cierpieć na zawsze. Albo przypuśćmy, dostaliście baty, ale takie porządne baty, jak w Chinach: znowu albo wylizecie się z tego, albo wyciągniecie nogi. To samo byłoby na wojnie, albo gdyby wasz dom spłonął razem z dziećmi, czy gdybyście wpadli pod samochód, albo opuściłby was kochanek, czy przy każdym innym strapieniu, cierpieniu, stracie czy dopuście boskim, jakie ludzie muszą przechodzić. Albo wytrzymacie, albo dawka jest za silna. Albo przeżyjecie, albo po prostu umrzecie. No co? Czy to nie proste, mateczko? Toteż co dzień

powtarzam chłopakom: „Nigdy się nie bójcie, nic wam się nie może stać”.

Były to bardzo mądre słowa, najmdirzejsze, jakie kiedykolwiek usłyszałam. Ale mimo to Maksa obleciał strach, gdy przybył inny oddział policji i zaczął przeprowadzać rewizje we wszystkich domach w Einsiedel. Początkowo ukrył się w piwnicy, a potem, ogarnięty paniką, uciekł w góry.

Policja tymczasem badała dokumenty Hellmutha i Andrzeja, dwóch starannie ogolonych młodzieńców, zachowujących się ze spokojną pewnością siebie, których wizyta u mnie wydawała się najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Była to istna komedia, ponieważ żandarmi rekrutowali się z byłych sierżantów i kaprali, a moi nieproszeni goście byli oficerami. Nie obyło się tedy bez salutowań i stukania obcasami, a żandarmi traktowali obu młodych ludzi po prostu jak swoich zwierzchników. Skończyło się na tym, że wyszli przepraszając, po czym Hellmuth musiał dosłownie zawlec Andrzeja do ich pokoju, ponieważ tak mu drżały kolana, że nie miał siły sam pójść na górę po schodach.

Zgodziłam się na to wszystko, prawda, ale co miałam zrobić? Nie można przecież wydać w ręce policji ludzi, którzy schronili się pod twój dach. A może tak trzeba było zrobić? Trudno orzec, co byłoby mniejszym złem, w każdym razie po odejściu policji byłam mokra jak mysz i czułam się jak zbrodniarka.

Dzieci wróciły na obiad w stanie takiego podniecenia, że zupełnie straciłam nad nim kontrolę.

- Dlaczego oni chcieli zabrać wuja Hellmutha? - wypytywał Michał, nie mogąc złapać tchu. - Ale nie wzięli go, prawda? Nigdy bym im na to nie pozwolił, powystrzelałbym ich z łuku! Umiem dobrze strzelać, mamusiu, możesz spytać Maksa.

- Tak, ale ja lepiej strzelam z procy, powiedz mamusiu, że to prawda. I ludzi nie wsadza się do więzienia za to, że kochają ojczyznę, prawda? Wprawdzie tak mówi wuj Hellmuth, ale ja w to nie wierzę - mówił Marcin, rozsądny jak zwykle, pomimo zdenerwowania.

- Wuj Hellmuth zostanie generałem, a ja, jak dorosnę, będę żołnierzem jak tatuś, pozabijamy wszystkich Francuzów, wszystkich bez wyjątku, a ja będę nosił sztandar i będzie grała orkiestra... i...

- Cicho, Micki, zabierz się do jedzenia - przerwałam zmęczona.

Tego wieczoru po raz pierwszy odczułam lekki niepokój, ale dopiero po wielu latach miałam zrozumieć, jak głęboki wpływ miał na Michała ten krótki, tajemniczy pobyt wuja w Einsiedel. Trochę później Hellmuth zszedł na dół, spokojny, ale nieco zmieniony.

- Jesteś niezrównana, ciotko Mario - powiedział do mnie.  
- Dziękuję bardzo za udzielenie nam schronienia. Oddałaś wielką przysługę ważnej sprawie.

Jego twarz pod opalenizną była zupełnie zielona. Ten chłopak był cały zielony, wewnątrz i zewnątrz.

- Dobrze, dobrze - odparłam. - A teraz, myślę, że najlepiej zrobicie, znikając stąd, i ty, i ten twój przyjaciel na nogach miękkich jak z waty.

- Rozkaz! - odrzekł stając na baczność i wchodząc na schody.

Wszystko, co potrafisz, to stukać obcasami i sprowadzać biedę na kark sobie i innym, pomyślałam.

Do późna w noc czekałam na powrót Maksa, ale się nie pokazał. Przeszukałam piwnicę, obórkę, szopę i wszystkie kąty w domu, na próżno. Nasza łódka leżała na brzegu jeziora, ale rewolwer po kapitanie Tillmannie znikł z szuflady, w której go trzymałam. Próbowałam zasnąć, ale nerwy nie

pozwoły mi na to. Przed świtem wstałam, narzuciłam płaszcz, włożyłam mocne buty, napełniłam koszyk żywnością i poszłam dróżką w góry. Była to bezsensowna wyprawa i oczywiście do niczego nie doprowadziła.

Nastał dzień, poróżnowiały szczyty, a z mroku wyłoniło się jezioro, połyskując mgliście jak cyna. Półkolem zawróciłam do domu.

Przez wiele dni wyglądaliśmy Maksa, ale nie wrócił już nigdy. Hellmuth i jego przyjaciel przyłączyli się do grupy turystów i przeszli łańcuch górski pod opieką przewodnika. W piętnaście dni później hrabia Andrzej von Elmholtz został osaczony w schronisku i zastrzelił się z rewolweru. W pozostawionej kartce stwierdził, że to on, działając samodzielnie i w pojedynkę, zgładził ministra, i obecnie płaci za ten czyn życiem. Cała sprawa została więc zlikwidowana, ale jestem przekonana, że to nie on był sprawcą; on otrzymał jedynie rozkaz wzięcia na siebie tej winy dla ratowania kogoś, czyje życie miało większe znaczenie dla partii.

Gdyby Hellmuth nie ściągnął policji na nasze odludzie, Maks żyłby prawdopodobnie do dziś, jako łagodny, spokojny, bezzębny dziadek. W górach dosięgnęła go jednak ręka sprawiedliwości i pod ciężkimi zarzutami odesłano go do więzienia w Monachium. Skórzany mieszek, jego skarb, stał się dowodem, który go zgubił. Na podstawie jego zawartości ustalono, że Maks był od dawna poszukiwanym mordercą dwóch młodych dziewcząt. Oba morderstwa popełnił z sadystycznej lubieżności, jedno na sześć lat, a drugie na sześć miesięcy przed tym, gdy znalazłam go w naszej szopie. Była w tym jakaś dziwna, tragiczna ironia, że ten człowiek o szczęśliwych, złotych rękach, który przebywając z nami okazał nam tyle dobroci, zawsze uczynny i bezinteresowny, był równocześnie straszliwym, bezlitosnym mordercą.. Ale

kto wie, może śmierć i chęć zabicia czają się na dnie każdego uczucia i każdego pocałunku?

Do dziś mam pocztówkę nagryzmołoną do mnie przez Maksa w przeddzień egzekucji:

Droga matusiu, nie trapcie się o mnie, bo ja jestem zadowolony, i pamiętajcie, że się nie boję. Nie mówcie dzieciom, co zrobiłem, i tak by nie zrozumiały. Zrobicie to dla mnie, bo byliśmy przyjaciółmi i bardzo was lubiłem. Niech Bóg ulituje się nad moją duszą, odpuści jej grzechy, i wybieli ją na wieki wieków, amen.

\* \* \*

Niech Bóg ulituje się nade mną, pomyślała Marion w głębi przepaści. Ciekawe, czy stary Hammelin wystruga dla mnie taki krzyżyk z maleńkim daszkiem, jakie robi dla tych, którym przydarzyło się nieszczęście w górach.

Tu spoczywa Marion Sprague,  
która 14 czerwca 1940 roku  
uległa wypadkowi na lodowcu na Grauhorn. Boże, bądź miłościw jej duszy!

Widziała po prostu ten krzyżyk: spadziste deseczki daszku, wypolerowane przez czas i słońce do połysku. Zbudź się, kobieto, pomyślała, otrząsając się z odrętwienia, które ją niemal uspiło. To nie jest odpowiednie miejsce do drzemki. Chuchnęła parę razy w zdrętwiałe z zimna ręce. Wciąż jeszcze nawoływała od czasu do czasu, ale od dawna nie słyszała żadnego głosu w odpowiedzi. Idiotyczne, jak w takich wypadkach zatracą się poczucie czasu, pomyślała, patrząc z wyrzutem na zegarek. Szkiełko było rozbite, a zegarek stanął i uparcie wskazywał czterdzieści trzy minuty po trzeciej.

Poczekam aż do chwili, gdy słońce minie tę szparę, postanowiła. Jeśli do tego czasu nikt nie przyjdzie mi z pomocą, spróbuję sama wydostać się na powierzchnię. Przez kilka następnych minut skupiła całą uwagę na poszukiwaniu

drogi wyjścia. Wybierała każdy krok, każdy uchwyt dla rąk, oparcie dla nóg. Trudno będzie piąć się po lodowej ścianie bez liny i siekierki, ale ostatecznie można tego dokonać, zwłaszcza gdy jest to kwestia życia i śmierci. Za chwilę słońce minie szparę, a potem powoli nasunie się mrok, z wolna, ale nieustannie ogarniający wylot rozpadliny.

A więc dobrze, do dzieła, pomyślała Marion. Bała się tego momentu i usiłowała go odwlec, ale jeśli chciała dotrzeć gdziekolwiek przed zapadnięciem nocy, musiała zdecydować się natychmiast. Miała przed sobą trzymetrową przestrzeń. Jeśli się uda, za pięć minut może być na wierzchu i zapomnieć o całej przygodzie. Zaczęła wstawać, ale choć starała się bez przerwy poruszać nogami, były ścierpnięte i zeszywniałe. Ostrożnie, bardzo ostrożnie, udało się jej wyprostować. Stała przez moment, wspierając się ręką na lodowej bryle, a potem, niesłuchanie ostrożnie, wróciła do poprzedniej, siedzącej pozycji.

- Okropność! - powiedziała głośno. - Okropność! Od początku wiedziałam, ale nie chciałam się do tego przyznać!

Prawa noga była złamaną w kostce. Poznała to do razu. Kiedyś, zjeżdżając na nartach, złamała w kostce lewą nogę. Tego uczucia nie zapomina się nigdy - to jest tak, jakby człowiek nie miał niczego w bucie. Nie, żeby bolało, to znaczy bolało naprawdę. Jest to raczej wrażenie niepewnej bezsilności i absolutnej niemożności utrzymania się na złamanej nodze.

- Co za świństwo! - krzyknęła. - Co za ohydne świństwo! Tylko mnie może się coś takiego zdarzyć. No i oczywiście zdarzyło się teraz.

Siedziała nieruchomo, głęboko pogrążona w myślach. Teraz nie pozostało jej nic prócz nadziei. Wyjęła papierosy i zapaliła jednego. Policzyła resztę. Czternaście. A więc wystarczy na całą noc, jeśli będzie trzeba. Jakie mam szanse,



dumała. Przecież nie wpada się do przepaści, nie zwija się w kłębek i nie umiera po prostu. No więc, na co mogę liczyć? Mam chyba większe szanse na ocalenie, niż mieli żołnierze w Dunkierce. A przecież dostali się do Anglii, więc i ja powinnam wyjść z tego obronną ręką. Prawdę powiedziawszy, cały świat znalazł się w przepaści i nikt naprawdę nie wie, jak wydostać się z matni. Ale wyjdziemy z tego na pewno, nie wolno tylko zbyt szybko rezygnować z oporu.

Przecież stary Hammelin i Michał wiedzą, dokąd poszłam. W porze obiadowej Michał zadzwoni do schroniska na Arli i dowie się od Krzysztofa, że mnie tam nie ma. Wyślą wtedy ekspedycję ratowniczą z pochodniami i latarniami, jak trzy lata temu, gdy zeszła lawina, i będzie nowy temat do gadania w Staufen aż do następnego wypadku.

A może Krzysztof telepatycznie potrafi wyczuć, co się ze mną dzieje? Krzysztofie, kochany, błagam cię, zawróć! Chciałbyś mnie jeszcze zobaczyć, prawda? Chciałbyś spędzić ze mną dzisiejszy wieczór? Musisz mnie odnaleźć!

Ach, to wszystko to tylko czcza gadanina, pomyślała Marion. Zaczęła poruszać ramionami, rozcierać ręce i uderzać się po udach, byle tylko rozgrzać się trochę. Wciągnęła wełniany sweter i za pomocą plecaka zabezpieczyła sobie plecy przed zetknięciem z lodowatą ścianą. Chętnie unieruchomiłaby swoją złamaną nogę choćby kawałkiem drewna, ale, jak wiadomo, drzewa na ogół nie rosną na lodowcach ani w śnieżnych rozpadlinach. Najważniejsze, by teraz nie usnąć i nawoływać co pewien czas. Marion przypomniała sobie zabawę, która kiedyś w Bergheim stanowiła ich rozrywkę podczas nocy spędzanych na dyżurach. Jak kiedyś zaczęła wywoływać w pamięci wspomnienia wszystkich miłych i pięknych chwil, niegdyś przeżytych, i wtulać się w nie, uciekając przed mrozem, lękiem i samotnością.

Znów zapaliła papierosa. Spróbujmy pomyśleć o czymś zabawnym, rozmyślała. Na przykład o kangurach. Jak to stara kangurzyca mówiła do swego kangurzątko? „Dam ja ci w łóżku jeść sucharki!” Jak rozkosznie ciepło musi być w takiej torbie kangurzej mamy...

\* \* \*

Kangurza mama była dla mnie zawsze synonimem najwyższego szczęścia. Nosić zawsze przy sobie bezpiecznie ukryte dziecko, a równocześnie móc biegać i skakać, i uszczknąć co chwilę zieloną gałązkę z drzewa czy krzaka, było dla mnie szczytem marzeń. I rzeczywiście, pomiędzy rokiem 1925 a 1930 życie właśnie tak mi się ułożyło.

I dla mnie, i dla całej Europy minęły złe czasy. Wszyscy staraliśmy się jak najszybciej zapomnieć o wojnie. Panowała ogólna życzliwość i dobra wola, na targach przelewały się stosy żywności, a każdy miał w kieszeni dobrą, ustabilizowaną markę. W Berlinie żyło się wtedy bardzo przyjemnie. Mieszkańcy byli weseli, ruchliwi, pogodni i wyrozumiali, lubili pracować i bawić się. Pod względem charakteru Berlin z tych czasów przypominał Nowy Jork, o ile jakieś miasto w Europie może być podobne do miasta amerykańskiego. Wojna nauczyła nas, że nie może być mowy o sojusznikach czy wrogach. Wszyscy żołnierze wszystkich armii są do siebie podobni, tak samo, jak ofiary wojny: cywile, matki i dzieci. Jeśli zaś idzie o poległych, to tu już naprawdę nie ma żadnej różnicy. Wzbogaceni tą nową mądrością, czuliśmy się sobie bliżsi i mieliśmy życzliwość dla całego świata.

Klara miała rację, teraz przyszła nasza kolej. Dwudziesty wiek uśmiechnął się do nas łagodnym, mądrym, może nieco gorączkowym uśmiechem kogoś, kto przebywszy ciężką, prawie beznadziejną operację, powraca do zdrowia. Rozglądaliśmy się dokoła i podobał nam się ten nowy,

przychylnie nastawiony świat. Jako kobiety wzięłyśmy się przede wszystkim do gruntownych porządków we własnych domach. Wyrzucałyśmy ciężkie zasłony, wymiatałyśmy kurze. Przejaśniało w mieszkaniach, a życie zrobiło się nagle bardzo przyjemne: miałyśmy teraz łazienki, radio, każda mogła mieć adoratora i mały, własny samochód (albo przynajmniej nadzieję, że kiedyś to wszystko osiągnie). Potem spojrzwałyśmy w lustro i wszystkie postanowiłyśmy stać się piękne. Straciwszy najlepsze lata prawdziwej młodości, uzurpowałyśmy sobie prawa do młodości spóźnionej, sztucznej i płomiennej. Pospiesznie odkrywałyśmy salony kosmetyczne, róż, kredki do warg i trwałą ondulację. Po raz pierwszy od wieków zniknęła olbrzymia przewaga, jaką miały nad resztą niewiast kobiety lekkiego prowadzenia. Należało jeszcze tylko wprowadzić regulację urodzin, a świat stałby się wzorem doskonałości.

Michał powiedział mi kiedyś, że hodowla kauczuku na skalę przemysłową datuje się zaledwie od trzydziestu pięciu lat. Dało mi to wiele do myślenia. Z prawdziwą satysfakcją myślę zawsze o małym drzewku kauczukowym i o pomysłowości ludzkiego umysłu, które sprawiły, że w sposób dyskretny można się zaopatrzyć w pewne małe przedmioty. Małe kauczukowe drzewko! Świat zawdzięcza ci przynajmniej tyle, co wszystkim moralizatorom razem wziętym!

Możliwe że nie entuzjazmowałam się tak tym okresem, gdyby moja praca nie została uwieńczona właśnie wtedy takim powodzeniem. Zostałam bowiem Marion Sommer, znaną twórczynią aerodynamicznych cacek. Miałam teraz zawód, mogłam utrzymać rodzinę, obracałam się wśród ciekawych ludzi - byłam kierowniczką pracowni artystycznej i równocześnie szefem działu zabawek w firmie Eichheimer i Spółka.

Eichheimer i Spółka było to olbrzymie przedsiębiorstwo, zajmujące się dostawami wszelkich przedmiotów zaspokajających potrzeby nowoczesnego życia, jak: sanitaria, drzwi obrotowe, meble ogrodowe, markizy i wiele podobnych rzeczy. Pracownia zabawek była jednym z wielu działów i przynosiła duże dochody. Niemieckie zabawki były poszukiwane za granicą, a nowe prądy w wychowaniu dziecka zrobiły z zabawki rzecz o doniosłym znaczeniu. Pracowałam więc po dwanaście godzin na dobę, mając do pomocy sześciu asystentów i całą chmarę uczniów. Z samą fabryką, gdzie moje szkice były podstawą masowej produkcji, niewiele miałam do czynienia. Od czasu do czasu zjawiał się u mnie jej kierownik, Karol Buttner, osobnik drażliwy i posepny, podobny do gнома, by mi oświadczyć, że taki a taki przedmiot dla takich a takich względów technicznych nie może być produkowany masowo. W Giessheim nauczyłam się jednak, jak postępować z kierownikami, toteż zwykle udawało mi się tak ugłaskać starego Buttnera, że po wprowadzeniu jakiejś drobnej zmiany w moim modelu, którą robiłam, by go uspokoić, zgadzał się na wszystko. Chytrze i szybko zdobywałam wiadomości potrzebne w moim nowym zawodzie i po pewnym czasie musiałam dbać już tylko o to, by wciąż mieć nowe pomysły i odpowiednią dozę uporu, by przekonać do nich starego Eichheimera.

Mieszkaliśmy w najcichszym punkcie spokojnej dzielnicy. Dom otoczony był dużym ogrodem, w którym rosły wysokie, stare drzewa, i który łagodnym stokiem schodził aż do stawu. Dom i ogród należały do pewnej rodziny, kiedyś bardzo zamożnej i ustosunkowanej, teraz zubożałej i podupadłej. Wynajęłam od nich górne piętro, ongiś zajmowane przez służbę, i urządziłam je po swojemu. Wyszukałam również „perłę”, która miała prowadzić mi gospodarstwo i zająć się chłopcami w godzinach mojej pracy.

Co rano budzik budził mnie dziesięć minut przed szóstą. Kiedy kończyłam się kąpać, była właśnie pora, by budzić chłopców. Przy śniadaniu wspólnie rozpatrywaliśmy handlowe możliwości pingwina zwanego Sebastianem i te ranne dyskusje na cały dzień dodawały mi ochoty do pracy. Dwie pierwsze cegiełki mego powodzenia, bachorek z paluszkami i bachorek z tyłeczkiem, nadal miały powodzenie na całym świecie. Nazwaliśmy ich Anky i Panky, a z czasem otrzymali oni małą siostrzyczkę, podobną do Ignominii. Daliśmy jej na imię Bamba i sprzedawała się doskonale.

Na mój dzień pracy składały się setki drobnych spraw, odbywanie konferencji, udzielanie wyjaśnień podległemu mi personelowi i moim zwierzchnikom. Najbardziej nużący był powrót do domu. Zmęczona, zdenerwowana i niecierpliwa jak tysiące innych ludzi wracających z pracy, potrącana, deptana i popychana, stawałam przed drzwiami swego domu w prawdziwie opłakanym stanie. Ale później następował wspaniały moment, gdy po wzięciu prysznicą mogłam się przebrać w inną sukienkę, poprawić makijaż, czasem nawet napić się czegoś i mieć takie wrażenie, jakby się odżyło na nowo. Żał mi mężczyzn; ich możliwość odzyskania polega zaledwie na goleniu się, czynności, której w dodatku nie lubią. Nic dziwnego, że tylu mężczyzn wieczorem jest w złym humorze.

Moje wieczory były zawsze mile i urozmaicone. Większość moich przyjaciół mieszkała teraz w Berlinie. Była więc Klara ze swoimi tancerkami, krótkowłosymi, za to długonogimi istotami pełnymi werwy. Był Schani, bardzo zabawny, bardzo sławny i wciąż zakochany w swojej żonie, Suzi, która powoli dochodziła do stu kilogramów wagi, jak na prawdziwą primadonnę przystało. Był Kant, nieco postarzały i szczuplejszy, lekko zdziwiony, że dziewczęta obecnej generacji nie trzeba uwodzić, gdyż one same, bez wielkich ceremonii,

uwodziły teraz mężczyzn. Byli tu również aktorzy, których poznałam w Bergheim, i malarze, znani mi jeszcze z Wiednia. Od czasu do czasu spadał z nieba Fritz Halban i zabierał mnie na przejażdżkę swoim samolotem. Był teraz ważną figurą w lotnictwie i jedynym człowiekiem na świecie, który mówił do mnie Myszko...

Jak zabawnie myśleć teraz o nich wszystkich: Klara jest masażystką w Nowym Jorku, Kant staruszką, mogącym dyrygować już tylko orkiestrą zdrojową w Scheveningen, o ile przypadkiem nie zginął w Rotterdamie podczas bombardowań. A Schani? W jakim obozie koncentracyjnym, na drodze do czego możesz znajdować się obecnie, najdroższy przyjacielu mojej młodości? Fritz Halban ćwiczy w lataniu młodych Chińczyków w Czung - King, a Karol Dupont maluje portrety dostojników nacjonalsocjalistycznego reżimu, nadając im wyraz, jaki pragnęliby mieć w rzeczywistości. Jest to dziwny świat na opak, gdzie ziarno wiatr unosi, a plewy pozostają...

Dużo podróżowałam w tamtych czasach i stałam się kosmopolitką. Jeździłam do wszystkich większych miast w Europie, podpisując nowe umowy, szukając nowych pomysłów i ucząc się, jakie są upodobania innych narodowości. Wszędzie spotykałam kobiety swojego typu. Czasami z uśmiechem wspominałam dzień, kiedy uciekłam z domu i nie umiałam ani przywołać dorożki, ani dać napiwku, ani poradzić sobie z własnym złamanym sercem. Teraz zdobyłam pewność siebie, która pozwalała mi wejść do wagonu restauracyjnego, na statku zejść po schodkach do salonu, czy wychodzić gdzieś w towarzystwie mężczyzny. Pewność ta wyływała z powodzenia. Wiedziałam, że mam dobrą figurę, że jestem świetnie ubrana i wypielegnowana, umiejętnie „zrobiona”, zrównoważona i opanowana. Nie byłam już oczywiście młodzieńką dziewczyną, ale posiadałam

dość atutów, by móc wybierać sobie towarzystwo, które mi odpowiadało.

Johna Sprague poznałam przypadkowo w Moskwie w 1928 roku. Znalazłam się tam za namową Klary. Ona sama jeździła do Rosji studiując nowy styl tańca i od tej pory męczyła mnie stale, bym swój najbliższy urlop spędziła właśnie w Moskwie.

- To jest coś tak absolutnie odmiennego od wszystkiego, co znasz, że musisz to koniecznie przeżyć. Jedź tam, dziecińko, a nowe pomysły będą potem wprost kipieć w twojej wyobraźni!

Istotnie, było tam wiele wspaniałych rzeczy, ale od początku podróży prześladował mnie pech. Dojechaliśmy na miejsce z dużym opóźnieniem. Było ciemno, zimno i nikt nie oczekiwał mnie na dworcu. Nie było też ani jednej taksówki. Jacyś mili Rosjanie, których poznałam w pociągu, zlitowali się nade mną i zabrali mnie autem, które przyjechało po nich. Po chwili zajechaliśmy przed Grand Hotel, który wydał mi się czymś niesłychanie wspaniałym.

Jak w każdym hotelu znajdowała się tu recepcja i zarządzający, władający kilkoma językami, cóż, kiedy nie było ani jednego wolnego pokoju, choć wiedziałam, że Inturist miał dla mnie pokój zarezerwować. Z początku się śmiałam, potem usiłowałam przekonać recepcjonistę, jeszcze później zaczęłam się złościć, a w końcu wpadłam w prawdziwą rozpacz. W nocy biuro Inturista było nieczynne. Nie ma wolnego pokoju, to było wszystko, co usłyszałam. Zbierało mi się na płacz.

Wtedy w moje życie wkroczył John Sprague.

- Czy pani mówi po angielsku? - spytał, gdyż do tej pory rozmawiałam trochę po niemiecku, trochę po francusku.

- Trochę - odparłam.

Zobaczyłam przed sobą człowieka potężnego jak baszta, w ogromnym niedźwiedzim futrze. Nigdy jeszcze nie widziałam takiego futra i patrzyłam na Johna ze zdumieniem. Opisałam mu pokrótce moją sytuację. Wysłuchał mnie uważnie.

- Powiedzcie mi, towarzyszu - zwrócił się do recepcjonisty - czy nie moglibyście przenocować tej pani w pokoju Ferbera? On przecież do soboty jest w Leningradzie, sam mi to mówił.

- Niestety, pokój już zajęty - odpowiedział urzędnik.

- Hm - mruknął John, trąc brodę.

Gdy myślę o Johnie i przypominam sobie tę pierwszą chwilę, gdyśmy się zetknęli, widzę go zawsze, jak stoi obok recepcji, w swojej niedźwiedzicy, oblany mdłym światłem brudnej lampy, i trąc brodę zastanawia się, co ze mną począć.

- Przecież to straszne! - powiedziałam.

- Niech pani pozwoli. Usiądźmy tutaj na chwilę i zastanówmy się, co dałoby się zrobić - przerwał mi i pociągnął do sali restauracyjnej.

- Czy pani jest tu sama? - spytał, gdy zajęliśmy miejsce przy stoliku.

- Tak. Lubię samotnie podróżować.

- A w jakiej branży pani robi? . - Przepraszam, nie rozumiem.

- Chcę przez to powiedzieć: jaki jest pani zawód? Czy przyjechała pani w interesach, czy dla przyjemności?

Zauważyłam nutkę ironii w jego głosie i zachnęłam się.

- I to, i to. A w ogóle robię zabawki. Zrozumienie jego amerykańskiej wymowy i odgrzebywanie w pamięci mojej niemal zapomnianej angielszczyzny sprawiało mi wielką trudność. Mrugnął do mnie.

- Fabrykantka zabawek, co? Na mnie robi pani wrażenie sierotki, małej, zagubionej dziewczynki... Garson! - krzyknął nagle, uderzając pięścią w stół. - Niech pani wybaczy, ale jest



pani zziębnięta i przede wszystkim potrzeba pani szklanki gorącej herbaty i porządnego kieliszka wódki. Trzeba będzie na to poczekać, ale trudno.

Po chwili dodał:

- Niech pani posłucha: tę noc może pani spędzić w moim pokoju. Ja... ja właśnie wybierałem się na pokera z kompanami. Mogę przenocować u przyjaciela. Nie sprawi mi to żadnej różnicy. Nie ma o czym mówić. No, nareszcie jest nasza wódka...

Po chwili poszliśmy na górę. Hotel miał długie, szerokie korytarze. W pokoju, do którego John mnie zaprowadził, żarówka zawieszona pod bardzo wysokim sufitem rozciągała nagle światło.

John pakował drobiazgi potrzebne na noc, a ja stałam na środku pokoju, przejęta wdzięcznością i zażenowana.

- Pan jest bardzo uprzejmy - powiedziałam.

- Nie ma o czym mówić, moje dziecko. Jutro... Inturist zajmie się... pani pokojem. Dobrej nocy.

Zawrócił jeszcze od progu.

- Ma pani kogoś znajomego w Moskwie?

- Dostałam kilka listów polecających.

- To bardzo dobrze. W przeciwnym razie poznałbym panią z moimi kompanami. To są dziennikarze, wie pani. Dobranoc.

Pozostałam sama, drżąc z zimna i ze zmęczenia, lekko oszołomiona. Widzisz, moja droga, dokąd tym razem zagnały cię losy: do łóżka wielkiego, poczciwego Amerykanina. Poduszka miała jego lekki zapach: papierosy i woda kolońska. Miejmy nadzieję, że nie wróci w nocy, by próbować śmiesznych podbojów. Nie, nie, wyglądał na przyzwoitego człowieka, pragnącego po prostu przyjść mi z pomocą. Nie przypuszczałam, że Amerykanie są ludźmi uczynnymi. Słyszałam zawsze, że są nieuczynni, interesowni i myślą tylko o

pieniądzach, ale nie znałam osobiście żadnego Amerykanina. Byłam zmęczona, lecz długo jeszcze nie mogłam zasnąć.

Rano pościeliłam łóżko mego Amerykanina, chusteczką do nosa wytarłam kurze i odważyłam się wyjść do miasta. Jakoś dopytałam się o drogę do biur Inturista.

Przydzielono mi tłumaczkę w osobie towarzyszkę Amfiteatrów. Była to osoba mniej więcej w moim wieku, odznaczająca się kamiennym spokojem. Nie udało mi się ani razu wywołać uśmiechu na jej szerokiej, łagodnej twarzy, ale biegle mówiła po francusku i niemiecku. W Inturiscie byli bardzo uprzejmi i grzeczni, ale gdy zapytałam o pokój, otrzymywałam tę samą odpowiedź: nie ma wolnych pokoi.

- Mam listy polecające do różnych osób - powiedziałam do mojej tłumaczki. - Proszę zapytać, czy będę je mogła odwiedzić i czy mogłabym u którejś z nich zamieszkać, jeśli otrzymam zaproszenie?

Ależ oczywiście! Wolno mi było zobaczyć się, z kim zechcę, i robić, co mi się podoba. Wręczyli mi małą książeczkę z kartkami na żywność i dali swoje błogosławieństwo na drogę.

Wędrowałam bez końca pod opieką towarzyszkę Amfiteatrow. Ludzie, do których miałam listy polecające, okazali się czarujący. Kiedy jednak opowiadałam im o trudnościach ze znalezieniem pokoju, bardzo mi współczuli, ale nic poza tym.

Wieczorem mój Amerykanin zastał mnie pakującą swoje manatki.

- Przepraszam, że jeszcze tutaj jestem - rzekłam.
- Dużo przyjezdnych, więc pani nie dostała pokoju.
- Skąd pan wie?
- Powiedziano mi na dole w biurze. Wobec tego sądziłem, że pani się zgodzi i kazałem przynieść tutaj materac. To chyba najlepsze, co można na razie zrobić - zostać tutaj, zanim

znajdzie się wolny pokój. Mam nadzieję, że nie jestem najgorszym towarzyszem i że nie będziemy sobie wzajemnie przeszkadzać. A więc zgoda? Zgoda. Jestem John Sprague.

- A ja Marion Sommer - powiedziałam.

Było to moje oficjalne nazwisko, którego używałam w moim zawodzie. Spojrzałam z ukosa na Johna, a on uśmiechnął się przyjaźnie. No cóż... Świadomość, że John zatroszczył się o mnie, nie była rzeczą niemiłą, a poza tym nie była to ani pora, ani miejsce, by zachowywać się jak geś.

- Jestem nieszkodliwym, zasługującym na zaufanie, czterdziestoletnim, żonatym człowiekiem, szczęśliwym w małżeństwie. Oto pani Sprague - rzekł, wskazując na fotografię bardzo pięknej kobiety, stojącą na stoliku. - Radzę pani zatrzymać łóżko, a ja zajmę materac. I tak łóżko jest dla mnie za krótkie, jak zresztą wszystkie łóżka w hotelach. Postaram się, żeby przynieśli ten materac przed północą. Na razie wychodzę z kompanami, a przypuszczam, że zanim wrócę, pani będzie już w łóżku. Niech pani nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi, tak jakby mnie nie było. A może chciałaby pani wyjść razem ze mną?

- Nie, dziękuję bardzo. Jestem zmęczona... Widzi pan, to mój pierwszy dzień w Moskwie, a to trochę nuży. Przypuszczam, że pan bawi tu od dłuższego czasu...

- Nie, zaledwie od pięciu tygodni. Mam nadzieję, że w przyszły poniedziałek uda mi się wyjechać z powrotem do Stanów Zjednoczonych, wtedy będzie miała pani cały pokój do swej wyłącznej dyspozycji. Jestem, proszę pani, człowiekiem interesu i muszę pozostać tu tak długo, dopóki nie wyprzedam całej mojej tandety. Jestem fabrykantem narzędzi - roześmiał się. - Tak sobie od dzisiaj każę wydrukować na kartach wizytowych: John W. Sprague, fabrykant narzędzi.

Wyszedł. Pochodziłam z kraju, gdzie tytuły i górnolotne słowa były czymś, do czego przywiązywano wielką wagę, i nie przywykłam do skromnych określeń, jakich używają Anglosasi. Po latach dopiero dowiedziałam się, że Sprague posiadał jedną z największych w Stanach fabrykę maszyn, i że narzędzia, które dostarczał Rosji sowieckiej, to nie młotki i gwoździe, lecz ogromne młoty i urządzenia dla fabryk, hut i kopalń.

Spędziłam kilka dni w pokoju Johna, nie dostrzegając prawie jego obecności. Miał zwyczaj wracać na palcach późno w nocy, rozbierał się w ciemnościach i układał z cichym westchnieniem na swoim materacu; czasem skrzyknęła podłoga pod jego ciężarem, a po chwili słychać było tylko równy, spokojny oddech głęboko uspiętego człowieka. Rankiem spostrzegałam czasem kątem oka, jak owinięty w zielony płaszcz kąpielowy mył zęby lub golił się po cichu. Zamykałam z powrotem oczy, a gdy budziłam się ponownie, już go nie było. Przez cały dzień biegałam po mieście z towarzyszką Amfiteatrów, a gdy wracałam wieczorem, spostrzegałam czasem ślady jego bytności w pokoju: używał swojej maszyny do pisania, palił papierosa lub zachlapał podłogę, jakby dopiero teraz umył się na serio. Czasami znajdowałam przypięte do ściany małe karteczki z informacją, gdzie mogę go znaleźć, gdyby był potrzebny, lub z pytaniem, czy nie miałabym ochoty pójść do teatru lub poznać jego towarzystwa. Pewnego ranka wrócił po małą walizeczkę, którą zapomniał ze sobą zabrać.

- Dzień dobry, fabrykantko zabawek - zawołał wesoło. - Jak się pani miewa?

- Dziękuję, dobrze, panie Sprague. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam panu zbyt.

- W porządku. A jak się pani podoba Moskwa?

- Robi na mnie duże wrażenie.

- O! Czyżby? A może pani jest salonową komunistką?

- Nie znam się zupełnie na polityce. To dla mnie księga zamknięta na siedem pieczęci. Coś jak matematyka: albo człowiek ją rozumie, albo nie. Ale wielu moich przyjaciół jest komunistami.

- Tak, to charakterystyczne dla inteligencji w wielu krajach. - Spojrzał na moje śniadanie, rozłożone na stole, tuż przed oczami Pani Sprague. - A może moglibyśmy połączyć nasze zapasy i od czasu do czasu jadać razem pierwsze śniadanie, jak pani myśli? Prawdę mówiąc, nie bardzo lubię jadać na dole.

Od tego dnia zajęłam się gospodarstwem. John udawał się na poszukiwanie żywności, a ja ścieliłam łóżko, doprowadzałam pokój do porządku i nakrywałam stół do śniadania. Miewaliśmy teraz kawior i rozmaite przysmaki. Propozycja wspólnego jedania posiłków była ze strony Johna wyjątkowo pocziwym odruchem. Przypuszczał chyba, że mam za małe zapasy, i z widoczną przyjemnością przyglądał się, gdy zabierałam się do jedzenia.

W parę dni później, gdy siedzieliśmy razem przy śniadaniu, powiedział do mnie:

- Widzę, że Moskwa urzekła panią, moje dziecko. Niech mi pani powie, co się pani tutaj najbardziej podoba?

Właściwie trudno mi to było wytłumaczyć.

- Ludzie... Ludzie mają tutaj cel w życiu. Mają wielką ideę. Są pełni ambicji. Oni nie żyją dniem dzisiejszym; wierzą, że ich dzieci i wnuki będą miały jaśniejszą przyszłość. Wie pan, gdy się przebywa w Rosji, ma się wrażenie, że cały świat nie ma racji i nadaje się do muzeum.

- A ja chciałbym już znaleźć się w domu. Tymczasem do widzenia, fabrykantko zabawek. Spieszę na Kreml, by wygłosić wielką przemowę do zbawców świata i nakłonić ich do kupna moich towarów.

Nazajutrz rano John Sprague zagadnął mnie nagle:

- Pani, zdaje się, ma wielki katar?

- Przepraszam... czy mój kaszel przeszkadza panu w nocy? - - spytałam zakłopotana. - Musiałam się przeziębnić w łaźni parowej.

- Żeby mnie dobudzić, trzeba by chyba strzelać z armat - odparł. - Ale to zaziębienie jest chyba dość ciężkie. Macie, towarzyszek, natrzyjcie sobie tym piersi...

Mój katar ciągle się wzmagał, czułam, że mam wysoką gorączkę, ale nie chciałam się do tego przyznać. Zęby mi szczykały i czułam się bardzo chora. Oświadczyłam towarzyszkę Amfiteatrow, że przez kilka dni poleżę w łóżku, więc nie będę jej potrzebować. Skuliłam się pod kocem, wstrząsana dreszczami, i wypijałam litr herbaty z wódką. Po chwili musiałam wstać, chwiejąc się na nogach podeszłam do wiaderka i wszystko zwróciłam. Poszłam do toalety, aby wypłukać kubek, a wtedy ściany zaczęły wirować mi w oczach i ledwie udało mi się wrócić do łóżka. Droga Marion, pomyślałam, to rzeczywiście byłby dowcip zachorować obłożnie w Moskwie! Sama sobie zaczęłam tłumaczyć, że nie mam wcale powodów do choroby, i zakopałam się głęboko w pościel. Nagle w nocy zabłysło światło i ktoś pochylił się nade mną. Przez pewien czas musiałam zbierać myśli.

- Co się z panią dzieje, moje dziecko? - spytał John Sprague. - Chyba nie ma pani zamiaru chorować? - przez chwilę patrzył na mnie z powagą, po czym przyniósł swoje niedźwiedzie futro i przykrył mnie nim. - Zaraz się pani rozgrzeje.

Do dziś mam tę starą niedźwiedzicę. Przywiozłam ją do Staufen i nakrywałam nią Michała, gdy werandował na balkonie w owe mroźne, pełne niepokoju dni. To futro jest dla mnie symbolem ciepła, bezpieczeństwa, dobroci i opieki. Jest symbolem Johna Sprague. Tej nocy w Moskwie zasnęłam

otulona futrem, a John siedział przy mnie jak dobra pielęgniarzka. Chciałabym mieć go teraz przy sobie! Zawinęłabym się w jego stare futro i spędziłabym całą noc w rozpadlinie, nie czując zimna i wiedząc, że nic złego mi się nie stanie. Ale cóż, futro wisi za drzwiami naszego domu w Staufen, a John umarł i pozostawił mnie samą.

Zapalenie płuc ma jedną dobrą stronę - na wyrok nie czeka się długo. Jak mawiał Maks Wilde: albo się umiera, albo się przeżyje. Podczas kryzysu, który nastąpił w siódmym dniu choroby, byłam przekonana, że umrę. Umrzeć tak daleko od domu... Potem przychodziły momenty świadomości, w których przypominałam sobie, że mam w domu dwóch małych synków i że nie powinnam umrzeć. Powiedziałam to Johnowi, a on odrzekł:

- Ma pani rację, moje dziecko. Trzeba walczyć z chorobą.

Toteż walczyłam i ostatecznie wygrałam. Nie wiem, co bym poczęła bez Johna. On bowiem został w Moskwie tak długo, dopóki niebezpieczeństwo nie minęło, on sprowadził do mnie lekarza, on mnie pielęgnował, otaczał staraniem i zawsze, ile razy był potrzebny, znajdował się pod ręką.

- Czy nie powinien pan wyjść w sprawie sprzedaży swoich narzędzi? - pytałam.

- Niech się pani nie przejmuję moimi sprawami, lecz stara się jak najprędzej wyzdrowieć. Sprzedałem już wszystkie narzędzia, jakie miałem sprzedać.

Zastanowiły mnie te słowa.

- Czy to znaczy, że wszystkie pańskie sprawy zostały załatwione, i siedzi pan w Moskwie tylko ze względu na mnie?

- Trochę tak, a trochę nie. Nie mogłem przecież zostawić pani na łasce losu w takim stanie, w jakim się pani znajdowała.

- Nigdy nie potrafię się panu odwdzieczyć za to, co pan dla mnie zrobił.

- No dobrze, dobrze. Pani jest porządną dziewczyną i jeśli kiedyś ja znajdę się w opałach, pani mi pomoże. A teraz proszę, zamknąć oczy i przespać się, zanim wrócę z kawiołem.

Gdy wyszedł, odbyłam poważną rozmowę z Mrs Sprague. Była tak wytworna w swoich ramkach i tak nieskazitelnie piękna, iż podejrzewałam, że fotograf musiał przeprowadzić bardzo staranny retusz. Na jej ramieniu opierał się chłopczyk, syn Johna. Podczas mej rekonwalescencji wydobyłam z niego kilka szczegółów o życiu, jakie pędził w Stanach, ale nie potrafiłam jakoś na ich podstawie wyrobić sobie pojęcia o jego żonie.

- Słuchaj - przemawiałam do fotografii pani Sprague - mam nadzieję, że ty tak samo świata nie widzisz poza swoim mężem, tak jak on go nie widzi poza tobą, i że nie przewróciły ci w głowie różne sławy. (John opowiadał mi, że lubiła się otaczać sławnymi ludźmi, i że jej przyjęcia na Long Island cieszyły się ogromnym powodzeniem). Widzisz, ja ich znam, żyję wśród nich i do pewnego stopnia sama jestem sławna, ale powiadam ci, że w jednym takim trzeźwym człowieku jak John, który jedzie w świat sprzedawać swoje narzędzia, jest więcej ducha przygody niż w Dzielnicy Łacińskiej, na Montmartrze i Soho razem wziętych.

I zrozumiałam nagle, że myśl, iż powiem Johnowi: dziękuję i do widzenia, i nie zobaczę go nigdy więcej, była dla mnie po prostu nie do zniesienia.

- Co pani wymyśliła? Taką ma pani uradowaną minę - spytał, gdy wróciwszy rozcierał sobie uszy.

- Zdecydowałam właśnie, że mój następny urlop spędzę w Nowym Jorku!



- Brawo! Świetna myśl! Może mojej żonie uda się wynaleźć kilku salonowych komunistów dla pani. Ja jestem przekonany, że pani bardzo przypadną do gustu nasze kapitalistyczne urządzenia w łazienkach.

Widać było, że szczerze ucieszył go mój projekt.

W jakiś sposób udało mu się zdobyć wytworne auto, którym odwiózł mnie na dworzec i dopilnował, by mnie wygodnie umieszczono w przedziale.

- Niech mi pani da znać, jak się pani czuje - poprosił. - Proszę, tu jest mój adres, a jaki jest adres pani?

Zapisał go sobie.

- A numer pani telefonu?

- Po co? Przecież nie będzie pan dzwonił z Nowego Jorku!

- Dlaczego nie? - odparł.

I rzeczywiście zadzwonił.

\* \* \*

Telefonistka berlińska była prawie tak samo podniecona jak ja. Przecież telefon z Nowego Jorku to nie bagatela! Kolana mi drżały, drżał głos.

- Halo! Tutaj John przy aparacie... John Sprague, pani sobie przypomina? Poznaliśmy się w Moskwie...

Śmieszne, tak jakby było kilku Johnów, którzy mogliby dzwonić do mnie z Nowego Jorku!

- Tak, tak, pamiętam pana, Johnie. Jak się pan miewa?

- Doskonale. A pani?

- Też doskonale.

- No to świetnie. A jak tam chłopcy?

- Są tutaj przy mnie. Są strasznie podnieceni. Ja zresztą też.

- Niech im pani pozwoli powiedzieć coś przez telefon. To przecież wielkie przeżycie dla takich smyków.

Szepnęłam im, żeby powiedzieli coś po angielsku, wobec tego jeden po drugim powiedzieli poważnie „How do you do?”, jak ich uczono w szkole. Potem stali przy mnie, uważnie przysłuchując się mej rozmowie z Amerykaninem, o którym tyle im opowiadałam.

- Zabawni smarkacze! Mówią już nawet po angielsku.

- Słyszę tak wyraźnie, jakby pan był ze mną w pokoju - krzyczałam w szalonym podnieceniu. - Która teraz godzina w Ameryce? Tutaj pada deszcz.

- A tutaj świeci słońce i tulipany już kwitną. Lubi pani tulipany? Niech pani posłucha, dziecko: między czternastym a dwudziestym drugim będę w Londynie. Czy nie zechciałaby pani tam skoczyć i zjeść śniadanie z moją żoną i ze mną?

- Och!... Nie. Nie będę mogła. Bardzo, bardzo bym chciała zobaczyć się z panem, ale nie mogę jechać do Londynu. To przecież cała podróż!...

- Niech pani jednak spróbuje. A kiedy wybiera się pani do Stanów? Obiecała mi pani, proszę nie zapominać.

- Tak, ale w tym roku nie dostanę już urlopu.

- Więc dopiero w przyszłym... Dobrze. Trzy minuty minęły. Do zobaczenia, fabrykantko zabawek! Strasznie mi było miło usłyszeć pani głos.

Od czasu do czasu przychodziły od niego depesze, a czasem nawet listy. Byłam zdumiona ich lekkością i humorem. Skończył się rok 1928, nadszedł 1929, pracowałam wciąż ciężko, ale bez większych korzyści. Firma Eichheimer i Spółka, podobnie jak wiele innych, borykała się z wieloma trudnościami. Stopniowo zwalniano robotników, a nawet zaczęto przebąkiwać o konieczności zamknięcia działu zabawek. Przebrnęliśmy jakoś przez inflację, teraz potykaliśmy się o nową przeszkodę, zwaną kryzysem.

Odebrałam chłopców z nowoczesnej szkoły, w której umieściłam ich na czas trwania moich podróży, ponieważ

zauważyłam, że Michał nazbyt przejął się wpływem jednego z młodych profesorów, który był hitlerowcem. Zaledwie jednak zapisałam ich do szkoły w Berlinie, Michał wstąpił do Hitlerjugend, w klasie napluł w twarz jakiemuś koledze Żydowi, a ściany swego pokoju od góry do dołu wysmarował w swastyki. Marcin stłukł go z tego powodu na kwaśne jabłko, a ja musiałam kazać odmalować pokój.

W naszym mieszkaniu rozgrywały się obecnie nieustanne walki między narodowymi socjalistami a komunistami, i gdy zmęczona pracą i wciąż rosnącymi trudnościami wracałam do domu, zastawałam go w takim stanie, jakby diabeł zamieszał w nim ogonem. Moja gosposia stała po stronie Michała i narodowych socjalistów, natomiast Marcin, pełen przekory, oświadczał, że gdy dorośnie, będzie komunistą. Chwytając się za głowę wołałam, że obu przydałyby się porządne baty.

- Pani Tillmann powinna po raz drugi wyjść za mąż - poradził mi pewnej niedzieli Pulke, przyjechawszy do nas w odwiedziny. - Chłopcy potrzebują mocnej ręki.

- Tak, tak, panie Pulke. Ale dzisiaj nie tak łatwo znaleźć męża, prawda?

- Prawda - przyznał mi rację. - Jaka szkoda, że pan kapitan nie żyje i nie może sam wychowywać swych synów!

Ja również tego żałowałam. Czasem bardzo mi brakowało kapitana Tillmanna i raz przyśnił mi się nawet, ale odziany w niedźwiedzie futro Johna. Michał ustawił sobie rodzaj ołtarzyka ku czci zmarłego ojca - pożółkła fotografia, Krzyż Żelazny, szabla i pas oficerski - i spędzał całe godziny w milczeniu przed tymi przedmiotami.

- Jak Chińczycy czy jacyś poganie - drwił z niego Marcin i na nowo rozpoczynała się bójka.

Odkryłam kiedyś, że Michał po kryjomu widuje się z Hellmuthem, i odbyliśmy poważną rozmowę.

- Wiesz dobrze - powiedziałam - że potrafię znieść wszystko prócz krętactw i kłamstwa.

- Będiesz jeszcze kiedyś szczęśliwa, jeśli wuj Hellmuth zechce ująć się za nami, gdy nadejdzie pora. Powinnaś być mi wdzięczna, że utrzymuję z nim stosunki - odparł wyniośle Michał.

- Puszysz się jak młody, głupi indyk! - wykrzyknęłam. - Jeśli wuj Hellmuth chce się z tobą spotykać, dlaczego nie robi tego otwarcie?

- Ponieważ grozi mu niebezpieczeństwo - odparł mały z emfazą. - On jest śledzony. Żydzi chcą go zamordować.

- Prześladują mnie grzechy młodości - powiedziałam wtedy Klarze.

- Nic o tym nie wiem, że je popełniłaś. O czym ty mówisz?

- O Michale. Pamiętasz, wspominałam ci o tym, że jego ojcem mógł być Żyd. A teraz chłopak chce zostać narodowym socjalistą!

Klara wybuchnęła głośnym śmiechem.

- No więc, co masz zamiar zrobić?

- Tu nic nie można zrobić. Po prostu tak jest i na tym koniec.

- A dlaczego nie powiesz mu prawdy?

- Bo nie zrozumiałby. Nie zapominaj, że ma dopiero jedenaście lat. A zresztą... ja sama nie wiem, jak jest naprawdę.

- A może... tchórzymy troszkę, dziecinko?

- Możliwe. Obawiam się, że ta rewelacja by go załamała. On przecież jest taki niezrównoważony.. Pomówię z nim o tym, gdy będzie starszy.

Klara spojrzała na mnie badawczo i westchnęła.

- Nie wyglądasz najlepiej - stwierdziła. - Starzejesz się.

- Ktoś mi to już mówił, ale cóż? Nie jestem już młodziutką dziewczyną.

- To nie dlatego, że nasza młodość minęła, ale dlatego że miałyśmy tak ciężkie życie. A co byś powiedziała na mały flirt, traktowany jak zabieg kosmetyczny? Podobno miłość działa wprost cudownie na cerę.

- Miłość! - powiedziałam pogardliwie. - Od wieków nie byłam zakochana. Ani nawet przez jeden, jedyny wieczór.

- Tak, wiem o tym. Przynajmniej od twego powrotu z Rosji. Czyżby to było w związku z tym wysokim Amerykaninem, którego tam poznałaś?

Nie zastanawiałam się nigdy nad tym i teraz musiałam pomyśleć chwilę nad odpowiedzią.

- Nie - odrzekłam z powagą - to nie ma z nim nic wspólnego. Chyba... chyba że on stanowi dla mnie pewnego rodzaju stopę porównawczą. Nie zwracałam na to uwagi, ale teraz, gdy mnie o to spytałaś, widzę, że wszystkich mężczyzn mierzę jego miarą, i że w porównaniu z nim wydają mi się nędzni i głupi. W nim jest tyle życia, chyba dlatego że jest Amerykaninem. Ich sprężystość nie jest jeszcze tak nadwątlona jak nasza.

- Hm - mruknęła tylko Klara.

Pewnego dnia, późnym wieczorem, zadzwonił telefon. Wzywał Londyn. Od wielu miesięcy nie miałam żadnych wiadomości od Johna. Nogi ugięły się pode mną.

- Halo! Czy mógłbym mówić z panią Marion Sommer?

- Jestem przy aparacie. Jak się pan miewa, Johnie?

- Dobrze. A pani, fabrykantko zabawek? Zawsze pani podróżuje samotnie?

- Tak. Wciąż jeszcze.

- Świetnie! Co by pani powiedziała na mały skok do Londynu na weekend?

- Nie wiem... Doprawdy, nie wiem, czy to się da zrobić...

- Dlaczego?

- Nie mam urlopu... ani forsy - pobierałam lekcje konwersacji od pewnej Amerykanki i byłam bardzo dumna z mojej znajomości żargonu.

- Nie ma pani forsy... A kto ją ma? Czy nie może pani tej kwoty przerzucić na koszty ogólne? Niech pani przyjedzie, Marion, bardzo proszę.

- Ależ doprawdy, Johnie...

- Niech pani posłucha: jestem inkasentem z gazowni. Powiedziałem pani przecież, że kiedyś się zgłoszę po odbiór należności. Pamięta pani? A pani mi przyrzekła swą pomoc, o ile znajdę się w tarapatach...

- A znalazł się pan w nich, Johnie?

Z odległości tysięcy kilometrów dobiegło mnie ciężkie westchnienie.

- Sądzę, że tak.

- Och, Johnie, co się stało?

- Różne rzeczy... Między innymi przechodzimy kryzys, nie wiem, czy pani o tym słyszała...

- Oczywiście, my przechodzimy przez to samo.

- A poza tym... moja żona umarła.

Stałam jak skamieniała, ze słuchawką w ręce, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć.

- Och, Johnie... Jak to... jak to się stało?

- Wypadek samochodowy. Nie mogę tego wytłumaczyć przez telefon, ale tak chciałbym móc z panią porozmawiać. Przyjedzie pani?

- Naturalnie, że przyjadę.

Składałam pieniądze na nowe auto, ale jeśli przez ten rok będę się obywać starym, to będę mogła sobie pozwolić na ten wyjazd. W najwyższym pośpiechu kazałam sobie wyskubać brwi i zrobić ondulację, pokłóciłam się z panem

Eichheimerem, i w szary kwietniowy poranek wylądowałam w Southampton.

Od dwóch lat nie widziałam Johna i wydał mi się ogromnie zmieniony. Albo zawodziła mnie pamięć, gdy tworzyłam sobie we wspomnieniach jego obraz, albo zmienił się naprawdę. Był bardzo wysoki, lecz garbił się nieco. Jego włosy miały szary odcień, pozbawione połysku, gdy tak stał z zakłopotaną miną przy pomoście, mnąc w rękach kapelusz. Wydawało mi się, że jego skóra jest teraz zbyt obszerna dla niego.

- Hallo, fabrykancie narzędzi - powiedziałam.

- Hallo, fabrykantko zabawek.

Pochyliwszy się pocałował mnie w wilgotny od mgły policzek. Bił od niego zapach, którego nie znałam jeszcze, a który później nauczyłam się dobrze rozróżniać: zapach, który unosi się rankiem wokół człowieka, spędzającego noc nad butelką whisky. Oczy miał lekko nabiegłe krwią, pod nimi małe worki, i ręka mu drżała. Moja zresztą również.

- Jak to miło z pani strony, że pani przyjechała. Nie chciałem w to wierzyć, póki nie ujrzałem pani na trapie.

- A ja jestem zadowolona, że pan mnie na to namówił. Potrzebna mi była jakaś odmiana.

Ujął mnie pod rękę i zaprowadził do pociągu. Oboje byliśmy jacyś zakłopotani. Posadził mnie przy małym stoliczku i zamówił śniadanie. Nasza rozmowa toczyła się o nieważnych drobiazgach i co parę minut utykała. Byliśmy serdecznymi przyjaciółmi (w przeciwnym razie po co by mnie wzywał?), a równocześnie ludźmi zupełnie sobie obcymi.

John zarezerwował dla mnie w Savoyu dwupokojowy apartament. Jego pokój znajdował się na innym piętrze, co uznałam za bardzo taktowne z jego strony. Zachwyciło mnie urządzenie mego pokoju: aksamitne portiery, mosiężna krata przy kominku, wspaniałe bukiet tulipanów na stole. John

chyba, jak mi się zdawało, przywiązywał wielką wagę do tego, aby mi się tutaj podobało.

Na razie polecił mi odpocząć po burzliwej przeprawie przez Kanał, ponieważ sam musiał wyjść na umówione spotkanie z kompanami. W życiu Johna zawsze majaczyła w tle gromadka kompanów. Tym razem byli to pracownicy londyńskiej filii firmy Sprague. Odchodząc, pochylił się nade mną tak, że myślałam, iż po raz drugi ma zamiar pocałować mnie w policzek, ale po prostu pocałował mnie w rękę. Na mnie, która pochodziłam z kraju, gdzie na co dzień całowało się kobiety w rękę, nie zrobiło to żadnego wrażenia. Potem dopiero dowiedziałam się, jak ogromne znaczenie miał dla niego ten gest.

- Dziękuję, Marion - powiedział stojąc w drzwiach - tak się cieszę, że pani przyjechała.

Zostałam sama i zastanawiałam się, po co wzywał mnie do Londynu, i kto z nas dwojga był przy zdrowych zmysłach: on czy ja. Potem jedliśmy lunch, a po obiedzie spędziliśmy wieczór w teatrze. Gdy po ostatnim cocktailu odprowadził mnie do drzwi mego pokoju, znowu pocałował mnie w rękę.

- Przypuszczam, że śniadanie będzie pani chciała zjeść w łóżku?

- Nie, dziękuję panu - odpowiedziałam. - Nie znoszę jadania śniadań w łóżku, nigdy tego nie lubiłam. Jutro rano spotkamy się na dole, a później pójdziemy do zoo obejrzeć małe niedźwiadki i impresjonistyczną małpę o fioletowej twarzy i gorąco czerwonych pośladvach.

Cały dzień zszedł nam na beztreściowej gadaninie, a po południu wzięłam się do pakowania walizek, by móc odpłynąć nocnym statkiem. Wciąż pytałam się w duchu, po co tu przyjechałam. Piliśmy herbatę w moim saloniku. John przyrządził sobie drinka, którego nazwał „highball”, a ja czułam się jak zupełna idiotka.



- Niech mi pan właściwie powie, po co wezwał mnie pan do Londynu? Sądziłam, że ma mi pan coś ważnego do powiedzenia.

Spojrzał na mnie smutnymi oczami jak chory pies.

- Musiałem nie być przy zdrowych zmysłach, dzwoniąc do pani. Wypiłem wtedy parę kieliszków z kompanami i wszystko wydawało mi się zupełnie naturalne.

- No, ale ostatecznie jestem tutaj. A wieczorem wyjeżdżam. Wychylił swój kieliszek, napełnił go znowu, kręcił się niespokojnie na fotelu.

- Tak, trudno mi o tym mówić, ale wydawało mi się, że będzie mi lżej, gdy wyrzucę to z siebie - powiedział wreszcie.

- Niech pani zostanie jeszcze na dzisiejszą noc. Muszę najpierw zebrać siły.

- Czy... czy to ma związek z wypadkiem pana żony?

- Tak, o tym właśnie chciałem pani opowiedzieć, ale jednak to niełatwa sprawa. Wie pani, któregoś dnia w Nowym Jorku wpadło mi w ręce ilustrowane czasopismo z artykułem omawiającym pani twórczość, z fotografiami pani i dzieci. Nie wiedziałem, że pani jest sławna. Robiła pani wrażenie takiej smarkatej. Poczulem nagle wielką dumę. Patrz, to Marion, pomyślałem. Może, jeśli pogadam z nią, uda mi się zrozumieć pewne rzeczy, z którymi sam nie umiem sobie poradzić. Wyciąłem ten artykuł. Powinienem mieć go gdzieś przy sobie. Zaraz pani pokażę.

- I co dalej, Johnie? - spytałam, nie wiedząc, dokąd zmierza.

- Niech mi pani pozwoli wymienić swój bilet. Jutro rano może pani wsiąść w samolot i po południu być w domu. Jak pani myśli? - mówił, przejęty potrzebą natychmiastowego działania.

Po wielu telefonach zasiedliśmy wreszcie w moim pokoju do obiadu, a John wciąż jeszcze ani słówkiem nie wspomniał

o wypadku swojej żony. Zauważyłam, że ożywał się w miarę picia. Sytuacja wcale się nie wyjaśnia, moja droga, myślałam sobie. Nic nie rozumiałam z tego wszystkiego.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie nie jak dwie ludzkie istoty, lecz jak dwa kontynenty przedzielone oceanem wzajemnego niezrozumienia. Po wielu dopiero latach pożycia z Johnem miałam zrozumieć, że wieczorny John Sprague, mający we krwi sporą ilość wypitego alkoholu, a John Sprague poranny, wypoczęty i przepłukany wodą selterską, to dwaj zupełnie różni ludzie.

- Mówiłem już pani, że Sheila - to znaczy moja żona - zginęła w wypadku samochodowym - rozpoczął wreszcie swe opowiadanie, późnym już wieczorem, sporo wypiwszy przedtem. - Nie powiedziałem jednak, w jakich okolicznościach to się stało. Jest tu tyle rzeczy, których dotychczas nie rozumiem, że chciałem pomówić o tym z panią. Bo przecież nie mogę o tym mówić z moimi kompanami. A mimo to wiem dobrze, iż nie było ani jednego obrzydliwego szczegółu, o którym nie czytaliby we wszystkich dziennikach, i którym wszystkie kluby w Nowym Jorku nie wycierały sobie gąb! I to właśnie, to szarganie, jest najstraszniejsze! Pani jest zupełnie inna od kobiet, które znam. Z nimi nie mógłbym mówić o Sheili. Widzi pani, ja nie bardzo znam się na kobietach. Przez cały czas trwania naszego małżeństwa nawet nie spojrzałem na inną. Może powinienem był. Ale cóż, myślałem tylko o tym, żeby była szczęśliwa i żeby miała wszystko, co zechce. Żeby pani widziała szmaragd, który jej dałem w dziesiątą rocznicę naszego ślubu!

Opowiem pani teraz, jak to się stało. Powiedziała mi, że wyjeżdża do Miami z paczką naszych przyjaciół. I nagle pewnej nocy policja z Long Island wzywa mnie do telefonu i dowiaduję się, że Sheila miała wypadek. Od razu wsiadłem w samolot. Żyła jeszcze, ale wyglądała okropnie i nie odzyskała

już przytomności. Oto jak się rzecz miała: poszła do „Laguny”, ohydnej spelunki, gdzie na dole produkują się gołe tancerki, a na piętrze jest gangsterska jaskinia gry. Była tam z pewnym mężczyzną o najgorszej reputacji, który, jak mi powiedziano, był jej kochankiem, o czym zresztą wiedzieli ponoć wszyscy. Wszyscy, prócz mnie. Kiedy wracali, ich auto wpadło na ciężarówkę. Kierowca ciężarówki stracił obie nogi i dziecko siedzące koło niego, prócz tego został zabity pasażer, którego chciał gdzieś podwieźć. Jej kochanek natomiast wyszedł bez szwanku.

Skandal powiększył fakt, że oboje w chwili wypadku byli pijani do nieprzytomności. W „Lagunie” wygrali podobno moc pieniędzy. Torebka Sheili otworzyła się i studolarowe banknoty rozsypały się na drodze. Tę torebkę ze złotych ogniw dostała ode mnie na Gwiazdkę...

Widzi pani, ja również mam swoją ambicję: nazwisku Sprague nikt nigdy nie mógł niczego zarzucić. A tu nagle taki skandal! W samochodzie znaleziono butelki, potłuczone oczywiście, strugi alkoholu na szosie i studolarówki przesiąknięte krwią i dżinem. Nie wiem, doprawdy, jak przeżyłem to wszystko. Ta sensacja w dziennikach! A sposób, w jaki ludzie patrzyli na mnie! A mój syn! Ma piętnaście lat. Co on musiał przeżywać, czytając w gazetach te wszystkie historie o swojej matce! Wysłałem go jak można najdalej, do szkoły w Wyoming, ale mimo wszystko...

Starałem się o tym zapomnieć. Powtarzałem sobie ciągle, że kobieta, którą ubóstwiałem, nie była tą, z którą się kiedyś ożeniłem. Że była to po prostu ułuda, marzenie brane za rzeczywistość. Ale, mój Boże, nie tak łatwo wykreślić szesnaście lat z życia! Przypominam sobie, jak ją ujrzałem po raz pierwszy: miała na sobie białą, powiewną sukienkę i wyglądała jak anioł. A potem nasze miodowe miesiące i jeszcze potem, gdy dziecko przyszło na świat, taka była

wzruszająco dobra! Nie, nie jestem w stanie tego pojąć! Wydaje mi się chwilami, że oszaleję! Od kiedy zaszła w niej ta zmiana? Kiedy zaczęła mnie okłamywać? I dlaczego nic nie spostrzegłem? Ach, Marion, niech mi pani powie, w czym zawiniłem? Bo przecież gdybym jej w jakiś sposób nie sprawił zawodu i ona nie byłaby mnie zawiodła tak strasznie! I nie skończyłaby w taki sposób, który potem tłustym drukiem rozgłaszały gazety...

Wyciągnął drżącą rękę po butelkę i nalał sobie czystej whisky.

- Muszę teraz co dzień wypijać kilka drinków przed spaniem... - szepnął tonem proszącym o wybaczenie, po czym przerzucił rękę przez poręcz swego fotela, a ja wsunęłam w nią swoją dłoń.

Usiłowałam ocalić, co się jeszcze da, w tej ruinie człowieka. Zdawał się być tak nieświadom zawiloci w stosunkach między mężczyznami i kobietami, że nie wiedziałam, co mu powiedzieć na pociechę, i mówiłam chyba same banały, które jednak przyniosły mu ulgę. A może po prostu instynktownie szukał u mnie odrobiny fizycznego ciepła, kobiecej ręki, którą mógłby wziąć w swoją, i kobiecego głosu. Biedny, biedny Johnie! Nie potrafię w jedną noc uleczyć twej zdeptanej godności. Na to trzeba by całego życia.

\* \* \*

Z początkiem jesieni tego roku firma Eichheimer i Spółka zamknęła swoją wytwórnię zabawek, a ja powiększyłam szeregi bezrobotnych. Wyglądało na to, że wszyscy naprędce opuszczają Berlin. Dom, w którym mieszkaliśmy, został po śmierci właścicieli sprzedany na licytacji. Wobec tego meble umieściłam w przechowalni, odprawiłam gosposię, chłopców oddałam pod opiekę Klarze i sprzedałam mój stary samochód.

Za otrzymane pieniądze kupiłam bilet do Stanów Zjednoczonych.

Wymówkę miałam lichą i łatwą do przejrzenia: pewna część moich rzeźbionych w drzewie figurek była wystawiana w Nowym Jorku i przypuszczałam, że dzięki takiej reklamie uda mi się znaleźć tam jakąś posadę. W głębi duszy czułam jednak doskonale, że wybieram się w drogę dla ratowania idącego na dno okrętu. Gdy chodzi o ocalenie czyjegoś życia, kobiety potrafią być okrutne, a przecież żadna z moich rzeźb nie była dla mnie warta tyle zachodu, co John Sprague.

Oczekiwała mnie wielka niespodzianka. To prawda, że otaczały go opary wczorajszej whisky, kiedy się pochylił, by pocałować mnie w policzek, był to jednak zupełnie inny człowiek: trzymający się prościej, bardziej ożywiony, pewniejszy siebie.

- Johnie! Wygląda pan wspaniale!

- I pani również, dziewczynko.

- Co pan z sobą zrobił? Czy kazał pan sobie przeszczepić małpie gruczoły? - Było to bardzo modne w 1930 roku.

- Wróciłem z powrotem do konnej jazdy. Lubi pani jeździć konno?

- Nigdy nie próbowałam.

- Trudno. Wobec tego będziemy ogrywali w golfa.

W golfa! Jedyny plac golfowy należał w Berlinie do klubu milionerów i golf uważany był za najdroższy, najbardziej snobistyczny i ekskluzywny sport, a więc, oczywiście, niedostępny dla mojej kieszeni. Tutaj, w tym zupełnie nowym dla mnie świecie, John poruszał się z największą swobodą, podczas gdy ja sama na sobie robiłam wrażenie ołowianej kaczki, rzuconej na głęboką wodę. Ciągłe potykałam się o coś, każda minuta przynosiła mnóstwo nowych odkryć i głębokich nieporozumień. Upijałam się po prostu otaczającym mnie zbytkiem. To jedzenie, te wystawy, tysiące światła, obrazy! A

co za ludzie! Dotychczas uważałam Johna - nie przyznając się zresztą do tego - za najwspanialszego mężczyznę, jakiego znałam. Tymczasem okazało się, że wszyscy Amerykanie byli równie wspaniali: bardzo męscy, posiadali ten niezwykły męski urok, którego zupełnie pozbawieni są Niemcy. Co do kobiet, to ich uroda była czymś tak doskonałym, że patrzyłam na nie z otwartymi ustami. Miały drobne ręce i stopy, błyszczące włosy i skórę gładką jak aksamit. Z każdego ich ruchu zdawał się tryskać sex appeal (bardzo modne wtedy określenie), zupełnie naturalny i niewymuszony.

Wszystko to wywołało u mnie stany przygnębienia. Poddałam siebie surowej krytyce. Miałam na sobie umundurowanie dobrze wychowanej Europejki: czarną sukienkę, oksfordzkie buciki, białe, skórkowe rękawiczki i maleńki, paryski kapelusik. Wyglądałam jak wróbel między rajskimi ptakami. Co tu robić? Wmawiałam sobie, że różnica między nami pochodzi stąd, że podczas gdy ja żywiłam się chlebem z trocin i kawą z żołądźmi, one pochłaniały śmietankę, sok pomarańczowy i masę różnych witamin. One wciąż piękniały, a mnie wyniszczało życie. W końcu udałam się do najlepszego w mieście salonu kosmetycznego i spędziłam tam pięć godzin.

Wystawa moich rzeźb miała duże powodzenie i nagle narobiono dużo szumu wokół mojej skromnej osoby. Reportaże, wywiady, fotografie i zaproszenia posypały się zewsząd. Jakież to był zabawny świat! Wszyscy dokoła mówili o rzeczach zupełnie nieznanym i zadawali pytania, na które nie umiałam znaleźć odpowiedzi. Co chwilę mówili o kryzysie. A mnie się po prostu chciało śmiać i miałam ochotę zawołać: „Ależ dzieci drogie, czy wy w ogóle macie pojęcie, co to jest kryzys? Nie przeszliście niczego i teraz uskarżacie się na złe czasy, tonąc po uszy w zbytku”.

Drugim takim tematem były napoje. Co można dostać i po jakiej cenie, oraz które bary są najlepsze. Zastanawiał mnie również stosunek obu płci. Mogłam spędzać całe weekendy w towarzystwie znajomych, nie mogąc zgadnąć, kto do kogo należy i kto z kim jest żonaty. Nieraz zadawałam sobie pytanie, czy ci ludzie są tak niewinni, czy tak zepsuci.

Większość weekendów spędzałam w rezydencji Johna, w Elmridge, gdzie było zawsze pełno gości. Przywozili ze sobą rakiety tenisowe, kije do golfa, kostiumy kąpielowe i pełną werwy radość życia. Ludzie otaczali Johna nieustannie, jakby chcąc w ten sposób dać mu do zrozumienia, że nikt mu nie bierze za złe skandalu z żoną. Był zresztą przemiłym gospodarzem, brał udział we wszystkich rozrywkach i w niczym nie przypominał tego złamanego człowieka z Londynu. Kilka razy zastałam go jednak siedzącego samotnie przy kominku nad kieliszkiem whisky, ze starym spanielem śpiącym u nóg, i czułam, że odgradza go od świata nieprzenikniona samotność. Ale gdy tylko nasze oczy się spotkały, ożywiał się od razu.

- Może drinka, Marion? Nie? No to może chce pani zagrać w ping - ponga? A może ponurkować w basenie?

Podczas tych weekendów czułam się jak żółw na wyścigach zajęcy. Mocne napoje działały na mnie usypiająco. W tenisa grałam fatalnie, a w ping - ponga jeszcze gorzej. Nigdy nie miałam czasu, by nauczyć się grać w brydża, a tryktrak nudził mnie śmiertelnie. Pływałam tylko żabką, jak ongiś nauczono mnie w Wiedniu. Mój sposób rozmowy nie posiadał odpowiedniego ożywienia, a moje odpowiedzi ciętego dowcipu. Nie potrafiłam rozśmieszyć nawet Johna, nie mówiąc już o tym, by pod moim wpływem mógł zapomnieć o swoich przejściach. Jedyne, co potrafiłabym zrobić, to podejść do niego, pogłaskać go po głowie i powiedzieć:

„Zmęczony jesteś, staruszkę? Smutny? Samotny? Chciałbyś pewnie pogadać ze mną o kobiecie, którą wciąż jeszcze kochasz. Kocham cię bardzo, mój przyjacielu, wiele doświadczyłam w życiu i wszystko rozumiem.”

Pewnego razu odważyłam się zapytać:

- Pan czuje się jednak trochę osamotniony, prawda, Johnie? Spojrzał na mnie rozbawionym wzrokiem, lekko zdziwiony.

- Osamotniony? Mając w domu szesnastu gości? Jak pani może mówić coś podobnego? Chyba że na pani gust panuje tu za mały rwetes.

Ja pochodziłam z Europy, on z Ameryki, między nami rozpościerał się ocean.

John opróżnił szklanekę i wyszedł na taras do gości, którzy go wołali. W sekundę później rozległ się ogólny śmiech, a on śmiał się najgłośniejszym z całego towarzystwa. Poszłam na górę do mojego pokoju i położyłam się na łóżku.

Ciekawa jestem, co odczuwał Stanley, kiedy odnalazłszy Livingstone'a zrozumiał, że ten wcale nie chce być uratowany, myślałam sobie z goryczą. Przypuszczam, panie Sprague, że nie jestem panu potrzebna do ratowania życia. Doskonale więc, Marion, sześć tygodni dobiega końca. Spakuj manatki, wracaj do Berlina i poszukaj pracy. Obejrzałaś już sobie Amerykę. To niesłychany kraj. Ludzie też są niesłychani i wszystko razem jest niesłychane, tylko że... że nikomu tutaj nie jesteś potrzebna!

Pewnego wieczoru przysiadł się do mnie stary znajomy Johna, pan Farrar.

- Ja stawiam na panią - rzekł. - Założę się, że pani wygra wyścig w ostatnim okrążeniu.

- Nie miałam pojęcia, że staję do wyścigów.

- Ależ tak, i znajduje się pani w pełnym biegu. Czy zaobserwowała pani kiedyś, Marion, jak kucharz na statku



rzuca mewom odpadki przez burzę? Otóż niech się pani przyjrzy tym wszystkim pannom. To są te same krzyki, ta sama chciwość i zachłanność. Tylko John nie jest bynajmniej odpadkiem: jest to główna wygrana w tym sezonie, i wspomni pani moje słowa - to pani ją weźmie.

- Nie mam w sobie tego ducha rywalizacji co amerykańskie dziewczęta i nie czuję się na siłach mierzyć się z nimi. Widocznie naoglądał się pan filmów, na których stara szkapa mleczarza staje do wyścigów i wygrywa.

- Ale pani kocha Johna - powiedział Mr Farrar.

- Tak, kocham go bardzo - przyznałam z wielką powagą.

Mój statek odpływał w sobotę. We czwartek zadzwonił do mnie John.

- Czy nie zjadłaby pani ze mną obiadu dziś wieczorem? Jutro rano, jadąc do biura, mógłbym panią odwiedzić do miasta.

- A kto jeszcze będzie? - spytałam.

- Nie będzie nikogo, tylko pani i ja. Zgoda? Koło piątej wpadnę po panią.

Kiedy przyjechał po mnie, padał deszcz. Zaledwie jednak mineliśmy Queensboroughbridge, przestało padać. Spoza drzew wyjrzała tęcza, a wilgotny asfalt odbijał pogodne niebo. Po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich tygodni byliśmy sami i ta spokojna przejażdżka autem wydała mi się niezwykle miła. Patrzyłam na drogę i zastanawiałam się, czy potrafiłabym trafić, gdybym przypadkiem znalazła się sama na szosie. Ale na cóż mi się zda znajomość drogi na Long Island, gdy za parę dni będę z powrotem w Berlinie?

- Czemu pani jest taka milcząca, dziewczynko?

- Ach, zna mnie pan przecież. Jestem przesiąknięta sentymentalizmem. Po prostu lituję się sama nad sobą.

- Dlaczego ma się pani litować?

- Wie pan, żegnam się właśnie z każdym sklepikiem, w którym sprzedają esencję octową, i z każdym sprzedawcą hot

dogów. Już od dziecka żegnałam się tak właśnie ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami.

- Ależ pani wróci tu na pewno - odparł, ścinając zakręt i wjeżdżając na szeroką szosę.

Tęcza zbladła tymczasem i szybko zaczął zapadać zmrok.

- Jeśli pani sama nie wróci, przyjadę po panią - powiedział po dobrej chwili.

Zajechaliśmy przed dużą willę, dziwnie cichą i pustą, bez zwykłego gwaru gości. John włączył radio, a Lindquist, jego lokaj, przyniósł napoje. Obiad podano na małym stoliku przy kominku. Stary spaniel Topper dotrzymywał nam towarzystwa i podszedłszy po chwili do mnie, położył swoją mordkę na moich kolanach.

Poczułam się tym ogromnie zaszczycona, jak zwykle gdy czyjś pies okaże nam zaufanie.

- Lubi panią - powiedział John. - On zawsze bardzo trafnie ocenia ludzi.

Głaskałam głowę psa i gdy John wyciągnął rękę, aby go również pogłaskać, nasze ręce zetknęły się na ciepłej sierści poczciwego zwierzęcia. John odwrócił swą rękę dłonią do góry, a ja położyłam na niej swoją. Dym naszych papierosów krętą smugą ulatywał w górę pod sufit i zdawało się, że nawet ogień ścichł naraz, by wsłuchać się w głęboki spokój tej chwili.

- Cieszę się, że pani przyjechała spędzić ze mną ten wieczór. Taką nagle poczułem ochotę, by choć raz móc mieć panią dla siebie, i posłać do wszystkich diabłów pani adoratorów.

- Nie wiedziałam nawet, że ich posiadam.

- Oczywiście. Jest pani teraz ośrodkiem zachwyty całego miasta i wszyscy szaleją na pani punkcie.

- O wiele bardziej wolę być z panem sam na sam. Nie jestem stworzona na gwiazdę weekendów. Ale dlaczego nigdy przedtem nie zaprosił mnie pan tak jak dzisiaj?

- Nie chciałem ściągać na panią plotek. Nie zniósłbym tego. Zupełnie nie wiedziałam, jak należy rozumieć jego słowa.

- Chodźmy. Wyjdziemy na taras. Księżyc właśnie wyłania się zza chmur.

Zauważyłam, że wypił tylko trochę wina do obiadu, a wcale nie pił whisky.

- Na dworze będzie pewnie chłodno, ale otulimy panią.

- Czy ma pan jeszcze swoje niedźwiedzie futro? - spytałam, gdy wrócił niosąc okrycie na ramieniu.

- Ach, tę starą niedźwiedzicę, którą nosiłem w Moskwie? Ten zabytek? Owszem, musi być gdzieś w domu. A dlaczego pani pyta?

- Tak sobie. Bardzo ją lubiłam.

- W takim razie powiem Lindquistowi, żeby ją wyszukał i nasypał naftaliny do kieszeni.

Księżyc wzeszedł tymczasem i srebrną smugą drzał na rzece. Powietrze, rześkie i wilgotne, pachniało świeżo skopaną ziemią. John objął mnie ramieniem, obrócił ku sobie i pochylił się nade mną. Usta jego, szukając w ciemności, musnęły najpierw moje włosy, później policzki, by w końcu przyłgnąć do moich ust. Robił to tak spokojnie, że najłżejszy szelest nie zmącił ciszy nocnej.

- Dlaczego?... - zapytałam zdziwiona.

- Tak sobie. Dlatego że oboje należymy do tego samego pokolenia.

Była to jedna z tych jego zdumiewających odpowiedzi, w których odkryłam później o wiele więcej treści, niż pozwalał się komukolwiek domyślać. Ta odpowiedź zawierała wszystko: zrozumienie i doświadczenie, przyjaźń, może

odrobinę współczucia dla nas obojga i właściwe mu poczucie humoru.

- Pan jest dziś w dobrym humorze, prawda? - powiedziałam.

- W dobrym humorze? Nie. Po prostu dobrze się czuję. Może pani nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, jak dalece pani obecność dobrze na mnie wpływa.

- Bardzo się z tego cieszę. Lubię, gdy pan uważa mnie za - jak to pan nazywa? - za swego kompana.

Gdy wchodziliśmy do domu, zapytał nagle:

- Proszę mi powiedzieć, czy pani się tutaj podoba?

- O tak! To wszystko jest wprost niesłychane.

- Jak pani myśli, czy potrafiłaby pani żyć tutaj?

- Oczywiście. Tu jest przecież cudownie - odrzekłam wesoło.

John badawczo spojrział mi w twarz i westchnął.

- Zastanawiam się czasem, czy pani naprawdę dobrze zna angielski - powiedział. - Chciałem przez to powiedzieć: czy potrafiłaby pani spędzić tu całe życie?

Zaparło mi dech. Przez chwilę wszystko dokoła wirowało mi w oczach jak na karuzeli; całe życie przemknęło mi przez myśl w oszłamiającym tempie. Dzieci - Michał i Marcin. Moja praca. Mój zawód. Kariera. Cała moja przeszłość. Moja przyszłość. Niezależność. I znowu Michał. I w końcu ten dom, gdzie z każdej fałdy portiery wзираł cień zmarłej Sheili. I ten człowiek, o przyprószonej siwizną głowie, którego kochałam tak bardzo, a znałam tak niewiele...

- Nie wiem, Johnie, czy kiedykolwiek nauczę się grać w tryktraka.

\* \* \*

W tym krótkim czasie, w którym słońce przesunęło się o dwa centymetry ku krawędziom rozpadliny, Marion przeżyła trzy różne nastroje. Na pierwszy składała się odwaga i chęć

czynu, wiele nadziei i rozsądne rozumowanie. Głupstwo, pomyślała. Nie mogę przecież siedzieć tutaj i czekać zmiłowania losu. Nigdy nie byłam istotą bierną. Muszę wydostać się stąd, a jedyną przeszkodą jest złamana noga.

Noga napuchła w kostce i nie trzeba było nawet dociągać sznurowadeł, by ją podtrzymać w przegubie. Marion wstała, wsunęła na ramiona rzemienie plecaka i wzdłuż krawędzi przepaści zaczęła posuwać się do miejsca, które obrała sobie za punkt wyjściowy. Starła się odciążyć chorą nogę, a wszystkie siły skoncentrować w ramionach i rękach, używając jednocześnie kolan jako podpory na lodzie i posługując się nawet brodą przy wspinaniu się w górę. Nie czuła nawet, czy ją boli; prawdopodobnie mróz znieczulił jej ciało. Słyszała własny chrapliwy oddech i ten odgłos podtrzymywał ją na duchu. Jestem jak stara, dobra maszyna, prawie tak dobra jak te, które produkowała firma Sprague. Żeby tylko teraz ten mały diamentowy blok chciał utrzymać mój ciężar.

Niestety, nie utrzymał. Marion była już mniej więcej na wysokości dwóch metrów z trzech, jakie należało przebyć, gdy blok się obsunął. Instynktownie starła się oszczędzać złamaną nogę, ale ta dosłownie zgięła się pod nią. Odniosła takie wrażenie, jakby złożył się pod nią niedokładnie rozstawiony leżak. Mrucząc soczyste przekleństwa, Marion leciała w dół po raz drugi i zatrzymała się jeszcze niżej niż poprzednim razem. Było tu trochę lepiej, miejsce było przestronniejsze i tworzyło jakby wnękę w lodzie, wygodną i szeroką na ponad dwa metry.

- Widocznie nic się nie da zrobić - powiedziała sobie ochłonawszy. - Jeśli poprobuję jeszcze parę razy, to na pewno skręcę kark.

Ogarnęła ją fala innego nastroju, odmiennego od poprzedniej euforii, a nastrój ten był najgorszy, jaki

kiedykolwiek poznała w życiu, choć przeżyła niejedno piekielne uczucie.

Zaczął się od dreszczu, a później jakiś kurcz obezwładnił jej ramiona i ścisnął klatkę piersiową. Był to już nieukrywany, straszliwy lęk przed śmiercią.

- Nie chcę, nie chcę umierać! - zaczęła krzyczeć Marion. - Zlitujcie się! Zlitujcie się nade mną! Na pomoc! Ja nie chcę umrzeć! Krzysztofie! Michale! Johnie! Marcinie! Uratujcie mnie! Mamo! Mamo! Pomocy!

Wyczerpana i zachrypnięta od krzyku, zlana zimnym potem, powiedziała nagle:

- No, no, Marion, bądźże rozsądna. Tak przecież nie można, moja kochana! Życie prawie przyzwocie to bardzo łatwo, ale umieć przyzwocie umrzeć to próba, która o wszystkim decyduje. Tak, to prawda, tylko że życie jest takie przyjemne! I ja je tak kocham! Doskonale, Marion, ale skąd możesz wiedzieć, czy czasem śmierć nie jest sto razy miłsza niż życie? Zastanówmy się tylko: czy życie ma w ogóle jakiś sens? Niewiele, chyba że zależy to od sposobu życia. Możliwe że dla mnie to właśnie najlepsza pora, żeby odejść. Spełniłam swoje zadanie, Michał wyzdrowiał i Renata niedługo zagarnie go dla siebie. Wszyscy moi mężczyźni odeszli na tamten świat przede mną, a teraz znika z mego życia również Krzysztof. Nie wiem, czy życie będzie tak zabawne w latach, które nadchodzą... Chociaż tak, mimo wszystko tak. Życie zawsze jest piękne, bez względu na to jak się układa. Życie jest wspaniałe... i pełne niespodzianek. Pełno w nim drobnych, nieśmiałych, miłych spraw i tego nie potrafi unicestwić żadna wojna. Książka, skrzypce, kwiat, kawałek drewna. Nowy kapelusz. Nawet trudności są dobre. Co prawda radości i smutki układają się czasem bardzo nierówno; wtedy, na przykład, gdy strapienie polega na tym, że straciło się męża lub lekarze stracili nadzieję uratowania twego dziecka, a całą

radością jest możliwość przespania nocy w łóżku lub wzięcia gorącej kąpieli.

Moje łóżko... tęsknie pomyślała Marion, moje miękkie, ciepłe łóżko, w którym co noc mogłam zasnąć i zapomnieć o wszystkim! Nigdy nie przypuszczałam, że ja i moje łóżko nie będziemy razem, gdy nadejdzie ostatnia godzina. Trudno. Zresztą nie umarłam jeszcze.

Gorąca kąpiel... Kto uważa kąpiel za drobną przyjemność? Gdyby mi ktoś dał teraz do wyboru: znaleźć się z Krzysztofem na mrozie, czy sama w gorącej kąpiel, wybrałabym kąpiel.

Wyciągnęłabym się wygodnie, zanurzyłabym moje biedne, przemarznięte pośladki, odkręciłabym kurek z gorącą wodą, pozwalając jej płynąć strumieniem. Wszystko, dosłownie wszystko oddałabym w tej chwili za gorącą kąpiel!

Myśl o łóżku i gorącej kąpiel rozgrzała ją na parę minut, ale po chwili znów ocknęła się w swojej rozpadlinie. Zatem nic nie będzie z kąpiel, pomyślała już spokojnie i prawie wesoło, ale mamy przecież jeszcze papierosy. Mamy nawet czekoladę. Jest więc tak, jak zawsze sobie życzyłam: jedna przyjemność i jedna trudność.

Zaczęła powoli gryźć czekoladę, by osiągnąć maksimum przyjemności. Później zapaliła papierosa, mocno zaciągając się dymem. Spróbowała puszczać kółka, była to sztuka, do której wzdychała przez całe życie. Nauczyłam się dziś jodłować, dlaczego nie miałabym się nauczyć puszczać kółka z dymu? Nadeła policzki i wypuszczała kłęбки dymu, ale nie wyłoniło się z niego ani jedno kóleczo. Marion zawzięła się. Czowała się o wiele lepiej. Jeszcze się nie poddała i nie miała zamiaru się poddać.

\* \* \*

Poślubiłam Johna, ale John był poślubiony pneumatycznie - hydraulicznej wiertarce typu Dinkley'a. Nasze małżeństwo było typowym trójkątem w wydaniu amerykańskim. Na ogół

czułam sympatię do Dinky, choć często bywałam o nią zazdrosna. Ta strona życia mego męża była dla mnie całkowicie niedostępna, a jego pochłaniała zupełnie. Można zwalczać drugą kobietę, ale niepodobna walczyć z maszyną o sile trzydziestu koni, z silnikiem diesla! Tymczasem Dinky wysysała wszystkie siły z mego męża. Żadna kochanka nie potrafiłaby go tak wyczerpać, mieć więcej wymagań, ani kosztować tyle co ona. Dinky kładła się z nami do łóżka i asystowała przy pierwszym śniadaniu. Zasiadała z nami do stołu i przerywała nam najczulsze momenty dzwonkiem telefonu lub depeszą. Humor Johna zależał od jej kaprysów. Nieraz przynosił ze sobą do domu teczkę papierów i na całą noc zasiadał do pracy. Tymczasem ja, otrzymawszy przelotny pocałunek, zasypiałam pod wrażeniem, że najważniejsza strona życia mego męża jest dla mnie czymś niedostępnym. By takie małżeństwo było szczęśliwe, trzeba w nie nieustannie wkładać wiele wysiłku, a to wymaga i pewnych umiejętności, i nieskończonej ilości taktu. Niejednokrotnie przypominałam sobie słowa Klary:

- Ach, dziecinko, gdyby tak żony starały się mieć w pewnych wypadkach tyle taktu, co pierwsza lepsza dziwka za trzy dolary, to jestem pewna, że mniej byłoby na świecie nieszczęśliwych małżeństw i rozwodów!

Jedną z drobnych usterek mego życia była Miss Crump, prywatna sekretarka mego męża, w życiu codziennym - jak na ogół wszystkie sekretarki - trochę krępująca dla żony szefa. Była to starzejąca się panna, wyglądająca tak, jakby nigdy nie była młoda. Była bardzo despotyczna i zawsze wszystko wiedziała lepiej od nas. Miała chroniczny katar. Wszelkie pochlebstwa z mej strony składane u jej stóp w postaci aspiryny, czekoladek, cukierków i zasięgania rad, nie na wiele się zdały. Miss Crump nie mogła darować Johnowi, że ożenił



się ze mną, zamiast poślubić popieraną przez nią kandydatkę, niejaką pannę Boyd z firmy Boyd w Filadelfii.

Wyjeżdżaliśmy często, zawsze w sprawach związanych z Dinky, i w ten sposób dobrze poznałam cały kraj, będący teraz moim krajem.

- Moja żona nigdy nie słyszała o Kolumbie - żartował mój mąż w rozmowach z przyjaciółmi - i teraz okropnie się męczy, odkrywając Amerykę.

Lubiłam bardzo Elmridge i czułam się tam bardzo szczęśliwa. Pokochałam szeroką łąkę, łagodnym spadkiem schodzącą ku rzece, i cień chmur, kładący się na zieloności trawy. Śpiew ptaków w koronach klonów. Deszcz bębniący po dachu. I moją małą pracownię nad garażem, pachnącą drzewem, farbą i terpentyną, i skalny ogródek, i szklarnię, gdzie codziennie rano ścinałam świeże kwiaty do wazonów. Lubiłam śmiało zestawienia: słoneczniki z ciemnymi środkami i różowe, naiwne malwy, błękitne delfinie i pąsowe kwiaty geranium. Specjalnie doбираłam kwiaty na biurko Johna, chcąc mu w ten sposób okazać swą miłość, ale nie wiem nawet, czy zwracał na to uwagę. W każdym razie nie wtedy, gdy Dinky nastęrczała mu nowy, twardy orzech do zgryzienia.

\* \* \*

Nadchodzi w życiu taki moment, kiedy osobiste życie człowieka zaczyna tracić ważność, a cały punkt ciężkości przesuwa się na dzieci. Człowiek może czuć się jeszcze szczęśliwy, ale już nie tak żywiołowo jak w młodości, i może nawet kochać, ale nie jest to już wyłączna, zaborcza miłość z młodych lat. Może cierpieć, ale nie przechodzi już, jak dawniej, tortur nie do zniesienia.

Skrzydło domu, w którym mieszkali chłopcy, John nazywał „klatką małp”. Zabawnie było obserwować, jak każdy z nich rozwija się na swój sposób, przybierając swój własny, odrębny kształt, niby trzy formujące się kryształki. John umiał

postępować z chłopcami, a Marcin i Michał odczuwali widocznie brak ojca i męskiej opieki, wnosząc ze sposobu, w jaki od razu nim zawładnęli. Mnie natomiast niełatwo przyszło pozyskać zaufanie Johnny'ego Sprague'a. Przez kilka tygodni obserwował mnie podejrzliwie i niechętnie, w końcu jednak uznał mnie widocznie za kogoś należącego do tego samego obozu i zaczął traktować jak sprzymierzeńca.

Kiedy go poznałam, Johnny - John Sprague IV - był chłopcem mniej więcej osiemnastoletnim, o niezgrabnych ruchach, ładnych, jasnobrązowych oczach, ukrytych za okropnymi rogowymi okularami, i krzykliwych manierach niewyrobionego młodzieńca. Gdziekolwiek się ruszył, pozostawał po nim ślad w postaci numerów pisma „Nowe Masy”. John zbierał je cierpliwie i z uśmiechem odkładał do innych gazet, a Johnny wściekał się, widząc, że nie udaje mu się rozgniewać ojca.

- Żyjemy przecież w wolnym kraju - przekomarzał się z nim John. - Każdy ma prawo do własnych przekonań. Może to i niezły pomysł, żebyś wstąpił do jakiejś partii i zaczął pracować w fabryce. Zawsze twierdziłem, że ktoś, kto nigdy ciężko nie pracował, nie może być dobrym komunistą. Najpierw trzeba na własnej skórze spróbować, jak człowieka bolą plecy po ośmiu godzinach spędzonych przy warsztacie. Wiesz przecież, że jeszcze twój dziadek pracował w ten sposób.

Johnny z lekko naburmuszoną miną wychodził wtedy z pokoju, a John uśmiechał się nadal. Kontrowersje pomiędzy Johnem a Johnnym pochodziły stąd, że ojciec pragnął, by syn poszedł na uniwersytet w Yale, należał do tej samej co on korporacji studenckiej, otrzymał „Psi U” i przejął kiedyś fabrykę, a Johnny wbił sobie w głowę, że musi koniecznie pójść na uniwersytet w Kolumbii i zostać dziennikarzem. Rozumiało się samo przez się, że zamierzał pisać tylko do

prasy lewicowej i miał zamiar oddać fabrykę robotnikom przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Jeśli chcesz studiować - perswadował mu ojciec - to z góry daję ci pozwolenie, na jakie chcesz studia i gdziekolwiek zechcesz. Ale dopóty, dopókiłożę na twoje utrzymanie i naukę, mam prawo żądać od ciebie posłuszeństwa. Co ty na to, Marion?

- Sama nie wiem. Nie widzę żadnej różnicy pomiędzy jednym uniwersytetem a drugim. A „Psi U” wydaje mi się czymś strasznym, zupełnie jak znakowanie bydła. Zresztą nigdy nie uważałam za słuszne nakazywanie czegokolwiek. Jeśli nie potrafię przekonać, kapituluję.

- Och, ty... towarzyszeko! - zażartował John. - Co ja biedny mam począć w domu pełnym czerwonych?

Wyciągnął rękę charakterystycznym ruchem i z uśmiechem czekał, bym w jego otwartą dłoń włożyła swoją. Lubiłam jego rękę: ciepła, sucha i duża, miała w sobie coś opiekuńczego. Była dla mnie takim symbolem własnego ogniska jak nic dotychczas w życiu.

- Nie masz potrzeby mnie kokietować - powiedziałam radośnie i na chwilę oboje zapomnieliśmy, że mamy synów.

Nazajutrz rano, gdy jak zwykle układałam kwiaty, do hallu wszedł Johnny. Wziął kilka pachnących groszków, pobawił się nimi przez chwilę i odłożył z powrotem na miejsce.

- Czy ci to nie przeszkadza, że się przyglądam?

- Ależ przeciwnie - odparłam. - Bardzo mi to pochlebia.

- A więc tak się to robi - powiedział. - Nieraz zadawałem sobie pytanie, jak ty się do tego bierzesz. Dokąd pójdzie teraz ta waza?

- Na stół w hallu - powiedziałam, zdziwiona jego niezwykłą uprzejmością.

Odniósł ją, a ja zabrałam się do układania tulipanów. Wydawało mi się, że kilka gałązek żółtego jaśminu powinno złagodzić ich sztywność. Johnny wrócił i nadal przyglądał się mojej robocie.

- Wyglądają zupełnie jak małe pensjonarki, którym guwernantka powtarza w kółko: panienki, proszę się trzymać prosto! - rzekłam.

- Ale ty się znasz na kwiatach! Nie widziałem jeszcze nikogo, kto by z takim talentem potrafił je dobierać.

- Widzisz, to jest dotknięcie zawodowej ręki. Pracowałam kiedyś w kwiaciarni, żeby zarobić na chleb.

- Marcin mi powiedział, że poznałaś mego ojca w Moskwie. Czy to prawda? - zapytał nagle.

- Tak. Ale dlaczego pytasz?

- Jak tam jest?

- Twój ojciec śmiał się, że mnie Moskwa urzekła. Cóż? Widziałam wszystko bardzo pobieżnie. Byłam ciekawa i chciałam sobie to wszystko obejrzeć z bliska, ale niestety zachorowałam.

- Jak ja bym chciał tam pojechać... Czy ci to nie przeszkadza, że jestem komunistą? Powiedziałaś wczoraj coś takiego, co wydało mi się jedynym przyzwoitym przekonaniem wygłoszonym kiedykolwiek w naszym domu - rzekł serdecznie.

- A co ja takiego powiedziałam? - zapytałam zdumiona.

- No o tej produkcji dla zaspokojenia potrzeb, a nie dla zysku.

T począł wygłaszać wielką tyradę, a ja dalej układałam swoje kwiaty. To choroba, która widocznie przedostała się przez Atlantyk, rozmyślałam. Ale mów dalej, Johnny. Wyrzuc to z siebie, będzie ci lżej...

- Dziękuję ci bardzo, że zechciałaś mnie wysłuchać - rzekł w końcu. - Czy nie będzie cię to razić, gdy będę mówił do ciebie po imieniu, Marion?

Zaczerwienił się, swoim zwyczajem kopnięciem otworzył drzwi i wyszedł. Biedna mała kijanka!

Mam wrażenie, że po śmierci matki musiał być bardzo osamotniony, mimo wszystkich swoich komunistycznych przyjaźni. Może dobrowolnie zamknął się w sobie. Natomiast przyjaźń Marcina i podziw, z jakim ten odnosił się do niego, przyjął bez oporu.

Marcin miał teraz tylko jeden cel i jedno marzenie: możliwie jak najprędzej i w każdym calu stać się stuprocentowym Amerykaninem. Chciał zapomnieć o Niemczech i stać się obywatelem tego nowego kraju, który był dla niego symbolem raj. Na naszych oczach dokonywała się ta dziwna, błyskawiczna przemiana, i już nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę mogłam spostrzec, jak bardzo zmieniał się mój najstarszy syn.

Z biegiem lat Marcin stawał się coraz bardziej synem Johna, gdy tymczasem Johnny wykazywał coraz mniej podobieństwa do własnego ojca. Poszedł na uniwersytet w Kolumbii na skrócone kursy, które zaliczył po łebkach w dwa lata, i wsiąkł w grupę swych lewicowych przyjaciół. Ukończywszy dwadzieścia jeden lat objął spadek po matce, założył czasopismo „Życie i Praca”, które zakończyło swój żywot po sześciu miesiącach, pozostawiając pustki w kieszeni Johnny'ego. Odwiedzałam go czasem w redakcji, żyliśmy bowiem w przyjaźni. Nie brałam mu za złe, gdy zanudzał mnie swymi wywodami i artykułami, on zaś wybacział mi, że jestem „wstrętną indywidualistką”.

- Teraz, kiedy nie ma już ani centa, wróci pewnie pod rodzicielski dach - powiedział do mnie John po zamknięciu pisma.

Ale Johnny nie wrócił. Ucieszyło mnie, że nie poddał się, mimo poniesionej porażki, i mam wrażenie, że Johna ucieszyło to również.

- Nie jest szkodliwy, ale pióro ma cięte - powiedział mój małżonek, gdy w którejś z gazet zaczęto drukować cykl artykułów o warunkach pracy górników w Meksyku, podpisanych: John Sprague.

Tego lata pojechaliśmy do Meksyku, oczywiście w sprawie Dinky. Spotkaliśmy się tam z Johnnym i razem zjedliśmy obiad. Zauważyłam, że John był zadowolony z syna. Johnny przestał nosić okulary i przestał pozować. Wyglądał dobrze i zdrowo i orientował się w sprawach, o których pisał.

Ostatecznie na uniwersytet w Yale poszedł Marcin i on został „Psi U”, jak John w swoim czasie. Na nieszczęście, nie miał wcale zdolności. Biedny mój Marcin był przeciętnym typem, który nigdy nie byłby w stanie pojąć, jaka jest budowa tak skomplikowanego tworu jak Dinky. Wiadomo było, że nie nadaje się na przyszłego szefa firmy Sprague. Czuło się natomiast, że będzie dobrym mężem i porządnym obywatelem, uczciwym człowiekiem interesu, i że wszyscy będą go lubić, a nikt nigdy nie będzie miał mu czego zazdrościć.

Marcin nie zmartwił mnie nigdy w życiu, Michał natomiast, od chwili narodzin, był powodem moich ustawicznych kłopotów. Mimo to w ciągu tych wszystkich lat, spędzonych w Elmridge, najlepszym moim przyjacielem było właśnie to dziwne dziecko. Oboje, ja i Michał, widzieliśmy wszystko pod tym samym kątem, te same rzeczy śmieszyły nas i te same smuciły. Z Marcinem mogłam się podzielić każdą troską, z Michałem natomiast dzieliłam cudowną przygodę, którą nazywamy życiem.

Godzinami przesiadywał ze mną w mojej pracowni nad garażem, obserwując i krytykując moją pracę, którą wszyscy w Elmridge uważali za kaprys dla zabicia czasu. Oboje z Michałem, starym zwyczajem europejskim, robiliśmy długie piesze przechadzki. Ludzie patrzyli na nas jak na wariatów, ofiarowując się podwieźć nas autem, gdyż nikt nie był w stanie pojąć, że chodzimy pieszo dla samej przyjemności wędrowania. Mimo wszystko zdawało mi się, że Michał przez cały czas na coś czeka. Wszystkie przyjemności nowego życia, lekcje konnej jazdy, prowadzenie samochodu czy pływanie w prywatnym basenie, przyjmował z rezerwą i lekko znudzoną miną. W przeciwieństwie do Marcina, który zadawał sobie wiele trudu, by stać się Amerykaninem, Michał zamerykanizował się bez żadnego wysiłku. Jego ojciec był przecież aktorem, myślałam patrząc na to. Chłopak pochodzi z rasy kameleonów, zmieniających dowolnie swą barwę ochronną.

Dorastając Michał stawał się coraz ładniejszy i choć jego usposobienie nie było najłatwiejsze, nie można się było nudzić w jego towarzystwie. Przechowywał w pamięci mnóstwo wspomnień i w naszych rozmowach raz po raz wracał do dawnych czasów.

- Pamiętasz Amelię? - pytał. - A pamiętasz, jak u niej pachniało w obórce? I jakie dawała świetne mleko! Porównaj z nim to zachwalane tutejsze mleko - jest jakieś sztuczne, jakby robione w fabryce. Takie same są tutejsze dziewczęta. Takie samo jest tutaj wszystko. Błagam cię, Mony, przyrzeknij mi, że gdy będę się miał zakochać po raz pierwszy, wyślesz mnie do Niemiec. Nie chcę, żeby moja pierwsza miłość była antyseptyczna. A tutaj mam stale to uczucie: wszystko jest doprowadzone do perfekcji, pozbawione treści i antyseptyczne. Chciałbym wrócić do Niemiec...

Codziennie powtarzał tę samą śpiewkę: „Chcę wracać do Niemiec”. Któregoś dnia, gdy miał temperaturę i wyraźnie nie czuł się dobrze, zapytałam go:

- Micki, czy ty czujesz nostalgię za krajem? Spojrzał na mnie przez swe długie rzęsy i odparł:

- Czy nie uważasz, że o tym nie powinno się mówić?

Niedługo potem wybuchła awantura, dowiedziałam się bowiem, że Michał konspirował z pokojówką, Hildą. Doniósł mi o tym jej brat, Eryk, będący u nas ogrodnikiem.

- Mrs Sprague - powiedział, zajęty pozornie podlewaniem rabat - może pani pomyśli, że wtrącam się w nie swoje sprawy, ale nie wiem, czy to dobrze, że Michał chodzi na zebrania Bundu. Przypuszczam, że pan Sprague nie byłby zadowolony, gdyby się o tym dowiedział.

Stałam jak wryta, z różą w ręce.

- A czy on tam chodzi?

- Tak, z moją siostrą. Nie mogę powiedzieć, Hilda to porządna dziewczyna, ale robi głupstwo, zabierając tam z sobą panicza. Nic dobrego z tego wyjść nie może. Gdyby był moim synem, to bym mu porządnie złoł skórę, żeby się nauczył dziękować Bogu za to, że mieszka w takim kraju! To wstyd po prostu małpować tamtych zjadaczy zieleniny!

Oczywiście rozmówiłam się zaraz z Michałem. Była to niemiła rozmowa. Stał w teatralnej pozie przed swoim sanktuarium, gdzie na tle szabli, wojskowego pasa i odznaczeń, wisiała w obramowaniu bluszczu fotografia kapitana Tillmanna.

- Żyjemy podobno w wolnym kraju - rzekł zuchwale. - Czy może jednak wszelka wolność znika tam, gdzie chodzi o odmienne przekonania? Zresztą jestem zadowolony, że nareszcie dowiesz się prawdy. Nie jestem emigrantem, jestem Niemcem i czuję się dumny z tego powodu. Wcześniej czy później wrócę do Niemiec i nie mam zamiaru tracić kontaktu z



moją ojczyzną. A te twoje Stany Zjednoczone, z ich mrożonymi napojami i dziesięciocentowymi biletami do kina, możesz sobie zatrzymać i zrobić z nimi, co ci się żywnie podoba!

- Michale! - krzyknęłam, wytrącona z równowagi. - Więc ty tak nie lubisz Ameryki?

- A za cóż miałbym ją lubić? Przecież Amerykanie zabili mego ojca, prawda? A wtedy, gdy byliśmy wykrwawieni, wygłodzeni, w łachmanach, po czterech latach wojny, oni zjawili się jak na mecz piłki nożnej: silni, wypasieni, i kopali nas, uważając to za świetny sport. Ich czarne wojska okupowały nasz kraj, przez nich nasze dzieci marły z głodu. Pamiętam dobrze, co mówił Pulke, Hellmuth i Andrzej! Nie zapomniałem Czarnej Hańby! Ty uważałaś, że to zabawna nazwa, ale ja nie! Ja niczego nie zapomniałem! I powiedz, za co mam lubić Amerykanów?

Zdawało mi się, że lada chwila wybuchnie płaczem. Rozpłakał się chyba nawet, bo odwrócił się nagle i zamknął za sobą drzwi swego pokoju.

Słyszałam później, jak wbijał gwóźdź w ścianę, a nazajutrz rano zobaczyłam, że nad swoim łóżkiem powiesił, wyciętą z jakiegoś czasopisma, fotografię Hitlera, wychylającego się z limuzyny i z wymuszonym uśmiechem przyjmującego wiązaną kwiatów z rąk małej dziewczynki o jasnych warkoczyczkach. Pomiedzy oficerami SS otaczającymi samochód rozpoznałam zamazaną podobiznę Hellmutha Klappholtza. Elegancko wyglądał w mundurze i patrzył nie na swego wodza, ale prosto w obiektyw.

Usiłowałam się roześmiać, zdenerwowało mnie to jednak bardzo. A więc to tak: dwóch młodych ludzi w naszym domu interesowało się artykułami w gazetach. To jednak poważniejsza sprawa niż mi się zdawało, pomyślałam. Trzeba będzie pomówić o tym z Johnem.

\* \* \*

Ileż to razy zbudziwszy się w nocy widziałam, że John pali papierosa. Patrzyłam, jak papieros żarzy się w ciemności, i śledząc maleńkie światełko odgadywałam ruch ręki Johna. Gdy nie mógł spać, starał się nie poruszać, ani nie westchnąć głośniej, ani nie szeleścić poduszką. Zasłony były szczelnie zasunięte i nie mogłam widzieć nocy, ale słyszałam jej odgłosy. Czasem wiatr świstał za węglem domu, czasem deszcz szemrał cicho po łące, czasem sowa skarżyła się żałośnie. Zwykle koło trzeciej John gasił papierosa w popielniczce na nocnym stoliku, a ja, czekając, że teraz wreszcie zaśnie, starałam się oddychać tak równo, jakbym spała głęboko. Rzeczywiście, czasem słyszałam, jak pomrukiwał niby małe zwierzątko, i wiedziałam, że wtedy zasypia. Kiedy indziej leżał dłuższą chwilę bez ruchu, po czym znowu zapalał papierosa i wówczas było mi go bardzo żal.

- Nie możesz spać, kochanie?

- Och, nie wiedziałem, że nie śpisz. Czy to ja cię zbudziłem?

- Nie, nic podobnego. Daj i mnie papierosa.

- Wiesz, mój ojciec twierdził, że na starość ludzie potrzebują mniej snu. Nigdy nie chciałem temu wierzyć.

- Daleko ci jeszcze do starości, Johnie.

- Czy zrobiłabyś coś dla mnie?

- Chciałabym, żebyś zasnął. Czy mam liczyć do stu?

- Może dla odmiany zacząć liczyć moje straty?

- Ach, o tym mówisz. Widzisz, w nocy, gdy się o czymś rozmyśla, wszystko się wyolbrzymia. A gdy się zacznie mówić, to zaraz ta rzecz traci na ważności. No więc, co chciałeś mi powiedzieć?

- E, nic ważnego! Zacznij liczyć do stu, ja też będę liczył.

Niełatwo było skłonić go do mówienia. Był wychowany w tradycyjnym przekonaniu, że mężczyzna powinien wszelkie kłopoty finansowe ukrywać przed swoją małą żoneczką. Czasem udało mi się wydobyć od niego jakąś skąpą informację. Najczęściej przyczyną kłopotów była Dinky, czasem Johnny. Ale jeśli chodzi o sprawy pieniężne, nigdy nie mówił słowa na ten temat.

- Spróbujmy zasnąć. Daj mi rękę, dobrze?

Jego ręka przebywała Wielki Kanion, jak nazywaliśmy przestrzeń między naszymi łózkami, ujmowała moją i po chwili zasypialiśmy. Czasem jednak ja zwierzałam mu się w ciemnościach z gnębiących mnie wątpliwości.

- Michał chce koniecznie jechać do Heidelbergu studiować medycynę. Jestem po prostu chora na samą myśl o tym. Jakby tutaj nie było uniwersytetów!

- Jeśli nabił sobie tym głowę, to pozwól mu, niech jedzie.

- Ale ta myśl jest dla mnie po prostu wstrętna! Nie chcę oddać im mego dziecka, by zrobili z niego bezduszną maszynę!

- A czy sama nie mówiłaś, że jeśli nie potrafisz przekonać swoich chłopców, to kapitulujesz? Dopóki sam tam nie pojedzie, na nic się nie zdadzą twoje perswazje. Chłopak jest bardzo inteligentny - łatwo zorientuje się w sytuacji. Sam nie zdaje sobie sprawy z tego, jak dalece się zamerykanizował. Nie myśl nawet, że uda im się z niego zrobić hitlerowca!

- Nie jestem walnym zebraniem akcjonariuszy i nie musisz przedstawiać mi faktów w bardziej różowym świetle niż są w rzeczywistości.

- Mówię tylko to, co myślę, dziewczynko. Najlepszym sposobem na niego będzie wysłać go tam. Założę się z tobą o co chcesz, że wróci do domu przed końcem drugiego semestru. Ale teraz śpijmy już. Daj mi rękę, dobrze?

Minął rok i nadeszła inna noc. Na dworze padał śnieg, a my zapaliliśmy ogień na kominku, i gdy zbudziłam się o wpół do trzeciej nad ranem, w popiele żarzyły się jeszcze czerwone iskry.

- Marion... śpisz?
- Nie, Johnie. Co się stało? Masz taki zmieniony głos...
- Chciałbym ci coś powiedzieć. Nie wiem, doprawdy, jak to zrobić... No, trudno. Rezygnuję z fabryki.
- Rezygnujesz z fabryki? Och, Johnie...
- Tak. Jutro podpisuję umowę. Nie ma już firmy Sprague. Jestem już tylko małą filią Ingersoila. Co ty na to?
- Nic nie rozumiem. To takie nieoczekiwane...
- Nieoczekiwane? Mój ty Boże! - powiedział tylko i wtedy zrozumiałam wszystkie jego przeżycia w ostatnich miesiącach.
- Ależ Johnie, jeśli ci to ułatwi sytuację...
- Oczywiście. Ogromnie. Pracę będę miał lekką. Oni są zresztą bardzo uprzejmi i mają mnie mianować wiceprezesem czegoś tam. To znaczy, jednym z wiceprezesów...

Wyciągnął do mnie rękę. Ujęłam ją w swoją i udawaliśmy oboje, że zasypiamy.

I jeszcze była jedna taka noc, na wiosnę; okna były otwarte, a w pokoju pachniało jaśminem kwitnącym u stóp tarasu.

- Marion... Muszę ci zadać jedno pytanie.
- Od zapachu jaśminu rozboleła cię głowa, prawda?
- Słuchaj, dziewczynko... Czy... czy byłabyś bardzo nieszczęśliwa, gdybyśmy musieli wyrzec się Elmridge?
- Wyrzec się Elmridge?
- Tak. Opuścić Elmridge. I wynająć sobie jakiś domek czy mieszkanie, co byś chciała... i przeprowadzić się tam, może z dwojgiem służby?

- Uważam, że to świetny pomysł - powiedziałam najpewniejszym głosem, na jaki mogłam się zdobyć. - Chłopcy i tak wkrótce rozjadą się po świecie, a ten dom jest i tak za wielki.

Obawiałam się tej samotności w wielkim domu. Jak się jest bogatym, to musi się tylko niepotrzebnie dźwigać tyle bagażu.

- Jesteś taka dzielna, moja dziewczynko! Bałem się, czy nie zrobisz mi sceny. Żal mi tylko, że z mojej winy wpadłaś w to wszystko. Ładnego sobie męża wybrałaś, Marion, nie ma co mówić! Jestem niedołągą, po prostu niedołągą, to nie ulega wątpliwości... Daj mi rękę.

To dziwne, że nigdy nie chce mi się wierzyć, że John umarł naprawdę. Gdy o nim myślę, wydaje mi się zawsze, że żyje i jest w pobliżu, tak dalece, że nieraz zdarza mi się postanawiać w duchu: „Muszę to powiedzieć Johnowi, uśmieje się”, albo: „Trzeba będzie poradzić się Johna”. Kiedy zakochałam się w Krzysztofie, pierwszą moją myślą było: „To jest mężczyzna, który podobałby się Johnowi”.

### ROZDZIAŁ III

Przewodnik wepchnął do głównej izby schroniska na Arli dwóch turystów, których wziął na własną odpowiedzialność. Był to człowiek wyglądający jak kawał drewna obciążonego garbowaną skórą. Na szyi miał małe wole.

- Gruss Gott - rzekł, zrzucając swój plecak i plecak niższego z turystów, który zupełnie opadł z sił i ciężko osunął się na stojącą w kącie ławę. - Dwóch na dzisiejszą noc - powiedział do stróża schroniska. - Ja wracam do Alm, a oni niech sobie jutro rano jadą kolejką zębata.

W jego głosie było tyle pogardy, że Krzysztof odłożył czytany właśnie list i rzucił im dodające otuchy spojrzenie. Jeden z turystów był wysoki i tęgi, drugi, młodszy i niższy, który nie miał już sił do przydźwigania własnego plecaka, był zupełnie zielony na twarzy.

- Wspinaczka jest trudną rzeczą, jeśli się nie ma wprawy - odezwał się Krzysztof, chcąc ich nieco podnieść na duchu. Mówił powoli i z namysłem; szwajcarska niemczyzna, zabawna sama przez się, w ustach Krzysztofa brzmiała jeszcze komiczniej.

- Wcale nie trudna - hałaśliwie odparł grubas. - Przecież to tutaj ani się umywa do Zugspitze, ani nawet do tak łatwego szczytu jak Grossglockner. Gdybyśmy tylko wyszli z samego rana, to byłoby głupstwo. Ale oczywiście po południu lód topnieje, a słońce świeci prosto w twarz. Był pan kiedyś na Zugspitze?

Krzysztof nie odpowiedział, lecz z powrotem zabrał się do czytania swego listu. W schronisku nigdy nie brakowało tego rodzaju samochwałów. Młodszy z turystów, ten z zieloną twarzą, odezwał się teraz drżącym głosem:

- Najgorsza była ta gardziel. Kiedy obsunęła się bryła i zacząłem spadać, spadać, Boże drogi.' Coraz niżej i niżej...

- Trzymałem go na linie. Zjechał na dół zaledwie pół metra - powiedział przewodnik do stróża; miał zwyczaj nie zwracać się nigdy wprost do swoich klientów. - Pościerał sobie tylko trochę ręce i podarł spodnie.

- Mogłem zginąć. Mogłem roztrzaskać sobie czaszkę. Bryła nie wytrzymała i zacząłem spadać. Nigdy nie zapomnę tego uczucia! Nigdy w życiu...

- No już, już - przerwał mu grubas. - Moim zdaniem, przewodnik powinien być wbijać haki. Gdy się wspinałem na Grossglockner...

- Jeśli jest takim bohaterem, to czemu nie idzie na wojnę? - spytał, zupełnie zresztą retorycznie, przewodnik stróża. Obaj turyści mówili czystą niemczyzną.

- Chce mi się pić. Strasznie chce mi się pić - jęknął młodszy turysta. - Czy mógłbym dostać piwa?

- Lepiej niech pan odczeka trochę - wtrącił Krzysztof, nie odrywając oczu od listu. - Nie chce pan chyba dostać zapalenia płuc.

- Proszę o dwa piwa - zamówił grubas. - I jedno dla przewodnika. Razem trzy.

- Dla mnie proszę mleko - rzekł przewodnik i biorąc ostatecznie rozbrat z klientami, przysiadł się do Krzysztofa. - Kiedy pan tu zaszedł? - zapytał.

- O czwartej bez pięciu minut.

- Dobrze pan szedł.

- Nieźle - odparł Krzysztof. - Lubię widok stąd o tej porze.

Rozciągała się przed nimi olbrzymia panorama Alp, z Fischerhornerem na północy i czubkiem Aletschhornu, strzelającym ścianą wiecznych lodów i śniegów ponad inne, niezliczone wierzchołki gór, gdzieś aż w błękit popołudniowego nieba.

- Mówił mi stary Hammelin, że pan już wyjeżdża - odezwał się znów przewodnik.

- Tak. Czas wracać do ojczyzny.

Przewodnik splunął w róg izby. Ujął oburącz garnek z mlekiem, który stróż przed nim postawił, i zaczął pić. Za każdym łykiem wolowata grdyka poruszała się z góry na dół. Wierzchem dłoni otarł wąsy i odstawiając naczynie, rzekł:

- Wszystkim nam żal, że pan wyjeżdża. Ale, jak pan mówi, czas, aby każdy mężczyzna okazał swoje przywiązanie do ojczyzny. - Po czym dodał głośno: - I tak tu będzie zawsze dość takich zakazanych mord, co by lepiej zrobiły, nie ruszając się z domu.

Poza nimi nie było nikogo w izbie. Kilku eleganckich turystów zjechało kolejką zębatą do Arlingen, a garstka pozostałych, którzy jutro rano mieli zamiar przedostać się przez przełęcz, udała się już na spoczynek. Po jednej stronie izby siedzieli więc tylko przewodnik z Krzysztofem, a po drugiej dwóch niemieckich turystów, między nimi zaś rozciągała się cała wrogość drugiej wojny światowej.

- Chodź, wyjdziemy popatrzeć przez teleskop - rzekł grubas do zielonego. - Objaśnię ci widok.

Stróż obrzucił ich przeciągłym spojrzeniem. Krzysztof wydobył fajkę i nabił ją tytoniem.

- Chcecie spróbować? - rzekł, podsuwając kapciuch przewodnikowi.

- Nie odmówię - odparł tenże, sięgając po tytoń. - To pan ma zamiar jutro przejść przełęcz? - spytał między dwoma kłębami dymu.

- Tak. Nie mogę sobie odmówić tej ostatniej przyjemności, zanim wyjadę ze Szwajcarii.

- Dobra myśl. Nigdy się nie wie, kiedy się znów wróci - odrzekł sentencjonalnie przewodnik. - A czy pani też idzie z panem?



- Kto taki?

- No, pani, ta mała pani z domku koło młyna. Amerykanka.

- Nie.

- To dobrze. Już nie jest taka młoda, a to ciężka przeprawa.

- Ona jest wytrzymalsza niż wam się zdaje - powiedział Krzysztof.

- Wyobrażam sobie! Wyszedłem w kwadrans po niej, a musiałem dobrze popędzać moich gości, bo stary Hammelin kazał mi dawać na nią baczenie. A i tak już jej nie dogoniłem. Zachodzę w głowę, jak sobie potrafiła dać radę, przechodząc sama przez gardziel.

- Ale kto?

- No ona! Ta amerykańska pani, co mieszka w domku koło młyna.

- Jak to? Więc powiadacie, że ona szła tutaj, do schroniska?

- No tak. Wyszła o drugiej. Jeszcze ją widziałem z wierzchołka Keesu, jak szła przez lodowiec, ale nie mogłem jej dogonić.

- Ależ ona nie przyszła tutaj wcale!

- Nie przyszła?

- Nie, nie przyszła - odparł Krzysztof.

Kąciki ust opadły mu nagle.

Przewodnik wyjrzał gwałtownie przez okno. Sine cienie poczęły się kłaść w doliny i wąwozy, ale grzbiety górskie rysowały się jeszcze jasno i wyraźnie, oblane promieniami słońca.

- Jeśli się pospieszymy, to zdążymy tam jeszcze przed zachodem - rzekł. - Niech pan weźmie swoją linę i klamry. W razie, gdybyśmy jej nie znaleźli przed zmrokiem, niech stróż zatelefonuje do Arlingen. Ale to świńska robota, takie

przeszukiwanie lodowca! Powinno wyjść prawo zabraniające samotnym babom łożenia sobie na spaceru po górach! Każdego sezonu ginie potem jakaś!

Chwyciwszy swoją siekierkę i linę, wyszedł. Krzysztof, gryząc ustnik fajki, stał jeszcze przez chwilę jak ogłuszony. Potem, wzięwszy z kąta własny ekwipunek, podążył bez słowa za przewodnikiem.

\* \* \*

Dwaj turyści patrzyli przez teleskop, starszy robił młodszemu prawdziwy wykład. Podobni byli do kogoś, kogo Marion kiedyś знаła, ale nie mogła sobie przypomnieć. Męczyło ją to bardzo. Ależ ten młodszy, z zieloną twarzą... tak, to był przecież hrabia Andrzej von Elmholtz! Myślałam, że popełnił samobójstwo, przemknęło jej przez myśl. Jakim cudem znalazł się teraz w Szwajcarii? Patrzyła, jak przewodnik i Krzysztof mijają platformę kolejki zębatej. Wiedziałam, że pójda mnie szukać, pomyślała Marion widząc, jak znikają wśród skał.

Było jej niewypowiedzianie błogo. Musiał już mieć to wole, gdy go stracono, myślała dalej. Ale to zabawne, że nie poznałam go, spotykając w Staufen. Wiedziałam, dobrze wiedziałam, że Maks Wilde nie pozwoli mi zamienić się w bryłę mrożonego mięsa, majaczyła jej radosna myśl. Z jaką ulgą dowiedziała się, że Maks Wilde jest teraz przewodnikiem w Alpach i spieszy jej na pomoc!

Obudziła się nagle, ponieważ głowa opadła jej na piersi. Spała chyba nie dłużej niż kilka minut. Promień słońca nie zmniejszył się wcale. Marion usiłowała zdać sobie sprawę, co było snem, a co jawą. Uczucie lekkości nie opuszczało jej. Muszą być w drodze, myślała, bo inaczej po co by mi się przyśnili?

Noga zaczęła ją boleć w kostce. Zupełnie straciła poczucie czasu. To by dopiero była zabawa, gdyby się okazało, że nie

więcej niż pięć minut spędziła w tej dziurze, rozmyślała. A może czas i przestrzeń nie istnieją? Może są tylko naszym wymysłem, używanym jak proteza, celem podparcia naszego biednego, ograniczonego ludzkiego rozumu? Może nie ma też życia ani śmierci? Zapalmy teraz papierosa i spróbujmy nie zasypiać.

\* \* \*

Nigdy nie zapomnę tej chwili, w której po raz pierwszy nieodwołalnie uzyskałam pewność, że Michał jest synem Manfreda Halbana. Stało się to wówczas, gdy pociąg wjechał na dworzec w Heidelbergu i przesunął się wzdłuż niego, by wreszcie się zatrzymać.

Michał stał na peronie z uśmiechem oczekiwania na opalonej twarzy i oczami przebiegał wagony, ciekawy, w którym się ukazuje. Nie widziałam go od roku z górą i wydało mi się, że nigdy dotychczas nie obejrzałam go tak dobrze ani tak dokładnie jak w tej krótkiej chwili. Był z gołą głową, a jego włosy wydały mi się tak jasne, że niemal płowe. Wyrósł i wyglądał na więcej niż na swoje dziewiętnaście lat. Choć na peronie było zaledwie widno, osłaniał sobie oczy ręką. Nie był wyraźnie podobny do Halbana, o ile go pamiętałam, ale w napiętym wyrazie twarzy, w nieznacznym pochyłemu naprzód przy chodzeniu, w nieśmiałości ruchów i poruszeniach głowy miał coś takiego, że od razu stanowiło to dla mnie odpowiedź na pytanie, które gnębiło mnie od tylu lat.

- Hallo, Micki... - dotknęłam jego rękawa.

Stuknął obcasami i ująwszy mnie za obie ręce, począł je niezręcznie ścisnąć. W jednej ręce trzymałam parasolkę, w drugiej neseser.

- Hallo, jesteś! - zawołał. - No, nareszcie jesteś, Mony. Nareszcie dotrzymałaś przyrzeczenia i przyjechałaś! Jak się miewasz?

Radość zapierała nam obojgu dech w piersiach, ale staraliśmy się nie okazywać wzruszenia.

- A ty jak się czujesz, Micki? Zdaje mi się, że zeszczipłaś trochę.

- Czy widziałaś kiedyś taką matkę, której by się nie zdawało, że jej dzidzius nie jest dość pulchny? - roześmiał się, przyciskając moje ramię, gdy zmierzaliśmy ku wyjściu.

Za nami dwaj bagażowi nieśli moje walizki.

- Jak będziemy mówić? Po niemiecku czy po angielsku? - zapytałam.

Bałam się popełnić nieostrożność, a każdy przechodzień wydawał mi się agentem gestapo.

- Trzymajmy się raczej angielskiego - odparł Michał. - Przypnij sobie amerykańską chorągiewkę, bo taki wygląd, jak twój, wybaczą tutaj tylko cudzoziemce.

- Może mam zacząć nosić czerwoną flanelową bieliznę, żeby nie razić? Przecież przed wyjazdem z Paryża zmyłam cały makijaż i lakier z paznokci.

- Na pewno nie zobaczysz tutaj wiele futer, a twoje buciki na wysokich obcasach są po prostu w złym tonie - żartował, przekomarzając się ze mną. - Zresztą i tak wyglądasz za elegancko i za młodo jak na moją matkę, i na pewno nie spodobasz się Annie Lizie.

- Kto to jest Anna Liza?

- Córka mojej gospodyni. Zaraz ją poznasz.

Cha, cha! A więc stare heidelberskie tradycje przetrwały wszelkie zmiany, pomyślałam.

- Czy ona jest ładna?

- Bardzo ładna. Naprawdę, bardzo ładna. Zobaczysz sama. Chodź, weźmiemy taksówkę - rzekł, wpychając mnie do starego pudła, które stało przed dworcem chyba już dwadzieścia lat temu. gdy po raz ostatni byłam w Heidelbergu,

Ujrzałam, że Michał szpera w swoich drobnych z dziwnie skupionym wyrazem twarzy, którego nie znałam dotychczas.

- Pozwól, że ja zapłacę - powiedziałam, ale on właśnie znalazł monetę, zapłacił bagażowym i polecił szoferowi zawieźć nas do hotelu Neckarhof. Taksówka ruszyła ze zgrzytem.

- Jak się miewa Topper?

- Dziękuję, dobrze. Ale postarzał się i zrobił się drażliwy.

- No, a stary gentleman?

- Zdrow. Nerwowy jak zwykle, ale poza tym ma się zupełnie nieźle. Miałam nadzieję, że wybierze się ze mną do Europy i tu spędzi urlop, ale wiesz, jak to jest. W ostatniej chwili wyniknęła jakaś trudność. Przesyła ci moc serdeczności.

- Nie mogę sobie wyobrazić Johna zdenerwowanego. Zawsze robił na mnie wrażenie opoki.

- To ogólnoamerykańska choroba. Oni za szybko żyją. A poza tym myślę, że niepokoi się o Johnny'ego.

- Czy on wciąż jeszcze jest w Hiszpanii?

- Tak. I mam wrażenie, że był poważnie ranny.

- Gdybym był złośliwy, to bym powiedział, że to z własnej winy. A jak się miewa nasz mały Babbitt? Mam nadzieję, że dobrze?

- Tak, Marcin ma się świetnie. Podejrzewam, że ma zamiar ożenić się zaraz po ukończeniu studiów.

- Dla niego tak będzie najlepiej. Napisał do mnie parę miłych listów, ale ze mnie taki leń, że nie odpisałem mu wcale.

Michał spędził lato w Heidelbergu, aby nadrobić łacinę i grekę. Był młodszy niż większość niemieckich studentów, a wiadomości, które wyniósł z amerykańskiej szkoły, okazały się niewystarczające do studiów w Heidelbergu.

- No, jak ci teraz idzie na uniwersytecie? - spytałam. Wzruszył ramionami z tym samym sceptycyzmem, co Manfred Halban.

- Och, wygrzebię się jakoś powoli - odparł bez zapału.

Począł obu pięściami trzeć sobie oczy jak zaspane dziecko.

- W tej chwili walczę z Maksem i Morycem.

- Z kim?

- No więc Maks to jest pudełko, w którym mieszczą się wszystkie kości kota. Miliony drobnych kości kota, które muszę ułożyć w całość. A Moryc to pies zakonserwowany w słoju z formaliną. Już trzy miesiące go obrabiam, ale przez ten czas nie stał się ani piękniejszy, ani bardziej wonny. - Oślonił oczy ręką i wyjrzał na ulicę. - Zaraz będziemy na miejscu.

- Co się dzieje z twoimi oczami? Są całkiem czerwone.

- To skutki pracy przy mikroskopie. Nie mogę teraz bez ciemnych szkieł znieść blasku słońca - odparł. - Właśnie spadł śnieg i to podobno po raz pierwszy od dwudziestu ośmiu lat tak wcześnie. Już od dwóch tygodni jeździmy na nartach, a przecież to dopiero trzeci grudnia.

Rzeczywiście leżał śnieg, ale było go niewiele. Tworzył małe pryzmy na chodnikach, bynajmniej jednak nie był olśniewającej białości, lecz raczej szaro - brudny jak bielizna do prania. Taksówka stanęła i szofer pomógł nam wynieść rzeczy.

- Ile się należy? - spytał go Michał.

- Dwudziestka - odpowiedział ten, spojrzawszy na licznik. Michał znów zaczął szperać w portfelu, kilka monet spadło na ziemię i szofer je pozbiierał. Nie czekając na dalsze zamieszanie, zapłaciłam sama i portier wniósł mój bagaż do hotelu.

Neckarhof był najlepszym hotelem w mieście i nieraz tu bywałam w dawnych czasach; przyjeżdżałam z Howardem

Watsonem, żeby zjeść obiad i potańczyć, a później z kapitanem Tillmannem, w okresie gdy był on rekonwalescentem w Bergheim. Rozglądałam się dokoła, jakbym pierwszy raz widziała ten hall. Był przyjemny, aczkolwiek nieco przeładowany i zbyt mieszczański.

Od chwili przekroczenia niemieckiej granicy miałam dziwaczne uczucie, że nie poznaję ani rzeczy, ani miejscowości, znanych kiedyś tak dobrze. Ren po Missisipi wydawał mi się niewielkim strumykiem. Tutejsze góry zmały w mych oczach do wysokości wzgórz, a tutejsze miasta leżały za blisko siebie. Ulice były wąskie i kręte, a ludność wydawała mi się bardzo uboga. Jedynie umundurowani mężczyźni odznaczeni się specyficznym szykiem, szczególnie ci, którzy nosili mundury czarnej gwardii. Robili oni ponure, teatralne wrażenie, jakby tylko czekali na znak reżysera, by wkroczyć na scenę pod koniec drugiego aktu jakiegoś krwawego dramatu.

Pokój, który zajęłam, był mile staroświecki; okropna w nim była tylko tapeta w czerwone pomidory. Niemile uderzył mnie również widok portretu Hitlera, wiszący nad stołem; dawniej takie zaszczytne miejsce zajmowała podobizna Bismarcka lub Kaisera. Nie lubiłam ich również.

Okna mego pokoju wychodziły na łączkę pokrytą płatami śniegu. W samym jej środku znajdował się domek dla ptaków; na daszku, na którym stopniał śnieg, leżały okruchy chleba. Ten widok uspokoił mnie trochę: jeżeli Niemcy karmią jeszcze ptaki, to miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Prawda, że tutejsi ludzie są bardzo mili? - rzekł Michał.

- Owszem, zauważyłam to już w pociągu. Rezygnują z własnej indywidualności, byle tylko się przypodobać. Poza tym czynią rozpaczliwe wysiłki, by dowieść, że są zachwyceni swoim losem i że ani im w głowie siekanie żydowskich dzieci na drobne kawałki!

- Jak możesz wierzyć w podobne brednie! To są przecież główne metody propagandy antyhitlerowskiej.

- A ty wciąż jeszcze dobrze się tu czujesz?

- Dlaczego nie mam się dobrze czuć? Lubię Heidelberg, to wspaniałe miasto. W przyszłym semestrze mam zamiar zacząć uczyć na wykłady histologii Groonemanna; to jeden z najświetniejszych profesorów na świecie...

- Słuchaj, Micki, przyjechałam tutaj, bo nie mogę się jakoś zorientować, co się dzieje. Twoje ostatnie listy były jakieś dziwne. Oboje z Johnem byliśmy zaniepokojeni. Sądziłam, że jest coś, o czym boisz się pisać, cenzura czy coś innego. Czy mam rację? Może masz jakieś trudności? Lub może coś ci zagraża?

Michał odruchowo spojrzął na drzwi.

- Zagraża? Ależ skąd! Jeżeli moje listy wydawały się wam dziwaczne, to tylko dlatego że ja nie umiem pisać. Z reguły zasypiam nad nimi.

- Tak się niepokoiłam...

Było to bardzo oględne wyrażenie na określenie tych tygodni i miesięcy spędzonych w straszliwej niepewności, tych wszystkich nieokreślonych obaw, powstałych po przeczytaniu jego listów. Michał znów zaczął trzeć oczy pięściami.

- Wyglądasz na zmęczonego - powiedziałam.

- Bo jestem zmęczony. Egzaminacje to nie żarty, a bądź pewna, że tutaj człowiek musi porządnie harować.

- Chodź no, muszę ci się przyjrzeć. Czy aby odżywasz się odpowiednio? A co to jest właściwie z tymi twoimi oczami?

- Nic. Przypuszczam, że to lekkie podrażnienie. Większość nas na bakteriologii cierpi na to samo. Spróbuj tylko ślęczeć godzinami nad mikroskopem, i to w oślepiającym świetle. W przyszłym półroczu będzie już lepiej.



Zamrugnął oczami i przyłożył palce do powiek.

- Nie podoba mi się to - rzekłam. - Czy radziłeś się doktora?

- Ależ naturalnie. Zasięgałem rady doktora Tillmanna; to świetny lekarz, o pani! Przepisał roztwór kwasu bornego.

- Pójdę z tobą do prawdziwego lekarza. Nie podobają mi się twoje zaczerwienione oczy.

- Doskonale, doskonale, pójdę do lekarza. Nie ma potrzeby, żebyś mnie do niego prowadziła za rękę. Jestem już przecież dużym chłopcem.

Nie wiem doprawdy, czego się spodziewałam, przekraczając niemiecką granicę. Było to uczucie podobne do tego, jakie miałam, gdy po raz pierwszy przekraczałam równik. Wiedziałam przecież, że nie istnieje tam żadna czerwona linia jak w moim szkolnym atlasie, a jednak byłam z lekka zawiedziona, że nic nie dzieli nieskończonej przestrzeni wód. Tak samo nie można było odgraniczyć Niemiec od reszty świata, w każdym razie na pierwszy rzut oka. Ludzie byli weseli i ożywieni, i jeśli spodziewałam się, że będą się snuli jak żywe trupy, niby Zombi na Haiti, to myliłam się bardzo. Prawda, że na ulicach przeważnie widywało się wojsko i mundury, ale to samo było na całym kontynencie, a nawet takie tradycyjne wysepki antymilitaryzmu, jak Szwajcaria i Holandia, pełne były żołnierzy. Miarowy krok maszerujących od piątej rano oddziałów był prawdziwą plagą, a kolumny wojskowych ciężarówek, ciągnące ulicami małego, spokojnego miasta, robiły na mnie takie wrażenie, jakbym nagle cofnęła się do czasów wojny. Chorągwie zwisające ze wszystkich okien miały świadczyć, że mieszkają tutaj gorliwi nacjonaści. Zaraz na wstępie uderzyło mnie również, że wszyscy wprost nerwowo zapewniali mnie o tym, jak wspaniale jest w kraju; wyglądało to niemal tak, jakby

spodziewali się, że jakaś niewidzialna władza zauważy i wynagrodzi ich entuzjazm.

Były jednak rzeczy, o których nikt nie wspominał. Zdania urwane w środku i nie dokończone. Jakiś nagły rzut oka na drzwi, nowe, charakterystyczne zjawisko w Niemczech. Ruch ręki, który jako pozdrowienie stał się gestem automatycznym i zupełnie pozbawionym treści.

Po kilku dniach poznałam przyjaciół Michała, którzy sami siebie nazwali „Związkiem Pioruna”. Byli to w większości pensjonariusze pani Streit, młodzi, wykształceni ludzie, niezbyt inteligentni, których brak wrażliwości graniczył po prostu z samochwalstwem, jakby zabito w nich nerwy. Mnie, która przywykłam do dyskusji politycznych prowadzonych bez końca w naszym nowojorskim salonie, wydało się rzeczą szczególną, że ta młodzież mówiła o wszystkim prócz polityki. Wszyscy jednak byli tak zadowoleni z siebie, i tak zgadzali się z tym, co ich otaczało, że każda próba krytyki musiała spalić na panewce. Michał był przez nich wyraźnie traktowany jak cudzoziemiec, pomimo jego jasnoblonde czupryny i zdolności przystosowania się. Był zbyt żywiołowy, zbyt sceptyczny, nawet w swoim zachwycie. A jednak tak samo obcy był w szkole w Great Neck i prawdopodobnie tak samo obcy byłby wszędzie. Koledzy odnosili się do niego zbyt uprzejmie, jakby mieli się przed nim na baczności. Pomiedzy sobą, w głębokim poczuciu koleżeństwa, byli ordynarni, gdyż jest to niemiecki sposób okazywania serdeczności. Michała jednak żaden z nich nigdy by nie nazwał „świntuchem” ani „bykiem” i to dowodziło, że do pewnego stopnia znajdował się poza nawiasem koleżeństwa.

Anna Liza również należała do „Związku Pioruna”. Cera tej dziewczyny miała olśniewającą jasność i świeżość siedemnastolatki, a okrągła głowa ugiwała się pod bogactwem włosów, które natura obdarzyła pięknym złocistoblonde

kolorem. Było to tym cenniejszą zaletą urody, że masa kobiet obnosiła wtedy w Niemczech włosy ciasno zaplecione w warkocze i nieumiejętnie utlenione, by możliwie jak najbardziej upodobnić się do ideału aryjskiej urody. Nieszczęsne niemieckie kobiety! Niełatwo było nagle, na rozkaz, wykazywać swą przynależność do rasy panów, czystej, jasnowłosej rasy! Ale od czegoż były kobietami, i to kobietami nawykłymi do uległości wobec swych władców? Robiły, co mogły, by wyglądać zdrowo i jak najbardziej po aryjsku, toteż przypuszczam, że fryzjerzy zarabiali majątki na rozjaśnianiu włosów.

Anna Liza spędziła wakacje na obozie Arbeitsdienst. Na twarzy miała jeszcze lekkie ślady opalenizny, a jej tęgie ręce aż po łokcie usiane były piegami. Oboje z Michałem zachowywali się jak dwa źrebaki na pastwisku. Przekomarzali się ciągle, mocowali i kopali. Czasami uspokajali się na chwilę, a wówczas patrzyli na siebie ze zdziwieniem. Wpadali zdyszani, pochłaniali mnóstwo ciastek, co chwilę wybuchi śmiechem, szepcząc sobie do ucha jakieś sekrety, mające dla mnie pozostać tajemnicą, i nagle, zerwawszy się, wybiegali jak przyskli, niby dwa młode zwierzaki, niezgrabnie pędzące na zbyt długich nogach. Czasami robiło mi się niewyraźnie pod wpływem badawczego spojrzenia Anny Lizy; byłam za młoda na matkę Michała, a za stara, by być mu towarzyszką. Mimo to byłam jedną i drugą. Wkrótce jednak ciekawość wzięła górę i Anna Liza zaczęła mnie odwiedzać zupełnie niespodziewanie. Zasypywała mnie pytaniami, oglądała moje suknie, buciki i drobiazgi toaletowe.

- Ameryka musi być zabawnym krajem. Kobiety biorą tam ślub w celofanowej sukni, przez którą widać majtki i biustonosz. To przecież wstyd!

- Nonsens, Anno Lizo. Niech pani nie wierzy w podobne bajki.

- Ależ to prawda! Sama widziałam na fotografii w jakimś czasopiśmie. Panna młoda miała na sobie welon i suknię z celofanu, przez którą przeglądała bielizna.

- To musiał być jakiś trick propagandowy. Zapewniam panią.

- Ach, zawsze tak mówicie, jeśli się wam coś nie podoba! Propaganda! Zapewne i nasze nowe autostrady uważacie tylko za propagandę? Tak samo nasze szkoły, stadiony i wszystko inne? Uważam, że po prostu wy, Amerykanie, zazdrościcie nam wszystkiego. Macie teraz mnóstwo kłopotów! Widziałam na ilustracji, jak tysiące ludzi w Ameryce stoi w kolejce po żywność...

Brała niekiedy moje suknie i, przykładając je do siebie, mizdrzyła się przed lustrem, a kiedyś złapałam ją na tym, jak przy pomocy moich szminek pacykowała sobie twarz.

- Jak się pani zdaje? Czy bardziej podobałabym się Michałowi z tą całą mazią na twarzy? - spytała mnie poważnie.

- Nie. Nie sędzę, Anno Lizo. Ma pani tutaj trochę kremu i proszę w tej chwili zetrzeć to wszystko.

- Ale on mi opowiadał, że w Nowym Jorku wszystkie dziewczyny się malują, i że są o wiele ładniejsze od nas!

- Przypuszczam, że żartował sobie. Pani mu się podoba taka, jaka jest.

- Miałam czas gorszy od niego tylko o dwadzieścia trzy sekundy w naszych zawodach slalomowych! - oznajmiła z triumfem. - Michał twierdzi, że w Ameryce dziewczęta nie potrafią jeździć na nartach.

Bardziej lubiłam Barbarę, brzydką, grubą dziewczynę, towarzyszącą wszędzie Annie Lizie. Nudziła mnie „światła” paplanina Anny Lizy; jak mała papuga powtarzała wciąż utarte komunały propagandowe, którymi nasiąkała. Poza tym czterdzieści trzy lata i siedemnaście wiosen nie bardzo

zgadzają się ze sobą. Zrezygnowałam z palenia papierosów w obecności Anny Lizy i kupiłam sobie koszarne buty na płaskich obcasach. Do jakich poświęceń zdolne są matki, by wyrzucić dobre wrażenie na przyjaciółkach swych synów!

Michał wszedł któregoś dnia do mego pokoju i rzucił się na sofę.

- Gdyby był tutaj John, poczęstowałby mnie jakimś wzmacniającym kordialem.

- Zmęczony jesteś?

- To nie, ale jakiś oklapnięty. Moryc źle się sprawował i boję się przepaść z bakteriologii.

Podszedłszy do niego, dawnym, bardzo dawnym ruchem dotknęłam jego skroni. Miał suche, rozpalone czoło.

- Czy nie czujesz lekkiej temperatury? - spytałam.

- Nie, to tylko ty masz takie chłodne ręce. - Ujawszy moją dłoń, przyłożył ją sobie do oczu. - Od razu mi się zrobiło lepiej - powiedział.

Po chwili podeszłam do okna i wyjrzałam na łąkę. Śnieg zniknął prawie zupełnie i trawa miała teraz nieapetyczny wygląd wczorajszego szpinaku. Pomyślałam, że niedługo trzeba będzie wracać do Johna, ale jak tu zostawić Michała samego, w tym niepokojącym stanie zdrowia?

Wielką sensację w rodzinie Streitów wywołało moje zaproszenie do Neckarhofu z okazji siedemnastej rocznicy urodzin Anny Lizy. Był to drogi lokal, uczęszczany zazwyczaj jedynie przez angielskich i amerykańskich studentów oraz zagranicznych turystów. Matka Anny Lizy od razu poczęła się krzątać koło starej sukni z czarnego jedwabiu i swych połamanych paznokci. Miała ona szare włosy, szarą cerę i drobne ręce o bardzo zaniedbanych paznokciach. Wystarczyło na nie spojrzeć, by wyczytać z nich całe dzieje życia tej kobiety: staranne wychowanie i późniejszy stopniowy upadek, znoszony z godnością. Nie mogła sobie pozwolić na służącą i

sama prowadziła gospodarstwo domowe. Swych sublokatorów żywiła możliwie jak najlepiej, sama zaś żyła odgrzewanymi resztkami. Ustawiczne zatroskanie tak dalece stało się jej drugą naturą, że nawet każdą przelotną przyjemność potrafiła zatruć sobie kroplą goryczy. By jej nie urazić, włożyłam na siebie czarną suknię kupioną w Heidelbergu. Czułam się w niej okropnie i raz jeszcze stwierdziłam, że stałam się już na wskroś Amerykanką.

Anna Liza była szalenie podniecona. Zabrałam ją do najwykwintniejszego magazynu w mieście, gdzie jako prezent urodzinowy kupiłam dla niej wieczorową sukienkę. Była to sztywna sukienka z niebieskiego jedwabiu tkanego w motyw z drobnymi różowymi różyczkami, wykończona kołnierzykiem z prawdziwej koronki. Anna Liza wyglądała w niej jak młoda niemiecka wieśniaczka z ludowej piosenki, a równocześnie przypominała nieco nieopierzonego jeszcze łabędzia, ze zdumieniem po raz pierwszy wypływającego na jezioro.

Zarządzający hotelem zarezerwował dla nas długi stół, przybrany kwiatami, i wkroczyliśmy na salę uroczystą niczym do nawy kościelnej. Frau Streit przyprowadziła ze sobą jednego ze swych pensjonariuszy, starszego, łysiego profesora, który nieśmiało zajął miejsce między nami dwiema. Zjawili się też kilku młodych ludzi ze „Związku Pioruna”, ale prawdziwą ozdobą naszego stołu był brat Anny Lizy, przystojny chłopak, noszący mundur podchorążego. Michał, w ciemnych okularach przepisanych mu przez lekarza, bardziej niż kiedykolwiek wyglądał na cudzoziemca.

Dla przełamania pierwszych lodów zamówiłam najpierw sherry, a potem szampana. Anna Liza, która jeszcze nigdy w życiu tego nie piła, zmarszczyła nosek twierdząc, że to szczybie jak ugryzienie komara, ale zanim jej kieliszek został napełniony po raz drugi, zaczęła śmiać się głośno i tracić swą sztuczną sztywność. Łysy profesor szeptał mi tymczasem do

ucha anegdoty na temat Hitlera. Były one stare jak świat i słyszałam je już przed paru laty w Nowym Jorku, mimo to uśmiechałam się wdzięcznie, zważywszy, że wielkim dowodem odwagi było opowiadanie czegoś podobnego tutaj, w publicznym lokalu. Hans Streit, powstawszy ze swego miejsca i dając dowód dobrego ułożenia, stuknął obcasami zapraszając do tańca najpierw swoją matkę, a później mnie, jako gospodynię wieczoru, następnie siostrę, a w końcu grubą Barbarę.

- Dobrze wam idzie! - zawołał do nas Michał, a Hans przycisnął mnie mocniej do siebie.

Gdyśmy się przesuwali w tańcu obok Michała, ujrzałam, że zdjął okulary, i doznałam lekkiego wstrząsu na widok jego zaczerwienionych oczu i wyrazu skupienia na jego twarzy. Nie wyglądał jak młody chłopak tańczący z ładną dziewczyną, lecz jak kapitan pilotujący okręt wojenny przez niebezpieczną strefę.

Na prawo od orkiestry wisiał na ścianie karton, na którym widniał dyskretny, drobny napis: „Jazz wzbroniony”. Spojrzałam nań przelotnie, nie zwróciwszy większej uwagi, gdyż i tak trudno byłoby tańczyć w nowoczesnym tempie pod równy takt nieskomplikowanych melodii, wykonywanych przez orkiestrę. Kilka jednak par, widocznie cudzoziemców, nieśmiało próbowało kroków fokstrota.

- O! Patrz, co oni tańczą? - rzekła Anna Liza do Michała.  
- Czy ty też to umiesz tańczyć?

- Naturalnie. Zresztą ty też. Przypomnij sobie, kiedyś wam to pokazywałem - odparł Michał.

- Przypominam sobie! - wykrzyknęła Barbara. - Już wiem. To było w schronisku, po skończeniu kursu narciarskiego, pamiętasz, Aniu? Chodź, Michale, zatańczymy!

- Tak, tak zatańczcie! - powiedziała Anna Liza. - Chciałabym zobaczyć, jak tańczycie. No, dalej! Nie udawaj świętoszka.

Profesor pogroził palcem chłopcu, gdy ten wstał, by poprowadzić Barbarę na parkiet.

- Jazz wzbroniony - szepnął mi do ucha. - Wszystko wzbronione. Zabawa zakazana, myślenie zakazane, mówienie zakazane...

Michał znów włożył okulary. Ujął dziewczynę pod rękę i oboje zniknęli w tłumie. Uśmiechałam się patrząc za nimi.

- Barbara nie powinna tego robić - powiedziała pani Streit. - Michałowi to nie może zaszkodzić, bo jest Amerykaninem... Ale jeśli zobaczą, że Barbara to tańczy... Mogą być z tego powodu nieprzyjemności. On u nas mieszka... możemy potem ponosić konsekwencje...

- Ależ mam, nie róbże z tego takiej historii! - przerwał jej Hans. Widziałam, że był bardzo zakłopotany. - Co sobie pomyśli pani Sprague? Moja matka - dodał, zwracając się do mnie - zawsze musi sobie znaleźć jakiś powód do zmartwienia. Gdybym nie był taki niezgrabny, chętnie spróbowałbym również. Oni tak świetnie się bawią.

Przytupywał pod stołem, cicho nucąc melodię. Nie zapomnę nigdy, co wówczas grali. Były to Róże Południa Jana Straussa. Nie miałam pojęcia, jak potrafią tańczyć fokstrota pod tę melodię. Hans podniósł się w końcu i uprowadził ze sobą Annę Lizę. Widziałam, jak tańcząc, obserwują ruchy nóg Michała i Barbary. Nagle ujrzałam, jak Michał, nie przerywając tańca, odwraca karton z napisem: „Jazz wzbroniony”.

- Odwrócił go - mruknął profesor. - Miał rację. Przyszliśmy tu po to, żeby się bawić, a nie po to, żeby nas jeszcze bardziej musztrowano.



Dyrygent dał znak jednemu z muzyków, który odłożywszy smyczek odwrócił z powrotem karton z napisem. Róże Południa rozbrzmiewały dalej. Zarządzający dopilnował, by podano nam czarną kawę, a podszedłszy potem do mnie, pochylił się i szepnął swą rąbaną angielszczyzną:

- Może by madame zechciała powiedzieć temu młodemu panu, by zaprzestał żartów z tym napisem. Dyrekcja musi wymagać od gości poszanowania zarządzeń. Zechce pani wybaczyć, madame, bardzo mi przykro...

Unikał mego wzroku. Czułam wyraźnie, że nienawidził wszelkich napisów i narzuconego sobie przykrego obowiązku zwracania uwagi gościowi, który dobrze płacił i dawał hojne napiwki.

Nagle wśród tańczących rozległy się huczne oklaski, jakkolwiek muzyka nie skończyła grać, i ujrzałam, iż Michał ponownie odwraca napis. Kilka par otoczyło go kołem, a niektórzy klaskali w ręce. Hans i Anna Liza znajdowali się w tej grupie i oboje spoglądali na Michała z radosnym uśmiechem, rozjaśniającym ich młode twarze. Michał zacierał ręce, zadowolony ze swego wyczynu, a jeden z zagranicznych studentów klepał go po plecach. Dyrygent, z błogim uśmiechem, bezpośrednio przeszedł na coś w rodzaju fokstrota, a prawie wszyscy tańczący dostosowali do tego rytmu swoje kroki.

- Ach, co za zabawa! Co za zabawa! - wykrzyknęła Anna Liza, wracając do stołu, zdyszana i rozplómienna.

Zarządzający otworzył nową butelkę szampana i napełnił kieliszki. Gdy rzuciłam okiem, napis „Jazz wzbroniony” wisiał znowu obrócony na właściwą stronę. Orkiestra wyszła na chwilę, a estrada wydawała się teraz dziwnie opuszczona.

- Wznoszę toast na cześć pań! - krzyknął Hans, ocierając chusteczką swą otwartą, młodzieńczą twarz. - Zdrowie

naszych matek, naszych sióstr, naszych sympatii i wszystkich kobiet, które kochamy...

W tym momencie podszedł do nas jakiś pan od sąsiedniego stolika. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat i był ubrany w ciemnogrnatowy garnitur. W pierwszej chwili pomyślałam, że to któryś z profesorów Michała. Miał głowę szczupaka, mnożące się w niemieckich rzekach.

- Heil Hitler - powiedział ów pan.

- Heil Hitler - odpowiedział chórem „Związek Pioruna”.

- Dobry wieczór - odezwałam się, sądząc, że to może jakiś znajomy Streitów i przychodzi prosić do tańca Annę Lizę. Ale on, zwróciwszy się do Hansa, rzekł spokojnie, tonem nie znoszącym sprzeciwu:

- Proszę, pan pozwoli ze mną.

Hans gwałtownie postawił swój kieliszek.

- Rozkaz - powiedział. - Wybacz, mamó. Pani raczy wybaczyć, pani Sprague.

Zrobił wojskowe pół obrotu i poszedł za owym panem. Zauważyłam, że zarządzający mlasnął dyskretnie językiem na znak uznania, gdyż scena, której byliśmy świadkami, stanowiła zwykle tradycyjną przygrywkę do pojedynku na szable pomiędzy studentami w Heidelbergu. Nie wyzywało się jednak młodych podchorążych, toteż pełna niepokoju cisza panowała przy naszym stole.

- Może on pił za dużo... - odważył się wreszcie wyrazić swe przypuszczenia profesor.

- Czy mam pójść, dowiedzieć się, co zaszło? - zwrócił się Michał do pani Streit, która nagle zapadła się dziwnie w pustym kształcie z czarnego jedwabiu.

- Wiedziałam, wiedziałam od razu - powtarzała wciąż monotonicznie - dobrze wiedziałam, że coś się stanie. Wiedziałam, wiedziałam...

- Nic się nie stało i nic się nie stanie - powiedziała Anna Liza. - Nie bądźże takim tchórzem, mammo!

Nikt się nie odzywał. Orkiestra wróciła i znów zaczęła grać.

- Zatańczysz? - spytał Michał.

Anna Liza potrząsnęła przecząco głową, zagryzając wargi.

- A ty, Barbaro?

- Nie, dziękuję - odrzekła Barbara.

Michał przesunął okulary na czoło i przetarł sobie oczy.

- Żałoba przystoi Elektrze - powiedział, ale nikt nie wiedział, co to miało znaczyć.

Ujrzałam potem, że Hans wrócił na salę. Szedł jakoś nienormalnie śmiało, jak pijany. Gdy podszedł do naszego stolika, zauważyłam, że miał zupełnie szarą twarz i białe wargi, nawet jego uszy przybrały barwę wosku; krople potu perlily mu się na czole i skroniach.

- Hans... - szepnęła matka.

Dwukrotnie próbował coś powiedzieć, ale w końcu zrezygnował; widocznie zaschło mu w ustach. Wziął ze stolika kieliszek szampana i wypił trochę.

- Muszę w tej chwili wracać do koszar. Zaszło coś, o czym nie mogę tutaj mówić.

Jegomość z głową szczupaka wrócił tymczasem na swoje miejsce i usiadł przy stoliku, uśmiechając się. Moich gości ogarnęła prawdziwa panika. Młodzi ludzie ze „Związku Pioruna” wysunęli się nieznacznie z sali. Profesor podtrzymał panią Streit, która - zdawało się - zemdleje lada chwila.

- Słuchaj no, Hans, co to wszystko ma znaczyć? - zaczął wypytywać Michał, klepiąc Hansa po plecach.

Ale ten strząsnął z siebie rękę Michała, jakby to była ręka zapowietrzonego.

- Daj mi święty spokój, to wszystko twoja wina!

Anna Liza wysunęła rękę spod ramienia Michała i uwiesiła się u ramienia brata.

- Hans, Hans kochany - szepnęła tkliwie. - Mój drogi Hans...

Wszyscy wyszli. Zostaliśmy sami, Michał i ja.

- Mamusiu...

- Nie denerwuj się, Micki. Wszystko się ułoży. To są strasznie bojaźliwi ludzie...

Zapłaciwszy rachunek, wyszłam do hallu. Wszyscy już poszli, oprócz Barbary. Michał podawał jej właśnie sportowy płaszcz, który nosiła na swej wieczorowej sukience. Chłopak wyglądał jak ogłuszony.

- Co się stało? Gdzie oni są? - spytałam, nie przypuszczając nawet, jakim katastrofom może ulec rodzina w nacjonalistycznych Niemczech.

- Opowiedz jej wszystko, Michale - zawołała Barbara, wrywając mu płaszcz z ręki i pędząc do wyjścia. - Błagam cię. tylko mnie nie odprowadzaj; nie chcę, by widziano nas razem!

Obrotowe drzwi zawirowały w naszych oczach, powiało zimnym powietrzem i zostaliśmy sami.

- Nie rozumiem... - powiedział Michał. - Nic nie rozumiem. Przecież nie jestem trędowaty. Czy staje się trędowatym dlatego, że tańczyło się fokstrota? Ach, Boże, mamu, i co ja teraz zrobię?

Opowiadając mi przebieg całego zdarzenia, drżał na całym ciele. Jegomość o głowie szczupaka był to major Vitztum. Oskarżył on Hansa Streita o publiczne naigrawanie się z zarządzeń, niestosowanie się do nich i przestawanie z czynnikami wywrotowymi (to my, mamusiu) i zażądał, by Hansa wyrzuciono z wojska.

- Ależ to nonsens - powiedziałam przygnębiona. - Ten major Vitztum był chyba nietrzeźwy. A może ktoś po prostu zażartował sobie z Hansa.

Michał spojrział na mnie spoza swych ciemnych okularów.

- O nie! W tym kraju nie ma żartów i Hans wie o tym dobrze. Powiedział, że odbierze sobie życie, jeśli go wyrzucą. Jestem przekonany, że to zrobi, gdy nie będzie mógł zostać oficerem. A Anna Liza! Myślałem, że mi plunie w twarz. Pani Streit prosiła, żebym więcej nie wracał do nich. Powiedziała, że zrujnowałem ich wszystkich! To prawda, mamusiu. Zawiniłem, ale, mój Boże, jakże mogłem przypuszczać, że tańczenie fokstrota będzie traktowane jak zdrada stanu? Hans wrócił do koszar, bo major Vitztum rozkazał mu nie opuszczać pokoju i czekać na dalsze rozkazy... - Michał był teraz znowu maleńkim chłopczykiem, potrzebującym opieki.

- Chodź. Spróbujmy pomówić z tym majorem - powiedziałam. - Robi na mnie wrażenie sadysty, któremu trzeba przemówić do rozsądku. Zdejmij te idiotyczne okulary, nie pora udawać Gretę Garbo!

Zdjął okulary i ujrzałem, że oczy, te zmęczone, zaczerwienione oczy, ma pełne łez. Czy matki nigdy nie przestaną zmieniać pieluszek swym dzieciom? - przemknęło mi przez myśl.

- Czy mogę pana przeprosić na chwilę, panie majorze? - zapytałam, podszedłszy do stolika, przy którym siedział major Vitztum. Staralam się wyglądać tak ulegle, jak tylko major niemieckiej armii mógł się spodziewać po kobiecie. - Czuję się odpowiedzialna za drobne zajście, które wywołało, zdaje się, pańskie niezadowolenie, i chciałabym się wytłumaczyć.

Major wstał z krzesła i stuknąwszy obcasami skłonił się, mrużąc swoje nazwisko. Uśmiechnął się nawet i przez chwilę wydało mi się, że pomyliłam osoby. Nic z tego nie będzie, pomyślałam.

- Panie majorze - zaczęłam z najpiękniejszym uśmiechem - mój syn i ja pragnęlibyśmy pokornie prosić o wybaczenie. Winowajcami, jedynymi winowajcami, jesteście my oboje. To ja zachęciłam tych młodych ludzi do tańczenia tańca tak popularnego u nas w kraju. Widzi pan, my - jak panu zapewne wiadomo - jesteście Amerykanami i mamy zupełnie inne poczucie humoru. Memu synowi wydawało się, że takie odwrócenie napisu jest tylko niewinnym żarciem. Bardzo teraz tego żałuje, nieprawdaż, Michale?

- Tak. Bardzo żałuję - powiedział stojący za moimi plecami Michał, cichym, bezbarwnym głosem.

Major wysłuchiwał tego z uprzejmym i zaciekawionym uśmiechem na wąskiej, rybiej twarzy. Nie bardzo wiedziałam, co mówić dalej, ale znów zaczęłam gorliwie:

- Ten młody oficer... Hans Streit... nic tutaj nie zawinił. Przeciwnie. Zwracał uwagę memu synowi i stanowczo zabronił mu tego. Prawda, Michale?

- Oczywiście! - powiedział Michał.

Byłam zadowolona, że potwierdził moje kłamstwo.

- Nie wiem, co pan major powiedział Streitowi, ale widziałam, że był straszliwie tym przejęty - ciągnęłam dalej. - Rozumie pan więc, że nam obojgu byłoby ogromnie przykro, gdyby ktoś niewinny został ukarany z naszego powodu, tym bardziej że wina polega na takim drobnym, niewinnym wykroczeniu, które łatwo wybaczyć, zwłaszcza że dopuścili się go cudzoziemcy...

Z lekkim niesmakiem wsłuchiwałam się we własną litanie usprawiedliwień. Major wysoko podniósł głowę, jakby dla wyrażenia swego zdziwienia. Ze stojącego na stole kosza uszczknął jakiś kwiatek i bawił się nim w zamyśleniu. Była to gałązka konwalii, wążka cieplarniana roślina, podtrzymywana za pomocą drutu. Major wyciągnął go i po kolei zaczął przekłuwać każdy dzwoneczek.

- Zdaje się, że zaszło tutaj głębokie nieporozumienie - rzekł w końcu - przykre nieporozumienie. To, co uważałem za stosowne, jako przełożony, powiedzieć Streitowi, nie ma nic wspólnego ani z panią, ani z pani synem. Państwo jesteście gośćmi w naszym kraju, podróżujecie z amerykańskimi paszportami i macie absolutną swobodę postępowania tak, jak się wam podoba i jak wam dyktuje wasze poczucie taktu. Jesteśmy narodem gościnnym, jak ogólnie wiadomo na świecie. Jeżeli syn pani uważa za inteligentny dowcip natrząsanie się z przepisów kraju, z którego gościny korzysta i który, śmiem przypomnieć, udostępnia mu zdobywanie skarbów wiedzy w swych instytucjach, to nikt mu w tym nie myśli przeszkadzać ani przywoływać go do porządku. Rozumiemy, że Amerykanie rządzą się zupełnie odmiennymi zasadami.

- Panie majorze... - próbowałam mu przerwać, ale powstrzymał mnie ruchem ręki, jak kapelmistrz uciszający instrument członka orkiestry.

- Sekundę - rzekł. - Wy, Amerykanie, znajdujecie jakąś szczególną przyjemność w tańczeniu jak Murzyni, przy dźwiękach murzyńskich bębnów. Proszę bardzo. Upadek cywilizacji zapowiada się zawsze w ten sposób. Proszę sobie tylko przypomnieć upadek Rzymu. Albo te wszystkie zwyrodniałe orgie poprzedzające rewolucję francuską. Ale to dotyczy Ameryki i nikogo nic nie obchodzi. Zatrzymajcie sobie swój jazz. Nam wystarczy, że jesteśmy ojczyzną Beethovena, Bacha i Wagnera. My mamy niewyczerpane źródła pieśni i tańców ludowych i nie chcemy tylko, aby nam brukano te źródła. To wszystko.

- Panie majorze - rzekłam - czy to warto, doprawdy, poruszać z tak błahego powodu kwestie tej wagi, co narodowosocjalistyczne podejście do świata? To było przyjęcie z okazji urodzin, dzieci się rozbawiły i rozbrykały...

Przecież to jeszcze dzieci, czyż pan tego nie rozumie? Wypiły może trochę za dużo szampana... Powtarzam panu raz jeszcze: Hans Streit nie zrobił niczego takiego, co by zasługiwało na karę.

- O tym zadecydują jego przełożeni - odparł major i pochwycił w jego głosie ową nosową nutę pruskiej komendy, na którą jest jedna jedyna odpowiedź: „Rozkaz!”

- W tej chwili nie mówimy o Streicie. Prowadzimy po prostu towarzyską rozmowę o amerykańskiej ideologii... - ciągnął i nagle, odwróciwszy głowę, wpił się oczami w Michała. - A może... Zaraz, zaraz, czy pańskie nazwisko nie brzmi Tillmann? Ach, tak mi się właśnie wydawało. Nazwisko rdzennie niemieckie, o ile się nie mylę. Włada pan też doskonale naszym językiem. Przypominam sobie teraz, że naprawdę jesteście Niemcami z urodzenia, jakkolwiek obecnie podajecie się za Amerykanów. Pani i syn opuściliście kraj w najcięższych jego chwilach, a teraz powracacie z kabzą nabitą dolarami, by szydzić z nas i w czystych umysłach naszej młodzieży szczepić niektóre z waszych anarchistycznych poglądów. Ale to się wam nie uda!

Od dawna wiedziałam, że oboje figurujemy w ich tajnych aktach. Założę się, że wiedzą dokładnie, co zawiera moja walizka, jakie czytuję gazety i jakiego środka używam na przeczyszczenie...

- Nie uda się wam - dodał, przekłuwając ostatni dzwoneczek i rzucając na ziemię gałązkę konwalii. - Są to bowiem dwa różne światy, dla których nie ma pojednania. Wy, Amerykanie, z waszymi pieniędzmi, z waszą zdegenerowaną ekscentrycznością, nieudolnością i bezgraniczną tolerancją, i my, naród młody i silny, scementowany wspólną walką, zahartowany i karny.

- Słusznie, panie majorze - powiedziałaam czując, jak wzbiera we mnie gniew, i powściągając się, by nie chwycić



butelki szampana i nie wylać mu jej na łeb, na co miałam szaloną ochotę. - Ma pan rację. Właśnie Hans Streit jest przykładem takiej karności wśród niemieckiej młodzieży. Nie zrobił nic złego, nie tańczył zakazanych tańców i zapowiedział memu synowi, że pobije go, jeśli jeszcze raz ośmieli się zatańczyć fokstrota z jego siostrą.

- Ale śmiał się, gdy pan Tillmann obrażał Reich, strojąc sobie kpiny z naszych zarządzeń. Tolerując tego rodzaju nadużycie, sam stał się współwinowajcą. Dziś wieczorem dał oczywisty dowód, że nie jest godzien zostać oficerem. A teraz nie chciałbym zabierać pani więcej czasu. Proszę wybaczyć.

Major podniósł się z miejsca. Pobladł z gniewu, a cała jego poprzednia uprzejmość zniknęła bez śladu. Wtedy Michał, trzymając się wciąż oparcia mego krzesła, zaczął mówić:

- Jeszcze jedno słowo, panie majorze - głos drżał mu ze zdenerwowania. - Ma pan rację: urodziłem się tutaj i wróciłem tu, bo kocham swój kraj. To moja ojczyzna. Mój ojciec był pruskim oficerem, a także mój dziadek i pradziadek. Wiem dobrze, jaki powinien być oficer. Moim pragnieniem jest zobaczyć wielkość i potęgę Niemiec, dlatego oddałem się na usługi Trzeciej Rzeszy i Fuhrera. Ale, panie majorze - czułam, jak jego ręce drżą na poręczu krzesła - jeśli kilka tanecznych kroków uważacie za rzecz tak groźną, iż karzecie człowieka tylko za to, że patrzył, jak ktoś je wykonuje - to, panie majorze, kraj ten nie jest niestety silny. W Ameryce osądzamy człowieka po sposobie, w jaki reaguje na żart. Jeśli się na nim nie poznał, wiemy, że to obłudny świętoszek i tchórz. Zdaje mi się, że wy właśnie nie rozumiecie się na żartach. Wy i ten wasz cały Reich lękacie się śmiechu, krytyki i sprzeciwu! Boicie się waszych obywateli i wszystko urządzacie tak, by obywatele drżeli przed waszym rządem. Możecie wpoić w ludzi strach, ale nie odwagę ani miłość, ani poczucie

lojalności. Do dzisiaj nie zdawałem sobie sprawy, jak dalece jestem przywiązany do Ameryki, póki pan nie zaczął jej szkalować. A teraz dzięki panu, panie majorze, dowiedziałem się, że ją kocham! Wrócę tam i opowiem Amerykanom, że mój najlepszy przyjaciel zmuszony był popełnić samobójstwo, że został wydalony z armii niemieckiej, ponieważ przyglądał się, jak tańczyłem niewinnego fokstrotą, a potężna Rzesza nie mogła tego ścierpieć! Zrobię z tego wielką, głośną, publiczną sprawę. Wywrze to za granicą wspaniałe wrażenie i okaże się wtedy, czy rzeczywiście jesteśmy tacy zdegenerowani i nieudolni. A teraz, jeśli ma pan ochotę mnie aresztować, panie majorze, to proszę bardzo.

Ładnieśmy wpadli, pomyślałam. Teraz każe go aresztować. Co robić? Wezwać Johna, zadzwonić do Waszyngtonu, zadzwonić do ambasady amerykańskiej w Berlinie... Myśli wirowały mi w głowie jak karuzela, ale ku swemu najwyższemu zdumieniu spostrzegłam, że major nagle stracił kontenans. Na tyradę Michała nie odpowiedział wprawdzie ani słówka, ale z całą uprzejmością zwrócił się do mnie:

- Doceniam oczywiście fakt, że państwo tak bardzo troszczycie się o los swego młodego przyjaciela. Niestety jednak, sprawa nie leży obecnie w moich rękach. Złożyłem telefonicznie raport i postępowanie weszło na oficjalną drogę służbową. W każdym razie postaram się zasugerować przełożonym Streita łagodny wymiar kary, ze względu na jego młodość i niedoświadczenie. A teraz życzę państwu dobrej nocy. Heil Hitler!

Stukając obcasami wrócił do swego stolika. Jego ruchy były dziwnie sztywne.

- Fuj! - powiedział Michał, wciąż jeszcze rozdygotany. - Widziałas, jak zmałał, gdy tylko pokazałem mu zęby? Jak myślisz, co on teraz zrobi?

- Nie troszcz się o to. Cała sprawa skończy się na tym - odparłam. - Ten major Vitztum to po prostu błazen, chcący dać odczuć własną ważność. Weźmy teraz taksówkę i jedźmy zobaczyć, jak się czuje pani Streit.

\* \* \*

Ale sprawa nie skończyła się na tym. Weszła ona, jak to powiedział major Vitztum, na oficjalną drogę służbową. Pani Streit odesłała rzeczy Michała do Neckarhofu i odmówiła widzenia się z nim. Chłopak znalazł jakiś sposób, by zobaczyć się z Anną Lizą, ale ta urządziła mu tak ohydny scenę, że wrócił zupełnie wytrącony z równowagi, i niemało trudu kosztowało mnie potem jakieś takie podniesienie go na duchu. Przesiadaliśmy wciąż w moim pokoju, do obłędu wpatrując się w krwistoczerwone pomidory na tapecie. Ludzie unikali nas, jakbyśmy popełnili jakiś hańbiący czyn. Jedynym łącznikiem pomiędzy nami a wrogim obozem była Barbara, wpadająca czasem z wieściami. Podejrzewam, że kochała się w Michale, patetyczną, głęboką miłością, pozbawioną wszelkiej nadziei, jak zwykle miłość brzydkiej przyjaciółki ładnej dziewczyny. Łysy profesor wślizgnął się raz o zmroku do Neckarhofu, by z miną spiskowca zapewnić nas, iż absolutnie nie zgadza się z reżimem narodowosocjalistycznym, i by zapytać mnie, czy ewentualnie nie mogłabym mu pomóc w otrzymaniu wizy na wyjazd do Ameryki oraz w uzyskaniu tam jakiejś posady.

- Na co my tu właściwie czekamy? - zapytałam Michała po tygodniu wpatrywania się w pomidory. - Czy nie lepiej pierwszym statkiem wracać do siebie? Taka podróż i wypoczynek zrobiłyby ci dobrze na oczy, a poza tym zdążyłbyś jeszcze zapisać się na drugie półrocze na uniwersytet.

- A czy ty sama nie uczyłaś mnie, że należy pić piwo, którego człowiek nawarzył? - odparł. - Nie zwykłem uciekać

przed trudnościami, zresztą ty sama nie chciałaś, abym to robił. Muszę pozostać tutaj dopóty, dopóki nie będzie wiadomo, co zrobią z Hansem. Mogą mnie zresztą zawezwać na świadka. Może udałoby mi się jeszcze wydobyć go jakoś z tarapatów. Przecież niemożliwe chyba, żeby oni wszyscy powariowali!

Hans Streit wciąż siedział w areszcie domowym, oczekując wyroku. Barbara potwierdziła, iż Hans złożył formalne oświadczenie, że w razie dymisji z wojska strzeli sobie w łeb. Po trosze zaczynało mnie już nużyć to ustawiczne grożenie samobójstwem. Nie uważałam, by to było zbyt rycerskie ze strony tego młodego bohatera, kazać żyć matce i siostrze w nieustannym napięciu, a równocześnie nie mogłam pojąć, jak można być tak ślepo przywiązanym do militarystycznego ustroju, by nie móc wyobrazić sobie życia bez absolutnej karności.

- Ale przecież nawet w Niemczech istnieją tysiące mężczyzn, którzy żyją jakoś, nie będąc oficerami - powiedziała któregoś dnia Barbarze.

Płakała i jej szeroka, płaska twarz była czerwona od łez.

- To jest sprawa poczucia honoru. Nie przypuszczam, by pani to mogła zrozumieć, madame Sprague - odparła.

Michał, trzasnąwszy drzwiami, wyszedł z pokoju. Przestał uczęszczać na wykłady i wyglądał rozpaczliwie.

- Tak dalece wszyscy odnoszą się do mnie jak do mordercy, że w końcu ja sam w to uwierzę.

Pewnego dnia, gdy przyszła do nas Anna Liza, pomimo zakazu matki, aby wypłakać się w objęciach Michała i prosić mnie, bym im jakoś pomogła, zdecydowałam się pojechać do Berlina i pomówić z Hellmuthem.

- Trzeba telefonicznie połączyć się z Hellmuthem. On ma wielkie stosunki i jestem przekonana, że jedno jego słowo od razu uciszy tę awanturę - powiedziała do Michała. -

Wstrętem przejmuje mnie wprawdzie konieczność zwrócenia się do niego z prośbą o przysługę, dlatego zwlekałam z tym tak długo. Z drugiej strony ja również oddałam mu kiedyś przysługę... A poza tym on tak ciebie lubi...

- Możesz spróbować - odparł sucho Michał - choć nie przypuszczam, by wuj Hellmuth pozwolił powodować sobą swym osobistym uczuciom.

Kiedy udało mi się w końcu dodzwonić do biura Hellmutha Klappholtza, okazało się, że jest on na ważnym posiedzeniu i nie można mu przeszkadzać. Michał odnalazł w swoich notatkach jego prywatny numer telefonu, ale dopiero po siódmej otrzymałam połączenie i służąca oznajmiła mi, że kapitan Klappholtz wyszedł i wróci dopiero późno w nocy. W końcu zarezerwowałam miejsce w samolocie i wysłałam depeszę do Hellmutha, by go uprzedzić o swoim przybyciu.

Przybywszy do Berlina zadzwoniłam do niego z hotelu. Znów jednak nie udało mi się z nim mówić, lecz jakiś głos, widocznie należący do wojskowego, oświadczył mi, że kapitan Klappholtz punktualnie o godzinie 13.30 oczekiwać mnie będzie w takiej a takiej restauracji. Bywałam w niej dawniej często po teatrze lub przed pójściem na dancing. Uśmiechnęłam się na znajomy widok malinowego chodnika i kolumn z imitacji marmuru.

- Chciałabym się widzieć z kapitanem Klappholtzem - powiedziałam do zarządzającego i po jego uniżonym ukłonie poznałam, iż Hellmuth został istotnie ważną osobistością.

- Pan kapitan oczekuje pani; dostałem polecenie zaprowadzenia pani do jego stolika. Zechce pani łaskawie pozwolić tędy - mówił, prowadząc mnie malinowym chodnikiem. - Pan kapitan siedzi w błękitnej sali, bo tam można spokojnie porozmawiać.

Gdyśmy weszli do salki, ujrzałam, że Hellmuth podniósł się od małego, okrągłego stolika w rogu i z widoczną radością

wyszedł na moje spotkanie. Z trudem byłabym go poznała, spotkawszy przypadkiem. Ociężał, a twarz jego straciła młodzieńczy wygląd.

- Ciotka Maria! Ale doprawdy, wyglądasz młodziej i szykowniej niż kiedykolwiek - rzekł serdecznie. - Cóż za miła niespodzianka! Napijesz się sherry na początek? Ach! Zapomniałem, że przecież Amerykanie wolą cocktaile. Dla mnie osobiście są one trochę barbarzyńskie. Palą w gardle, nie uważasz? Oświadczam ci, że od czasu, gdyśmy się widzieli po raz ostatni, stałem się wielkim smakoszem. Czy pozwolisz, abym ja ci coś wybrał z karty? Znam ich specjalności. Co byś powiedziała na pieczoną kaczkę z kapustą? Robią ją tutaj wyśmienicie! Wiesz, na szampanie...

Zdawałam sobie sprawę, iż jest szczęśliwy, mogąc mi imponować. Starał mi się dowieść, że będąc ważną figurą mimo to można być miłym w towarzystwie, prostym, zajmującym człowiekiem. Ja ze swej strony usiłowałam tylko grać cały czas drugie skrzypce w duecie naszej przyjacielskiej rozmowy i łamałam sobie głowę, jak tu znaleźć odpowiednie przejście od pieczonej kaczki do rozpaczliwego położenia Hansa Streita. Próbowałam też zidentyfikować tego kwitnącego, dojrzałego, sytego i pogodnego mężczyznę ze szczupłą postacią surowego, zgorzkniałego młodzieńca, którego znałam niegdyś.

Powiedział mi, że nie ożenił się, ale że żyje we wspaniałym wolnym związku z aktorką z teatru miejskiego. Rozprowiał o muzyce Wagnera, co mi przypomniało ohydną Walkirię, mdlejącą w objęciach Wotana, wiszącą niegdyś nad jego łóżkiem, którą ciągle odwracałam do ściany. Z kolei przypomniałam sobie Michała, który również popełnił świętokradztwo, odwróciwszy napis, którego nie wolno było odwracać. Hellmuth wiedział, oczywiście, że nie po to przyjechałam, aby z nim rozprawiać o Wagnerze, i

zapytywałam się w duchu, czy go to bawi, że pozwala mi się piec na wolnym ogniu, czy też nie chce omawiać mej sprawy w lokalu publicznym.

Piliśmy już czarną kawę paląc papierosy, a ja dotychczas ani słówkiem nie napomknęłam o tym. Wreszcie gdy Hellmuth, rzuciwszy okiem na zegarek, powiedział, że o trzeciej musi się widzieć z feldmarszałkiem, skoczyłam na głęboką wodę.

- Depeszowałam, iż muszę zasięgnąć twej rady w pewnej sprawie dotyczącej Michała - zaczęłam.

- Tak, tak - powiedział Hellmuth. - We wszystkim co tyczy Michała, możesz stuprocentowo na mnie polegać. Pewnie słyszałaś o tym, że my tu w Niemczech przeszliśmy na namiastki. Otóż właśnie Michał jest dla mnie taką namiastką syna, i to udanego syna... muszę przyznać.

Doskonale, pomyślałam. Hellmuth nieznacznie skinął ręką i od razu obaj kelnerzy zniknęli.

- Michał znalazł się w opałach - rzekłam. - I ty jeden możesz go z nich wydobyć.

- Mam nadzieję, że to nic groźnego?

- Nie. Zupełnie nie. Coś tak niepoważnego, dziecinnego i bez znaczenia, że będziesz się z tego śmiał. Przybrało to zastraszające rozmiary, ale w rzeczywistości jest niczym. Wystarczyłoby nakłucie szpilką, a wszystko prysnęłoby jak bańka mydlana.

- Miejmy nadzieję, że tak się stanie - powiedział Hellmuth. - Czy życzysz sobie do papierosa koniaku, czy może naszego likieru kminkowego?

Łatwo było opowiedzieć całą historię Hellmuthowi, toteż opowiedziałam mu ją tak, jak się opowiada dowcip lub anegdotę: dzieci piły szampana, uderzył im do głowy, wiesz przecież, jak Michał lubi dokazywać... zdawało mu się, że to

było dowcipne, nie przypuszczał, że z tego mogą powstać takie następstwa....

Gdy skończyłam swoje opowiadanie, Hellmuth nie powiedział ani słowa. Wypiłam likier; sparzył mi gardło, ale chciałam mu tym zrobić przyjemność. Czego się nie robi, gdy się zamierza prosić kogoś o wyświadczenie nam przysługi! Popiłam łykiem wody i zapaliłam nowego papierosa. Hellmuth podał mi ogień. Był uosobieniem dobrego wychowania i rycerskości.

- Posłuchaj, ciotko Mario - rzekł wreszcie. - Powiedziałaś, że Michał znajduje się w opałach. Ale, o ile dobrze zrozumiałem, jemu nic się przecież nie stało. Nawet nie miał żadnych przykrości. Może robić, co mu się podoba, i poruszać się swobodnie. Na czym więc polegają jego trudności?

- Otóż właśnie, Hellmucie, znasz przecież Michała. Świadomość, że jego przyjaciel cierpi niewinnie z jego winy, jest dla niego o wiele przykrzejsza niż gdyby wsadzono go do więzienia, zbito czy ukarano w jakiś inny sposób. Musisz wczuć się w położenie obu tych młodych ludzi.

- Pewnie, przypuszczam, że to musi być tym przykrzejsze dla niego. Ale możliwe, że stanie się to właśnie zbawiennym doświadczeniem dla jego charakteru. Pamiętasz zapewne to zdarzenie z życia Fryderyka Wielkiego, gdy ojciec rozkazał mu być świadkiem egzekucji dokonanej na jego przyjacielu, poruczniku Katte, aby go ukarać i zrobić z niego człowieka. Uważasz, że to było okrutne? Być może, ale skuteczne, sama przyznasz.

- Ależ Hellmucie... Michał przecież nie ma zostać królem pruskim - rzekłam, zupełnie zbita z tropu dziwną logiką jego wywodów - nie trzeba więc w jego wychowaniu stosować podobnie drastycznych środków! Zresztą zapomnij na chwilę o Michale, pomyśl o Hansie Streicie. On jest absolutnie niewinny! A jego matka? A siostra? Przecież nie



wolno ich skazywać na piekielne męki tylko dlatego, że głupi Michał dopuścił się niemądrego wybryku!

- Jak możesz twierdzić, że ten, jak mu tam, Hans Streit, nic nie zawinił? Możesz być przekonana, że w jego sprawie będzie przeprowadzone śledztwo, i że rozważone zostaną wszystkie okoliczności, zanim zostanie wydany wyrok skazujący go na usunięcie z wojska. Zgadzam się zupełnie z jego zwierzchnikami. Możliwe, że to miły chłopak, ale z powodu swego zachowania stał się niegodny munduru oficera.

- Jak to? Z powodu śmiesznego napisu na kawałku kartonu? Wybacz, Hellmucie, ale to już zakrawa na obłąd! Przecież to objaw chorobliwego fetyszyzmu!

- Ostatnio czytałem bardzo ciekawą broszurę o znaczeniu symboli w świecie schizofreników - odrzekł Hellmuth, uśmiechając się uszczypliwie. - Podobno nawet wówczas, gdy ich system myślowy doznaje ostatecznego pomieszania, reagują oni jeszcze na symbole. A dlaczego? Ponieważ symbol odpowiada najgłębszej potrzebie ludzkiego ducha. Oczywiście że taki kawałek kartonu jest symbolem. Słowo verboten jest również symbolem. Tak samo jak krzyż, jak swastyka. Tak jak korona. Nie będziesz chyba twierdzić, że krzyż jest tylko kawałkiem drewna, a sztandar skrawkiem kolorowej bawełny. Słowo verboten stanowi symbol prawa i posłuszeństwa. Poszanowanie go jest symbolem karności, a karność w pierwszym rzędzie obowiązuje każdego żołnierza. Jakżeż oficer potrafi sobie zdobyć posłuch, jeśli sam nie przywykł do karności? Przypominasz sobie księcia Fryderyka Homburga u Kleista? Wygrywa on bitwę wbrew rozkazom i zostaje za to skazany na śmierć. Powiadasz, że ten Streit wypił za wiele i nie zdawał sobie sprawy z tego, co robił. To dowód, że byłby z niego zły żołnierz. Lepiej, że zawiódł na dancingu niż w koszarach, na ćwiczeniach czy na polu bitwy...

Nie czułam się na siłach argumentować przeciwko narodowosocjalistycznym wywodom Hellmutha, a jego zaczerpnięte z historii przykłady po prostu zamykały mi usta. Spojrzał na zegarek.

- Dobrze, Hellmucie - rzekłam spiesznie. - Rozumiem twoje argumenty. Ale czy przez wzgląd na mnie i na Michała nie zechciałbyś użyć swych wpływów, by w tym wypadku zrobiono wyjątek?

- Nie może być wyjątków. W mocnym państwie nie ma miejsca ani na wyjątki, ani na niezdyscyplinowane jednostki. Jeśli nawet ten młodzieniec nie stanowi odpowiedniego materiału na oficera, to powinien mieć dość przyzwoitości, by bez stawania okoniem ponieść nałożoną nań karę.

- Ależ on to robi! Godzi się na nią. Ale nie godzę się na to ani ja, ani Michał.

- Zawiódłbym się bardzo na Michale, gdyby tak było. Liczyłem, że rozkrzewi on ducha naszej ideologii w Stanach. Cóż, kiedy widzę, że musi się jeszcze bardzo wiele nauczyć i że taka bolesna lekcja przyda mu się bardzo. A co do tego pomysłu, by samemu ukryć się pod twój fartuszek, a ciebie przysłać do mnie, to muszę powiedzieć, że bynajmniej mnie on nie zachwyca.

A więc w takim świetle przedstawiasz teraz Michała, pomyślałam z zimną wściekłością, ty... ty... ty agencie hitlerowski!

- Słuchaj, Hellmucie, ponieważ wspomniałeś o ukrywaniu się pod babskim fartuchem... Jesteś teraz, prawdopodobnie, człowiekiem posiadającym władzę, którego jedni się lękają, a inni podziwiają. Dla mnie jednak zawsze będziesz chłopcem, którego musiałam ukrywać przed policją, gdy napytał sobie biedy. Pamiętasz jeszcze ten mój szeroki niebieski fartuch, który nosiłam w Einsiedel? A twoje poranione nogi? A ten strach, który wtedy czułeś? To okropne, że muszę ci

wypominać swoją pomoc, ale ty sam zmusiłeś mnie do tego. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby chodziło o Michała czy o mnie. Ale tu idzie o Hansa Streita i powtarzam ci, że musisz coś zrobić, bez względu na to czy uznajesz wyjątki, czy nie. Swego czasu ja również zrobiłam wyjątek, choć nie mniej sprzeciwiał się on moim przekonaniom niż dzisiejszy sprzeciwia się twoim.

Nie wiem, co myślał Hellmuth, gdyż z jego twarzy nic nie można było wyczytać.

- No, no, nie rozczulajmy się - rzekł tylko.

Pozostawiwszy sprawę jakby w zawieszeniu, skierował rozmowę na sztukę, na nową niemiecką sztukę. Zalecił mi odwiedzenie jakiejś wystawy, po czym odprowadził mnie do taksówki. Pozostał na chodniku, salutując z uśmiechem, dorodny mężczyzna, o poczynającym się już zarysowywać podwójnym podbródkiem i małym brzuszkiem, opiętym w szykowny mundur.

\* \* \*

Interwencja Hellmutha przyszła jednak za późno, gdyż nerwy Hansa Streita, zszarpane i mało odporne, wypowiedziały posłuszeństwo, i chłopak strzelił sobie w pierś. Zrobił to zresztą niedokładnie, jak ludzie, którzy nie chcą naprawdę umrzeć. Wyjęto mu kulę z lewego płuca, a lekarze szanse przeżycia ustalili na pięćdziesiąt procent.

Tymczasem to harakiri, wraz z pilnym telefonem Hellmutha, jak się zdaje przebłagało gniew bogów. Orzekli, że jeśli Hans przeżyje, zostanie zrehabilitowany i z dawnym stopniem ponownie przyjęty do służby wojskowej. Anna Liza przybiegła zawiadomić o tym Michała, a Frau Streit napisała do mnie list, rozpływający się w podziękowaniach i pełen szacunku. Było jasne, że wszechmoc Hellmutha rzuciła na nas swój odblask i od razu przestano nas traktować jak pariasów. Musieliśmy teraz tylko poczekać parę tygodni, aż się okaże,

czy Hans będzie żył. Zawstydzalo mnie chwilami, że my oboje, dzięki amerykańskim paszportom, nie mieliśmy z racji tej sprawy żadnych osobistych przykrości. Zadzwoiłam do Johna, w ciągu trzech minut złożyłam mu dokładne sprawozdanie, życzyłam wesołych świąt i oznajmiłam, że jakkolwiek nasz pobyt tutaj musi się jeszcze nieco przedłużyć, to jednak mam nadzieję, że Michał powróci ze mną do Nowego Jorku. Cała ta rozmowa była przepojona tęsknotą i za Nowym Jorkiem, i za Johnem, i nawet za takimi głupimi drobiazgami, jak mój zlew czy lodówka, nawet za Columbus Circle, gdzie ludzie włączając na skrzynki po mydle mogli rozprawiać, o czym im się żywnie podobało.

Te tygodnie nerwowego oczekiwania najpierw na wyrok, a później na rozstrzygnięcie o życiu i śmierci, bez wątpienia przyspieszyły kryzys w chorobie Michała. Stan jego oczu zaczął się gwałtownie pogarszać. Jeżeli nie kręcił się w pobliżu szpitala, w nadziei, że wpuszczą go do pokoju Hansa, potrafił dnie całe leżeć na łóżku, nieogolony i nieuczesany, przy zapuszczonych roletach, twarzą odwrócony do ściany. Znosiłam mu czasopisma i książki, które składał na stos, nie czytając ich wcale.

- To wszystkie jest takie nudne - mówił. - Zresztą czytanie mnie usypia.

Nie spał jednak. W dzień drzemał, a nocami słyszałam, jak wstawał i odkręcał kurki w łazience.

- Co ci jest, Micki? - zapytałam go.

- Biorę gorący prysznic. Jest tak zimno, prawda? - odpowiedział.

Jego czoło i ręce były jednak gorące i suche, a kiedy zmusiłam go w końcu do zmierzenia temperatury, okazało się, że jest lekko podwyższona. Mieliśmy niemiecki termometr, który wskazywał 37,6 stopnia. Nie była to gorączka, ale również nie normalna ciepłota. Temperatura, jaką Manfred

Halban miewał prawie codziennie. Mały obłoczek, strzępek mgły przesłaniający horyzont Michała, zaczął się stawać wielką, czarną chmurą, zakrywającą całe niebo; na razie nie posiadała ona jeszcze wyraźnego kształtu jak zwykle chmury.

Z rana temperatura spadła; Michał zjadł śniadanie i wyszedł nawet na krótką przechadzkę. Spotkał Annę Lizę, uzyskał dziesięciominutową rozmowę z Hansem i wrócił w lepszym humorze. Nic mu nie jest, tłumaczyłam sobie, to ja gonię ostatkiem nerwów. Ale wieczorem temperatura podniosła się do 37,8 i nie zmrużyłam oka, nasłuchując. Nie, nie kaszlał wcale. To skutki zdenerwowania, myślałam. To ta atmosfera przygnębienia, to oczekiwanie, to całe niepotrzebne zmartwienie i niepokój z powodu Streita. Ja sama nie czułam się dobrze i z dnia na dzień, z tchórzostwa, odsuwałam wizytę z synem u lekarza.

Przypuszczam, iż dopiero list Pimprenelle przypomniał mi panią doktor Susskind i Bergheim. Portier hotelowy wręczył mi go z widocznym szacunkiem, gdyż na dużej błękitnej kopercie widniały herby domu Bergheim - Zuche.

Droga Marion - pisała księżna - nie wiem, czy pani mnie jeszcze pamięta. Wiem od Klary Balbi, że bawi pani w Heidelbergu, i chętnie ujrzałabym panią. Niestety, jestem obecnie kaleką przykutą do wózka. Może pani czytała w pismach o katastrofie lotniczej, w której ja doznałam obrażeń, a mój starszy syn postradał życie. Dla nas, starych ludzi, jest to krzyż bardzo ciężki, ale przestałam pytać, dlaczego tak się stało; taka widocznie była wola Boga.

Piszę do pani w sprawie mego młodszego syna, który w Ameryce poszukuje posady. Jest on naprawdę bardzo zdolnym inżynierem, posiada doktorat Instytutu Technologicznego w Kalifornii, a obecnie odbywa praktykę w Zakładach Forda w Detroit. Czy nie zechciałaby pani pomówić w jego sprawie ze swym małżonkiem? Z tego, co słyszałam, jest to podobno

człowiek posiadający duże wpływy. Czy syn mój mógłby mu przesiać swoje świadectwa i mieć nadzieję, iż mąż pani zechce zwrócić na nie uwagę?

Jeżeli pani będzie jeszcze w pobliżu, gdy pani doktor Susskind pozwoli mi już przyjmować wizyty, mam nadzieję, iż zechce pani mnie odwiedzić, by porozmawiać o dawnych czasach

z przyjazną  
Eleonorą Bergheim - Zuche  
(Pimprenelle)

PS. Książę miewa się dobrze i zasyła pani najuprzejmniejsze pozdrowienia.

Dziwną melancholią powiało z tego arkusika pięknego papieru listowego, z herbami, które straciły znaczenie, niby zapachem dawnego, zaginionego świata i przebrzmiałej młodości.

- Jedźmy tam - powiedziałam do Michała. - Zróbmy sobie jednodniową wycieczkę do Bergheim. Dobrze nam to zrobi, a przy tym chciałabym pogadać z pewną moją dawną znajomą.

Napisałam parę słów do doktor Susskind, gdyż zdawało mi się, że rozmowa z tą starą bojowniczką rozproszy chmury zbierające się wokół nas. Wynajęliśmy auto i pomknęliśmy nową autostradą, z której wszyscy tutaj bardzo byli dumni. Jechaliśmy parę godzin. Po drodze mijaliśmy znane mi wzgórza i wioski, skupione dokoła starych kościółków. Przejechaliśmy przez most na Renie, gdzie znów ujrzałam cień katedry odbitej w szarych nurtach. W swoich snach tak często widywałam Bergheim, iż obecnie trudno mi było rozeznąć się w mieście istniejącym w rzeczywistości, gdyż realne wydawało mi się jedynie miasto z moich marzeń sennych. Szukałam wysokiej kolumny z postacią Hugona Dobrego w rzymskiej todze oraz gmachu Nowego Zamku i nie znalazłam ich. Ulicom ponadawano nowe nazwy, chrzcząc je

nazwiskami ludzi rekrutujących się z narodowych socjalistów, a na placu, gdzie ongiś stał Nowy Zamek, wznosił się obecnie gmach w pseudoklasycystycznym stylu, bliźniaczo podobny do gmachu banku w Kansas City.

Pani doktor Susskind oczekiwała nas. Przynajmniej ona jedna niewiele się zmieniła. Za dawnych czasów była sucha i twarda jak kamień, a kamienie - wiadomo - nie bardzo ulegają zmianom.

- Dzień dobry, Marion - rzekła, jakbyśmy rozstały się wczoraj. - A więc to jest ten amerykański produkt, który ci sprawia kłopot - dodała, bystrym spojrzeniem obrzuciwszy Michała i klepiąc go po łopatce. - No, co tam dolega, młody człowieku? Zdaje się, żeśmy za szybko wybudowali. Marion, czy nie miałaby pani ochoty obejrzeć nowego szpitala położniczego? To jest coś, co naprawdę warto zobaczyć: inkubatory, niemowlęta za szklanymi szybami i różne inne rzeczy. A nade wszystko nikt już nie piętnuje nieślubnych dzieci! To straszne, ten wypadek z synem księżnej, ale ostatecznie lepiej umrzeć w ten sposób niż na zapalenie wątroby. Powiedziałam jej to i trafiło jej do przekonania.

- Wypijmy filiżankę kawy - ciągnęła po chwili - prawdziwej kawy, Marion. Może to niezbyt patriotyczne, że pijam tak mocną, ale to jedna z rzeczy, których potrzebuje taka stara kobieta jak ja, by się podtrzymać na ciele i duchu. A później obejrzymy sobie ten młody egzemplarz rodzaju męskiego.

- Aha, więc zwabiłaś mnie do lekarza - szepnął Michał, gdyśmy szli za starą panią do salonu. Było tu bardzo chłodno.

- Przy ciśnieniu ponad 200 nie zużywa człowiek wiele węgla - rzekła stara panna.

Michał dziwnie prędko doszedł do porozumienia z tą starą przeciwniczką płci męskiej. Po kilku minutach oboje

pograżyli się w zawodowej rozmowie, w której ja absolutnie nie mogłam brać udziału.

- Groonemann to wielki chirurg - słyszałam ich słowa. - Jeśli pan, młodzieńcze, może uczęszczać na jego wykłady, to ma pan prawdziwe szczęście.

Słyszałam później, że Michał opowiada o jakichś wynikach swoich doświadczeń bakteriologicznych. Patrzyłam przez okno na drzewa w parku.

- A teraz gruntownie zbadamy pana, młodzieńcze - powiedziała lekarka.

Rzuciła mi jadowite spojrzenie widząc, że wsuwam się za nią do gabinetu. Ja jednak czułam dławienie w gardle i nie byłam w stanie pozostać w tej chwili sama; w tych ostatnich tygodniach ciągle musiałam na coś czekać!

Michał od dzieciństwa był tak często badany przez lekarzy, że rozebrał się od razu, bez polecenia.

- Doskonale zbudowany - rzekła z uznaniem pani doktor. - Może trochę za szczupły, ale mimo to...

Michał oddychał, wstrzymywał oddech, spuszczał głowę, krzyżował ręce, robił to i owo, mechanicznie i z absolutnie obojętnym uśmiechem, a tymczasem twarde palce panny Susskind, jej uszy o szerokich płatach i stetoskop wędrowały z góry na dół po jego ciele.

- Nie, wszystko w jak największym porządku. O ile mogę się na oko zorientować, płuca są absolutnie zdrowe. Jeśli chce się pani jeszcze upewnić, to proszę kazać prześwietlić i zrobić zdjęcia rentgenowskie w Heidelbergu. Nie podoba mi się jednak, gdy pacjenci bez powodu mają podwyższoną temperaturę. Na ogół musi być jakaś tego przyczyna.

- Jest przyczyna - rzekłam. - Przyczyna moralna. Michał miał właśnie ciężkie przejścia; jego przyjaciel usiłował popełnić samobójstwo.



- Idiota! - lekarka nie znalazła na to innego określenia. - A z jakiego powodu? Przez dziewczynę?

- Dziewczynę? Nigdy w życiu! - zaproponował Michał. - Miał do tego bardzo poważny powód, za który... ja się czuję odpowiedzialny.

- Za moich czasów miłość była powodem najpoważniejszym - powiedziała, ku mojemu zdumieniu, pani doktor. - Ale obecnie młodzi ludzie mają odmienne poglądy. A więc w płucach nie ma niczego. A czy nie miał pan czasem innych kłopotów? Może jakaś choroba weneryczna? Czy mam zbadać okolice południowe, Marion? Czy nie przechodził pan kiedyś małej blenno, młodzieńcze? Nie? To świetnie. Rzadki wypadek wśród studentów. A co by pan powiedział na Wassermanna?

- Do choroby tego rodzaju brak pierwotkowej przyczyny, muszę wyznaczyć, niestety - rzekł Michał, wyraźnie ubawiony rzeczowym podejściem do sprawy starej panny. - Jak dotąd nie straciłem w Heidelbergu mej cennej niewinności. Jediną rzeczą, która mi naprawdę dolega, są oczy.

- Ha! Ha! - wykrzyknęła lekarka. - Na pewno zatarł je pan sobie jakimś paskudztwem. Zakażenie wywołane przez *Staphylococcus aureus*, co? Niestety, nie jestem okulistą. Trzeba by raczej poradzić się doktora Lamma, o ile możecie pozwolić sobie na jego honorarium. To najlepszy specjalista w Heidelbergu. Profesor Lamm, ulica Nad Neckarem.

Michał powoli wkładał koszulę. Nie miał zadowolonej miny.

- Do widzenia, Marion - rzekła lekarka. - Nie ma pani powodu martwić się o swego szczeniaka. Cieszę się bardzo, że panią zobaczyłam; bardzo to miło z pani strony, iż przypomniała sobie pani o starym dragonie!

Objęła mnie nagle za szyję i pocałowała w policzek. Miała sztywne, suche wargi. Robiły wrażenie kawałka papieru gazetowego, który ktoś pozostawił na deszczu, a później wysuszył przy piecu.

- Tak, tak, czasy się zmieniły i wszystko jest inne niż dawniej - dodała jeszcze. - Dlaczego nie zabiera pani tego młodzieńca z powrotem do Ameryki? Samobójstwa panują teraz w Niemczech nagminnie niczym odra.

Była to jedyna uwaga wskazująca na to, że pani doktor Susskind nie została pełnowartościową nacjonalsocjalistką.

Działo się to na cztery dni przed Bożym Narodzeniem i ta wizyta stanowić miała pierwszy etap w naszej długiej wędrówce od jednego lekarza do drugiego.

- Dlaczego ty wciąż powracasz do moich płuc, Mony? - spytał mnie Michał na drugi dzień rano. - To doprawdy mały, niemły kompleks w matce skądinąd bardzo inteligentnej.

- Byłeś niedożywiony jako niemowlę - odparłam. - A poza tym w rodzinie bywały wypadki gruźlicy.

- Nie ze strony Tillmannów - rzekł Michał.

Serce przestało mi bić przez sekundę. Trzeba brnąć dalej, pomyślałam.

- Nie, nie ze strony Tillmannów - potwierdziłam.

Jeszcze nigdy nie byłam tak blisko wyznania mu prawdy. Ale w tej chwili nie mogłam tego zrobić. Wyglądał tak mizernie. Pomyślałam również, że dotychczas nie znał jeszcze kobiety; zanim mu powiem, powinien więcej wiedzieć o ludziach i o dziwnych, skomplikowanych stosunkach łączących obie płcie.

Profesor Lamm był nadętym pyszałkiem, przejętym własną powagą. W poczekalni u niego stały ciężkie, skórzane fotele i wisiał portret Hitlera tak groźnie łypiącego oczami, jakby choroba była zbrodnią przeciwko rasie i ojczyźnie. Profesor orzekł, iż jest to podrażnienie oczu i zapalenie

siatkówki. On również napomknął o chorobach wenerycznych i kategorycznie zażądał próby Wassermanna. Wynik był negatywny; wobec tego zapisał Michałowi krople do oczu, zabronił dużo czytać i kazał przychodzić do siebie dwa razy w tygodniu, celem przeprowadzenia kuracji.

- I tak, choćbym chciał, nie mógłbym dużo czytać - mruzczał Michał. - Kiedy otwieram książkę, litery skaczą mi przed oczami, a to mnie śmiertelnie męczy.

Wyglądał dziwnie ze swymi wielkimi źrenicami, rozszerzonymi jeszcze pod wpływem atropiny, którą go leczył profesor.

W wigilię Bożego Narodzenia siedzieliśmy oboje w moim pokoju hotelowym; udawałam wesołość i przystroiłam świeczkami malutką choinkę, chcąc zrobić przyjemność Michałowi.

- Cudowna - powiedział z bladym uśmiechem, po czym odwrócił głowę. - Światło okropnie mnie razi w te przekłete oczy - dodał z zakłopotaniem. - Nie gniewaj się, Mony... i zgaś je.

W dwa dni później znalazłam książkę. Prawdopodobnie musiała spaść mu pod łóżko, gdy spał, i pokojówka, znalazwszy ją tam, położyła ją na moim biurku. Była to bardzo niepozorna książka, podręcznik okulistyki oprawny w szare płótno. Gdy wzięłam ją do ręki, by odnieść Michałowi, otwarła się w miejscu, w którym była zakładka. Były tam opisy chorób oczu i dwie fotografie straszliwych twarzy o wywróconych, zniekształconych oczach. Popatrzyłam na nie automatycznie i zrobiło mi się po prostu słabo. Oczy te były zaropiałe, a worki, pełne ropy, zwisały pod nimi aż na zapadnięte policzki. Wzięłam się do czytania zaznaczonej stronicy.

Boże drogi! W jakże szczęśliwej nieświadomości żyłam do owego dnia, a jakże wiele miałam się dowiedzieć o

gruźlicy oczu w ciągu tych nieszczęsnych lat, które nastąpiły potem. Dotychczas nie wiedziałam nawet, że istnieje podobna choroba. Przeczytałam jednak cały rozdział traktujący o niej, przedzierając się z trudem przez niezrozumiałe dla mnie terminy naukowe. Jakąż idiotką byłam, czuwając nocami i nasłuchując, czy moje dziecko nie zakasze! Patrzyłam na fotografie, wciąż od nowa odczytując opisy, i czułam, że pot spływa mi po ciele i bluzka przylega do skóry, jakbym była na deszczu. Oto, o czym on myśli, czego się obawia. Biedactwo! Biedny mój Micki. Sama wybrałam się do profesora Lamma i, wyczekawszy się na wygniecionym fotelu, uzyskałam na koniec audiencję.

- Pani robi z igły widły. Syn pani ma po prostu zakażenie, jakich po pięćdziesiąt widzimy codziennie. My tu nie zwykliśmy robić z głupstwa tragedii, jak wasi amerykańscy lekarze, którzy rozdmuchują swą pracę, by zwiększyć honorarium - rzekł szorstko.

- Dobrze, panie profesorze, ale co jest powodem zakażenia?

- Powód zakażenia niech pani już mnie pozostawi. Nie mam potrzeby dawać pani wyjaśnień, których zresztą i tak by pani nie zrozumiała.

- Czy nie jest to objaw tuberculosis? - spytałam, zdobywając się z najwyższym trudem na odwagę.

- Mógłby być, ale nie jest - warknął profesor. - Jeśli chce pani wiedzieć, to pani syn jest po prostu rozpuszczony i posługuje się głupim zapaleniem siatkówki jako pretekstem do opuszczania wykładów. Żegnam panią.

Dr Flint był człowiekiem dokładnym i sumiennym, który długo rozprawiał manipulując swymi narzędziami, podczas gdy wylekły pacjent wpatrywał się w lusterko umieszczone na czole lekarza. On również przeprowadził próbę Wassermanna, po czym w długiej i zawilej przemowie zapewnił nas, że

jakakolwiek byłaby przyczyna zapalenia, w żadnym razie nie powstało ono na podłożu luetycznym.

Dr Pastor, którego porady zasięgnęliśmy następnie, odznaczał się temperamentem terriera, twarzą buldoga i ciężkimi, niezgrabnymi łapami boksera.

Pewnego piątku w pierwszym tygodniu stycznia wybraliśmy się do Frankfurtu, do doktora Lanzhofa, którego mi polecono jako powagę lekarską. Był to człowiek dawnego typu, z kwadratową twarzą, o jasnoniebieskich oczach, mający zdumiewająco małe ręce, o miękkich, różowych jak u małego dziecka palcach. Wyrażał się krótko, stylem byłego oficera, i z prawdziwym zdumieniem zauważyłam, że jego poczekalnia robiła wrażenie biblioteki. Półki pełne książek sięgały sufitu, a wśród klasycznych dzieł literatury odkryłam wiele konfiskowanych i niszczonych już od kilku lat. Wiedziałam, że wszyscy łapczywie czytali takie książki, ale w najgłębszej tajemnicy. Wystawiając je na widok publiczny, doktor Lanzhof dawał dowód, iż jest człowiekiem nie tylko odważnym, ale posiada też dość uporczywości i siły, by postępować wedle swojej woli.

- Pogadamy sobie przed tym chwileczkę, zanim zbadam pańskie oczy - powiedział do Michała. - A mamusia niech sobie tymczasem posiedzi tutaj grzecznie i poczyta książkę. Jaką by pani chciała?

Wzięłam z półki Czarodziejską górę Tomasza Manna i usiadłam w kącie wielkiego pokoju. Przewracając kartki poprzez ich szelest słyszałam urywki rozmowy lekarza z Michałem.

- Tak, iriclitis może być rzeczą bardzo przykrą, jak to panu wiadomo ze studiów medycznych...

- ...Właściwie nie boli, panie profesorze, ale uniemożliwia mi systematyczną pracę...

- ...Od czasu do czasu ból w okolicach nerwu trójdzielnego, tak? ...Od razu mogę rzec, iż będzie pan musiał zdobyć się na świętą cierpliwość, Tillmann. Tylko cierpliwość, spokój i jeszcze raz cierpliwość...

- ...Ale drugi semestr rozpoczyna się w przyszłym tygodniu. Czy pan uważa, że nie będę mógł uczęszczać na wykłady?

- ...A teraz zbadamy sobie tę wstrętną siatkówkę. Myślę, że trzeba będzie zrobić małą próbę Pirqueta, co pan na to, kolego?

Usłyszałam, że profesor wstaje z krzesła. Ja również poderwałam się z miejsca, nie wypuszczając książki z ręki.

- Nie, raczej niech pani tu zostanie. Nie lubię, gdy mamusie asystują w izbie tortur - rzekł żartobliwie, uchylając grubo obite drzwi. - Może mi pani zaufać, to nie będzie go... tak znowu bardzo bolało.

Drzwi się zamknęły. Na konsoli zegar głuchym stukiem znaczył upływające minuty. Telefon zadzwonił parę razy, później umilkł. Długo, długo nic się nie działo. Wróciłam do Czarodziejskiej góry i próbowałam czytać, ale moje myśli błądziły gdzieś. W końcu drzwi się otwarły i doktor powrócił.

- Niech pan potrzyma przez chwilę tampony i proszę odpocząć - zawołał do Michała, który pozostał w gabinecie.

Profesor, zamknawszy drzwi, usiadł przy biurku. Z roztargnieniem wpatrywał się w znaczek, obracając go w palcach.

- Czy pani woli, bym załagodził sytuację kłamiąc, czy też bym powiedział całą prawdę?

- Proszę o prawdę. Po to przecież przybyliśmy tutaj - odparłam bez tchu.

- A więc, madame Tillmann, to jest, zdaje się, ciężki przypadek. Dość ciężki.

- Jak dalece? - spytałam cicho, nieswoim głosem.

- Bardzo ciężki, o ile się nie mylę. W głębi rogówki są plamy, które mi się bardzo nie podobają. Tęczówka niemal zupełnie obsunięta. Wiele, bardzo wiele czasu potrzeba, by ta dolegliwość tak się rozwinęła. Ale jeśli jest to już wypadek tak daleko posunięty jak ten, to niewiele pozostaje nadziei. Oczywiście... mogę się mylić.

- Czy to gruźlica?

- Ach, więc pani sama podejrzewała. Na razie sam jeszcze nie wiem. Oczywiście, biorąc pod uwagę poszczególne objawy i ogólny stan chłopca, byłby to wniosek najprostszy. Zobaczymy jednak, jaki będzie wynik próby tuberkulinowej. Musimy odczekać siedemdziesiąt dwie godziny, madame Tillmann, a wówczas dowiemy się na pewno.

- A jeżeli to jest gruźlica... to co z nim będzie? Czy... czy to grozi... jak by to powiedzieć... czy ja go stracę?

- Nie, tego się nie obawiam.

- Ale... on nie oślepie, prawda, panie profesorze?

Doktor wziął znowu znaczek do ręki i wpatrywał się weń, jakby spodziewał się wyczytać na nim odpowiedź na moje pytanie.

- Miejmy nadzieję, że nie - rzekł. - Miejmy nadzieję, madame Tillmann.

Po chwili dodał:

- Może dać pani kroplę koniaku?

- Nie, dziękuję. Już mi lepiej.

Tak się zawsze mówi, gdy człowiekowi ziemia rozwiera się pod nogami i wraz z nim zdaje się lecieć w bezdenną ciemność. Doktor podszedł do mnie i poklepał mnie po ramieniu.

- Będzie pani musiała być dzielna - powiedział. - Zdenerwowaniem nie pomoże pani synowi.

- Naturalnie, panie profesorze. Wiem o tym.

- Widzi pani, nasz studencik nie jest głupi. Doskonale wie, co oznacza ta próba, i takie trzy dni nie będą łatwe. Ani dla niego, ani dla pani. Nie byłoby źle, gdyby można było w jakiś sposób oderwać od tego jego myśli. Pani robi wrażenie kobiety rozsądnej...

- Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

- Doskonale. A teraz musimy wracać do naszego pacjenta. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Po upływie kilku minut doktor powrócił wraz z Michałem, który niósł swoją marynarkę przewieszoną przez ramię. Kiedy zapinał guziczek mankietu u koszuli, zauważyłam dwa kawałki plastra na jego przedramieniu. Już czwarty raz w życiu poddano Michała próbie tuberkulinowej, a poprzednie trzy dały ujemny wynik.

- Jesteś gotów? - spytałam z uśmiechem tak martwym, że aż drżały mi kąciki ust.

- Gotów, o pani! - odparł Michał, uśmiechając się podobnie i wkładając swe ciemne okulary. - Będziesz mnie musiała prowadzić. Po atropinie mam zawsze wrażenie, że jestem popsutym aparatem fotograficznym: nie mogę zamknąć obiektywu.

- Świetnie. Panie Tillmann, niech się pan tym zanadto nie przejmuje. Proszę przyjść do mnie... powiedzmy - w poniedziałek o tej samej porze, dobrze?

Doktor widocznie zadzwonił, gdyż stara służąca wsunęła głowę w drzwi. Profesor wręczył jej znaczek Michała i powiedział, stojąc przy biurku:

- Następny, proszę.

- Do widzenia - rzekł Michał.

- Do widzenia. Do poniedziałku - powiedziałam. Doktor skłonił się sztywno.

- Moje uszanowanie, madame. Uszanowanie, panie Tillmann.



Był to staroświecki sposób pożegnania i nie wiem, czy zwykł go używać zawsze, czy można było po nim poznać ciężki przypadek wśród pacjentów.

- Co teraz zrobimy, Micki? - spytałam, gdy znaleźliśmy się na ulicy. - Czy mamy do poniedziałku objąć się po Frankfurcie, czy wracamy do Heidelbergu? Moglibyśmy jeszcze zdążyć na pociąg o piątej piętnaście.

- Powiem ci, co mamy zrobić, o ile chcesz być miła. Pojedziemy o piątej piętnaście, znajdę moje narty, posmaruję je dziś wieczorem, a jutro wczesnym rankiem pojedziemy w góry. Poproszę Annę Lizę, by ci pożyczyła swoich nart, jesteście prawie tego samego wzrostu. Zgoda?

- A może wolałbyś pojechać z Anną Lizą? Nie wiem, czy nie będzie ci nudno ze mną.

- Ach, nie, nie! Anna Liza jest może i zabawna, ale nie uważam, by jej towarzystwo było wymarzone dla człowieka, który przez siedemdziesiąt dwie godziny musi czekać, czy go załaskocze po zastrzyku tuberkulinowym, czy nie. Ostatecznie matka jest najlepszym przyjacielem człowieka.

Miałam świadomość, że mój syn może oślepnąć i wiedziałam, iż on również zdaje sobie z tego sprawę; uznałam, że najlepiej nie mówić o tym wcale.

Przez całą drogę na dworzec zaśmiewaliśmy się, a w czasie jazdy zachowywaliśmy się jak smarkacze na wakacjach. Stroiliśmy głupie żarty, uważając je za wyjątkowo dowcipne. Opowiadaliśmy sobie stare anegdoty, wymyślając im nowe, idiotyczne zakończenia. Gdy przedział wypełnił się ludźmi, Michał zaczął udawać, że wieziemy w walizce pytona - mówił żargonem używanym przez cyrkowych kłownów i twierdził, że jestem Zulejka, tancerka - wąż. Cały przedział brał udział w tej zabawie, a ja nigdy w życiu, ani przedtem, ani potem, nie czułam się tak nieszczęśliwa, jak podczas tej jazdy pociągiem.

Po powrocie do Neckarhofu jedliśmy obiad w sali restauracyjnej, grała orkiestra, a napis Jazz verboten wisiał spokojnie na swoim miejscu. Michał zamówił butelkę doskonałego wina mozelskiego z 1921 roku. Układaliśmy wspaniałe plany podróży samochodem przez Francję, dobrze wiedząc, że nigdy jej nie odbędziemy. Od czasu do czasu Michał dotykał swego rękawa w miejscu, gdzie dostał zastrzyk tuberkulinowy, a ja udawałam, że nie dostrzegam tego ruchu.

Potem poszliśmy do kina. Gdy wychodziliśmy po seansie, było już piętnaście po dziesiątej i rada byłam, że już sześć godzin z tych siedemdziesięciu dwóch udało się jakoś przeżyć. Wróciliśmy prosto do domu, gdzie oczekiwały już na nas wysmarowane narty, nastawiliśmy budzik na szóstą rano i powiedzieliśmy sobie dobranoc.

- Nie zapomnij zmierzyć temperatury - zawołałam słysząc, że Michał kręci się po łazience.

- Właśnie to robię - wybełkotał, ponieważ termometr przeszkadzał mu w ustach.

- Ile? - spytałam po upływie pięciu minut.

- Niedowidzę. Zobacz ty.

Podał mi termometr przez uchylone drzwi. Wskazywał 37 stopni i dwie kreski.

- Prawie normalna - rzekłam. - A teraz pozwól mi zasnąć, bo nie będę mogła wstać jutro rano.

- Dobranoc, Momy.

- Dobranoc, Micky.

- Dobranoc. Nie martw się.

- Wiesz przecież, że nie należę do tych, którzy się martwią.

- To dobrze... dobranoc.

Poczekalam chwilę, póki nie ucichły wszystkie odgłosy w jego pokoju. Zgasila światło i zaczęłam się modlić.

W modlitwach ludzi niewierzących jest coś z lekka nienormalnego, a zarazem godnego politowania. Dla człowieka prawdziwie pobożnego modlitwa jest uniesieniem i pociechą, ponieważ posiada on wiarę, a do Boga odnosi się jak do przyjaciela. Ludziom nie zastanawiającym się i nie mającym wątpliwości, którzy chodzą do kościoła, ponieważ tak czynili ich rodzice, daje ona poczucie spełnionego obowiązku, jak codzienne mycie zębów czy zmiana bielizny. Dla takich, którzy po prostu klepią swoje, którzy kręcą modlitewnym młynkiem lub polerują ziarnka różańca, modlitwa jest silnym narkotykiem, rodzajem pobożnego środka nasennego. Tańczącym derwiszom każdej religii modlitwa daje święty szal, wstrząsy i bezgraniczną ulgę, płynącą z poddania się i możliwości przenikania poza obręb rzeczywistości. Ale dla ludzi niewierzących modlitwa jest rodzajem walki, staczanej w ciemnościach nocy: jakby niewidzialna pięść waliła cię w kark i nie pozwalała uklęknąć.

Mój Boże! Nie możesz przecież do tego dopuścić! Nie możesz przecież zesłać takiego nieszczęścia na Michała! Nie zsyłaj go na moje dziecko, błagam cię, Boże, błagam cię! Wysłuchaj mnie, drogi Boże, jeżeli istnieje! Wiem, że cię nie ma, a jeśli jesteś, to prawdopodobnie los ludzki nic cię nie obchodzi, ale musi istnieć przecież jakiś ład, jakieś prawa, które rządzą wszystkim. Słuchaj więc, kimkolwiek i gdziekolwiek jesteś, posłuchaj, co Ci powiem: nie zsyłaj ślepoty na Michała, nie każ mu cierpieć i nie wtrącaj go w ten odmęt ciemności! Ofiarowuję Ci za to siebie, rezygnuję z siebie, czyn ze mną, co chcesz, ale ocal mi dziecko! Boże! Ześlij na mnie cios, poraż mnie któregokolwiek dnia, o jakiej chcesz godzinie, a nie będę się skarżyć. Nigdy nie prosiłam cię o łaski i nigdy o żadną prosić cię nie będę, tylko uczyn mi tę jedną, jedyną! Jeśli istnieje, Boże, powinieneś być dobry i sprawiedliwy, więc zechcesz mi pomóc. Dziękuję Ci, Boże,

ufam Ci teraz i oczekuję Twego wyroku. Ocal tylko Michała! Ocal Michała! Ocal Michała! Za oknem lśniła noc, pełna zimnej, księżycowej poświaty, odbitej od bieli śniegu. Usłyszałam, jak zegar na wieży uderzył dwa razy, po czym zapadłam w sen.

\* \* \*

W nocy padał śnieg i o świcie czarne ulice wyglądały jak obleczone w świeżą, czystą bieliznę. Przycichły wszelkie odgłosy, a drzewa stały nieruchome pod ciężarem okiści; od czasu do czasu tylko jakaś przygięta gałąź prostowała się nagle, wracając do pierwotnego położenia, gdy spadał z niej śnieg. Było jeszcze ciemno i zamiatacze ulic nie zaczęły jeszcze sprzątać śniegu. Ulice były puste i czarno - białe jak negatyw fotografii. Powietrze miało tę szczególną miękkość zimowego poranka po świeżo spadłym śniegu.

Zastanowiwszy się trzeba przyznać, że największą zaletą ludzi jest to, iż serca ludzkie posiadają nieograniczoną możliwość odczuwania szczęścia nawet wtedy, gdy zawisło nad nimi nieszczęście. Ten dzień należał do nas i potrafiliśmy go wykorzystać; nie było to przecież ani posepne wczoraj, ani niepewne jutro. Dzień dzisiejszy był cudownym dniem dzisiejszym, a nas przejęła taka rozkoszna radość życia, że po prostu nie mogła się prawie pomieścić w piersi.

Wszystko zaczęło się od wypicia wrzącego, spienionego mleka w małej kawiarence naprzeciw dworca, a radość wzrastała w nas w miarę rozjaśniania się dnia. Mała kolejka pełna była rozradowanych twarzy, chciwie wpatrzonych w śnieg. Mój stary kostium narciarski załatywał naftaliną, gdyż od kiedy Michał opuścił Amerykę, nie miałam go na sobie ani razu. Pocierałam brodą o kołnierz wyczuwając szorstkość materiału niby niezgrabną pieszczotę i cieszyłam się, iż znowu razem z synem będę jeździć na nartach. Ktoś zagrał na organkach, jakaś dziewczyna zaczęła akompaniować na

gitarze i po chwili wszyscy w wagonie śpiewali. Stłoczeni jedni na drugich śpiewaliśmy piosenki śpiewane na całym świecie przez narciarzy i przez chwilę wszystkim udało się zapomnieć o tym, że żyjemy w kraju ogarniętym histerią.

Wysiedliśmy na maleńkiej stacyjce, by z kolei napakować się do czekającego na nas autobusu, który niebawem ruszył w las, pod górę. Krajobraz przypominał mi jakąś znajomą okolicę i nagle serce mi się ścisnęło, gdyż poznałam drogę, którą niegdyś odprowadzałam Waltera Brandta na kolej, kiedy odjeżdżał na wojnę.

Słońce zajaśniało, gdyśmy przybyli na miejsce, a mróz szczypał rześko. Śnieg grał różnymi kolorami, jakby jakiś niedbały malarz rozlał nań miseczki z farbami. Miejsce jednak dawnej oberży „Pod Rajem” zajmował obecnie wielki hotel.

Nigdy człowiek wyraźniej i bardziej bezpośrednio nie odczuwa radości życia niż jeżdżąc na nartach. Jazda ma w sobie coś z tańca, z lotu i z walki; człowiek czuje się szczęśliwy, upojony pędem, wyzwolony spod prawa ciężkości. Otacza go rozległy widok gór, radośnie mknie po zakrętach, w żyłach szumi mu krew, a czyste powietrze napętnia płuca.

Ciekawa jestem, czy ptak po długim locie również czuje ból w krzyżu? Tego wieczoru tak mnie wszystko bolało, jakbym przez cały dzień machała skrzydłami. Uda i łydki drżały mi ze zmęczenia, skóra na twarzy paliła, wargi popękały, dzwoniło mi w uszach i byłam po prostu pijana śniegiem, słońcem i świeżością powietrza. Gorący natrysk działałby cuda, ale w hotelu nie było podobnie zbytkownych urządzeń; usiedliśmy tedy w hallu, grzejąc w tygielku przy wielkim kominie wino zaprawione korzeniami. Do obiadu wszyscy zasiedli przy wielkim wspólnym, dębowym stole, pochłaniając gęstą zupę z łuskanego grochu - najlepszy posiłek po dniu spędzonym na śniegu. I wtedy spoza mego

krzesła wynurzyła się zjawia starej damy, szepcząc mi w ucho: „Niech pani nie zapomni: złoto i groch łuskany! Złoto i groch łuskany!!!”

- Następnym razem lepiej się urządź - szepnęłam.

- Co takiego? - spytał ze zdumieniem Michał.

- Następnym razem, gdy znowu będzie wojna, zrobię zapas łuskanego grochu - powiedziałam.

Spojrzałam na niego przez stół. Zdjął okulary i patrzył na mnie ze zdziwieniem. Miał zbyt długie rzęsy i twarz błyszczącą od tłustego kremu. Jego widok rozczulił mnie głęboko. Jakże chętnie pogłaskałabym go po głowie, pocałowała lub wzięła jak małe dziecko na kolana. Ale tego rodzaju objawy miłości macierzyńskiej były wykluczone między nami. Przyjmował swój los jak mężczyzna, choć w głębi duszy był jeszcze zupełnym dzieckiem. Odłożyłam widelec i poprzez stół uścisnęłam jego rękę.

- Serwus, Micki...

- Serwus, madame. No co? Dobra zabawa?

- Pyszna! - odparłam, wpadając w jego ton.

- Ja też uważam, że pyszna. Tak miłego dnia nie miałem już od dawna.

- Dziękuję ci, Micki. Dziękuję, syneczku! Niczego więcej nie pragnę, mówiłam sobie w duchu. Śpiewaliśmy wraz z innymi, stukając szklankami w stół, we wspólnym kole ujmowaliśmy na krzyż czyjeś ręce, bawiliśmy się w głupie, dziecinne gry, i tańczyliśmy w ciężkich narciarskich butach. Na koniec udaliśmy się na górę, do naszych pokoików, i wtedy wydobyłam z walizki małą pochewkę z czerwonej skóry, zawierającą termometr.

- Jeśli nawet mam lekko podwyższoną temperaturę, to nie świadczy to o niczym. Wzniesienie... wysiłek... wiadomo przecież - mruknął Michał.

- Tak, panie profesorze. A teraz proszę wsunąć termometr pod język i nic nie mówić przez chwilę. A plaster zostaw w spokoju!

- Rozkaz, pani Sprague! - odparł, spuszcżając rękaw swojej piżamy.

Miał równo 37 stopni. Normalnie.

- Włóż jeszcze na minutkę! - poprosiłam. Termometr wciąż wskazywał 37. Chwała Bogu! Dzięki Ci,

Boże! Był to więc widocznie fałszywy alarm; mimo to z głębi serca dziękuję Ci, dobry Boże!

- Śpij smacznie, Micki!

- Już zasypiam. Dobranoc.

Rozebrałam się i położyłam do łóżka. Drzwi łączące nasze pokoje pozostały otwarte, gdyż nie dały się zamknąć. Łóżko było twarde, a ciężki koc posiadał wzór jakby stworzony do tego, by śpiącemu pod nim zwidywały się we śnie koszmary. Byłam zmęczona, połamana, obolała i... szczęśliwa. Tak, szczęśliwa. I ufna. Dlaczego ufna? No, bo po prostu ufna.

- Czy twoje łóżko jest równie niewygodne jak moje? - spytał Michał rozspanym głosem, słyszając jak pode mną trzeszczą sprężyny.

- Nie wiem, jak dalece niewygodne jest twoje. Ci Niemcy genialnie potrafią utrudniać życie.

- Bo właśnie tak być powinno. Trzeba przywykać do niewygody, by się zahartować i umieć ją znosić w razie potrzeby. Wy, Amerykanie, jesteście przerafinowani i rozpieszczeni. Staracie się wciąż o podniesienie stopy życiowej, która i tak jest bardzo wysoka. Zrobiliście z niej złotego cielca.

- Nie lubię, gdy mówisz: wy, Amerykanie. Nie zapominaj, że sam jesteś Amerykaninem.

- Ja jestem Niemcem. Zawsze pozostanę Niemcem. Gdy skończę dwadzieścia jeden lat i będę mógł wybrać obywatelstwo, zrobię to.

- Jestem teraz zanadto śpiąca, by wysłuchiwać twych poglądów na świat, Micki. Dobranoc.

- Gdy pewnego dnia Niemcy i Anglia podadzą sobie ręce, wtedy Ameryka ocknie się i otworzy szeroko oczy! Będzie wówczas sama, nieporadna i osłabiona. Przyjdą kłopoty, którym Ameryka nie potrafi sprostać.

- Napisz o tym do naszych senatorów!

Przez dłuższy czas panowała cisza i myślałam, że zasnął. Ale wtem skrzypnęło jego łóżko, jakby usiadł nagle, i znowu w ciemności rozległ się jego głos:

- Mony, śpisz?

- Nie, nie śpię.

- Zmieniłem zamiar, Mony. Co do Anny Lizy.

- Naprawdę?

- Tak. Byliśmy... można powiedzieć - zaręczeni. Ale nie ożenię się z nią. Czy wspominałem ci o naszych zaręczynach? Cóż teraz to już skończone. W każdym razie myślę, że... że to było trochę dziecinne. W ostatnich tygodniach bardzo się co do niej rozczarowałem. Ona jest jednak dość ograniczona. Ale ładna. Czy i ty uważasz, że jest ładna, Mony?

- O tak! Bardzo ładna.

- Tak, ładna. Bardzo chciałbym, żeby moja żona była ładna... nawet, gdyby stan moich oczu się pogorszył i nie mógłbym jej widzieć wyraźnie. Ale Anna Liza nie byłaby odpowiednia dla człowieka... dla człowieka, który niedowidzi, bo wiesz, w człowieku cierpiącym na oczy wyrabia się zupełnie inne poczucie piękna. Staje się dziwnie subtelny i przewrażliwiony, kiedy traci wzrok, na brzmienie głosu na przykład, na to co ludzie mówią, na sposób, w jaki wchodzą do pokoju. Anna Liza... jest niemuzykalna... jeśli rozumiesz,



co chcę przez to powiedzieć. Kiedyśmy się sprzeciali, to ledwie rozróżniałem jej twarz, ale za to krzyczała bardzo głośno i nie mogła w żaden sposób zrozumieć, co przechodziłem. Zupełnie jakby była z drewna. Mój Boże, takie właśnie robiła na mnie wrażenie, albo jakby drzwi skrzypiały, a to może człowieka doprowadzić do szaleństwa!

- Nie stracisz wzroku, Micki. Możesz mi wierzyć. Odpoczniesz sobie parę tygodni, wyleczysz się i będziesz miał oczy jak nowe.

Przez chwilę nie było odpowiedzi, a po chwili Michał zmienił temat.

- Muszę ci coś zabawnego opowiedzieć o Hansie Streicie. Któregoś dnia rozmawialiśmy długo, oczywiście, tak długo, jak mu pozwalają; jest ciągle jeszcze w marnym stanie, ale mam nadzieję, że niedługo niebezpieczeństwo będzie całkowicie zażegnane. A więc wypytywał mnie, czy mój ojciec nie mógłby mu pomóc wyjechać do Nowego Jorku i ewentualnie znaleźć mu jakiejś posady. Miał oczywiście na myśli Johna. Jak myślisz? Czy John mógłby to zrobić? Hans jest porządnym chłopcem, a poza tym mam wobec niego... większe zobowiązanie niż potrafię kiedykolwiek wyrównać. Ale powiedz, czy to nie zabawne? Powiada, że chciałby zobaczyć, jak wygląda świat poza granicami Niemiec. Przeżył widocznie straszny wstrząs i mocny kryzys, ale czy przysłoby ci kiedyś do głowy, że Hans będzie chciał uciekać z własnego kraju, i to teraz, kiedy może zostać oficerem?

Przede wszystkim przyszło mi do głowy, iż życie tych wszystkich młodych ludzi, wyrwanych z korzeniami z rodzinnej gleby, poplątało się jak motek przędzy. Johnny, potomek starej amerykańskiej rodziny, brata się w Madrycie z komunistami, stawiając czoło atakom faszystowskich samolotów. Marcin, mój młody, stuprocentowy Niemiec, przeistacza się do gruntu w Amerykanina. Hans, niemiecki

żołnierz, zrażony do ojczyzny, chce ją opuścić. I wreszcie Michał, mój dzielny półkrwi Żyd z jasnymi włosami, czepia się uparcie narodowego socjalizmu, ani myśląc popuścić chwytu!

Łóżko skrzypnęło, a potem Michał roześmiał się nagle.

- Może moglibyśmy założyć spółkę z Hansem - rzekł. - Ja kręciłbym korbką katarynki, a on tresowałby małpkę. A może będziemy razem sprzedawać gardenie u zbiegu Pięćdziesiątej Drugiej i Szóstej. Będziemy stanowić dobraną parę: on, ze swymi połatanymi płucami, i ja, bez oczu. Ślepiec i paralytyk. Prawda, że tak ich nazywają w Biblii?

- Słuchaj, już najwyższa pora spać i przestać gadać głupstwa! Ostatnie jego słowa przypomniały mi Manfreda Halbana i jego mentalność - sceptyczną, zgorzkniałą i destrukcyjną.

- Dobranoc, Mony - mruknął Michał. - Mam nadzieję, że jutro pogoda dopisze. Dzisiaj było cudownie.

Nazajutrz rano temperatura podniosła mu się z lekka na 37,3 prawie 37,4.

- To nie ma żadnego znaczenia - utrzymywał. - Skutki porażenia słonecznego. Cała twarz tak mnie szczypie, że nie mogę się nawet ogolić.

Ja również czułam porażenie słoneczne. Poszłam do swojego pokoju, zamknęłam drzwi przystawiając do nich fotel, i po cichu zmierzyłam sobie temperaturę. Miałam również nieco podwyższoną: 37,2. Włożyłam termometr do pochewki i zaczęłam śpiewać.

Pogoda była piękna. O drugiej po południu zaczęła się jednak zmieniać. Nieskończone stada szaroburych chmur szybko rozlały się po błękitnie nieba. Zmienił się kierunek wiatru, zaczął padać najpierw mokry śnieg, a potem deszcz. Śnieg pod nartami zrobił się gąbczasty. Gdyśmy powrócili do hotelu, pełno tu było narciarzy wyrzekających głośno, zapachu

wilgotnych ubrań i pasty do butów, i panowała atmosfera ogólnej nudy i zdenerwowania. Michał zdjął okulary i wpatrywał się w grupę ludzi, próbując znaleźć coś w radiu.

- Zimno mi - rzekł. - Gdy się człowiek nie rusza, to jest zimno.

- Może chcesz grzanego wina?

- Też pomysł! Grzane wino! Grzane wino o drugiej po południu. Nie, dziękuję.

- Może filiżankę gorącej czekolady albo gorącego mleka?

- Nie, dziękuję - odparł posepnie. - Chciałbym jedynie rozebrać się i położyć, żeby się rozgrzać.

- Czemuż nie miałbyś tego zrobić? Mnie też zimno i czuję się zmęczona.

W naszych pokojach było zimno, ale ciężkie pierzyny wyglądały zachęcająco. Michał zamknął u siebie okiennice, stwarzając sobie sztuczną noc. Zagrzałam się w łóżku, a deszcz wybijał senny takt na daszku okna. Zdrzemnąłam się, sama nie wiedząc kiedy, i nagle zbudził mnie głos Michała.

- Matko! - wołał. - Matko...

Rzuciłam okiem na zegarek na ręku. Była zaledwie czwarta. Na dworze było prawie zupełnie ciemno. Zapaliłam światło.

- Matko - wołał Michał.

Było to dziwne, natarczywe wezwanie. Nigdy nie mówił do mnie „matko”, chyba w żartach albo w chwilach wielkiej rozpacz. Zarzuciwszy suknię na pizamę pobiegłam do jego pokoju. Tutaj również paliło się światło, a Michał siedział w łóżku wpatrując się we mnie swymi chorymi oczami, jak gdyby mnie nie widział. - Co się stało, Michale? - spytałam przestraszona.

- Chodź do mnie, matko. Usiądź tutaj. - Dobrze, Micki, ale o co chodzi? Jesteś chory?

- Nie potrzeba było siedemdziesięciu dwóch godzin. Nie musimy czekać tak długo.

Spojrzałam badawczo w jego twarz. Skinął głową i uśmiechnął się. Mam wrażenie, że ja uśmiechnęłam się również; widocznie ludzie uśmiechają się w takich momentach. Odwinął rękaw piżamy i wyciągnął do mnie swoje przedramię. Było ono jeszcze chłopięco szczupłe, pokryte jasnym puchem i widać było na nim ślady po zdjętym plastrze. Widoczne było również małe podrażnienie na skórze, nie większe od monety półdolarowej i niewiele różniące się od bąbla spowodowanego ucięciem komara.

- To wszystko? - spytałam jak idiotka.

- Tak. To wszystko. Wyrok. Tuberculosis.

- To jednak o niczym nie przesądza! Wyzdrowiejesz, Micki. Lekarze w dzisiejszych czasach mają przecież rozległą wiedzę. Znajdziemy dobrego specjalistę, polepszy ci się, nie zanedbamy choroby, zwalczymy ją i będziesz znowu zdrowy.

- Oczywiście. Wyzdrowieję, będę zdrow. Ale pozostań przy mnie. Wszystko będzie dobrze. Zgaś tylko teraz światło, proszę. Razi mnie bardzo. Dziękuję.

Pochwycił w ciemnościach moją rękę i ścisnął z całej siły. Jego ręka była sucha i rozpalona i starałam się ją trzymać jak najmocniej. Był to zupełnie ten sam chwyt co wówczas, kiedy zmieniałam rannym opatrunki, a zabrakło morfiny.

Po chwili poczęły nim wstrząsać dreszcze, aż łóżko trzeszczało od wstrząsów i podrzutów jego ciała.

- Nic, nic. To tylko lekkie gorączkowe dreszcze.

Nie przestawał ścisnąć mojej ręki, więc drugą, zwiniętą w kułak, przysunęłam do jego ust. Zatopił w niej zęby, jak w dzieciństwie, kiedy robiono mu zastrzyk, bolały popuchnięte gruczoły lub zjawiały się nieznośne bóle ucha, na które cierpiał. Zęby jego jak śruba ścisnęły stawy mych palców i drżał dalej. Powoli drzenie zaczęło ustawać i poczułam, że

następuje w nim odprężenie. Deszcz stukał w okiennice, czyjeś kroki ciężko rozległy się na schodach, z parteru dobiegał dźwięk naczyń i zadźwięczały struny gitary.

- Całuj psa w nos - z rozpaczliwym humorem rzekł Michał.

- Już ci przeszło. Będziemy razem zwalczać chorobę. Wyzdrowiejesz wkrótce.

- Zabawne. Widzę teraz cudowne kolory... o wiele piękniejsze niż w rzeczywistości.

Ujął znowu moją rękę i stanowiliśmy jakby dwa mocne ogniwa żelaznego łańcucha. Czas biegł. Słyszałam szybkie tykanie mojego zegarka. Usiłowałam wyrównać swój oddech i dostosować go do oddechu Michała, skupiając równocześnie całą siebie w tych kilku centymetrach powierzchni zetknięcia naszych rąk i w ten sposób przelać w niego, do ostatniej kropli, całą siłę, ufność i nadzieję, krążące w mojej krwi. Niemal tak samo karmiłam go kiedyś swoją piersią.

Nie mam pojęcia, jak długo pozostawaliśmy tak stopieni w jedno, ale po pewnym czasie Michał puścił moją rękę i zaczął oddychać tak równo, iż sądziłam, że zasnął. Usłyszałam na dole warkot motoru odjeżdżającego auta, okrzyki odjeżdżających narciarzy, potem wszystko ucichło, tylko krople deszczu stukały miarowo i tykał zegarek na mojej ręce.

Ramię ścierpło mi zupełnie, a dłoń, jak ołowiana, była bezwładna i zimna. Poruszyłam się z lekka, ale w tej samej chwili poczułam, że palce Michała splatają się na niej z powrotem.

- Nie odchodź, matko. Jesteś mi bardzo potrzebna.

W ciągu tych wszystkich strasznych miesięcy nieustannej trwogi, które potem przeżyliśmy, był to jeden, jedyny raz, kiedy wezwał mojej pomocy. Nigdy później nie usłyszałam z jego ust ani jednej skargi, ani jednego okrzyku zniecierpliwienia i nie ujrzałam ani jednej łzy, ani śladu

rozczenia się nad własnym losem. Był uosobieniem opanowania i młodej, nieustępliwej tężyzny duchowej. Micki, mój mały, dzielny synku! Jestem z ciebie naprawdę dumna!

## ROZDZIAŁ IV

Gdy skurczona w swojej szczelinie Marion rozmyślała, paliła papierosy i nasłuchiwała, spłynęło na nią nagłe światło.

Tak, mój Boże, pomyślała, zapomniałam, rozmyślnie zapomniałam o owej nocy, kiedy zanosiałam do Ciebie swoją błagalną prośbę. Nie myślałam nawet, iż kiedyś zjawisz się, punktualnie jak poborca podatków, i przedstawiś mi rachunek do wyrównania. Ale nie protestuję; masz wszelkie prawa po temu. Ofiarowałam ci kiedyś moje życie w zamian za przywrócenie wzroku Michałowi i przysięgałam nie uchylać się, gdy przyjdzie chwila, że go zażadasz. Wszystko w porządku; dotrzymuję słowa i nie będę się buntować. Jestem gotowa, Panie Boże. Nie przypuszczałam tylko nigdy, że okażesz się tak wyrachowany jak mój ojciec, i dlatego dziwię się, że potrafisz być tak dalece punktualny.

Jeżeli jednak ma to być wyrównaniem rachunku za oczy Michała, to przyznaję: ja sama zaproponowałam zamianę. Jakkolwiek jesteś tak surowy i dokładny, drogi Boże, i tak okazujesz mi swą wspaniałomyślność. Mogłeś przecież skazać mnie na śmierć na skutek raka czy innej wstrętnej choroby, a przecie powiadają, że zamarzenie jest najłżejszym sposobem umierania! Podobno miłsze to niż zapadnięcie w sen i snucie marzeń sennych. Ludzie mówią, że słyszy się wtedy muzykę i ma cudowne uczucie zupełnego spokoju. Dziękuję Ci tedy pokornie za ułatwienie mi tych ostatnich chwil.

Jest to więc ostatnie piwo, jakiego sobie nawarzyłam; trzeba je teraz wypić. Uważam, że to zabawna historia - nie mogę się powstrzymać od stwierdzenia tego, Panie Boże! - najzabawniejsza, jaka przytrafiła mi się w życiu. Mam nadzieję, że wobec innych śmiertelników okażesz się sędzią równie sprawiedliwym i od wielkich grzeszników zażadasz także zdania rachunków tak jak dziś ode mnie za moje drobne przewinienie. Czuję, że położyłeś mnie na szali i robisz teraz

bilans. Jak wypadnie nasz rozrachunek przy ostatecznym bilansie?

A teraz powiem Ci coś jeszcze, Panie Boże: kiedy mnie już nie będzie, zaopiekuj się Michałem. Nie lubię pozostawiać po sobie niedokończonej pracy i denerwowało mnie zawsze, gdy musiałam odłożyć zabawkę przed jej ukończeniem. Dzisiaj nie zdążyłam wykończyć Nerona, a i Michał jest jeszcze ciągle tylko zarysem człowieka. Widzę typ mogący się wyłonić z tego zarysu, typ dodatni, może nawet szczęśliwy w życiu, i sędzę, iż rozmaite składniki jego krwi zrobią z niego rozumnego, ludzkiego człowieka. Sędzę również, że choroba i walka z nią wyzwoliły go z wielu wad i że w jego naturze powstanie dobre połączenie cech Europy i Ameryki. Wiesz, jakim dziwnym stworzeniem byłam przez całe życie. Chętnie byłabym świadkiem dalszego rozwoju Michała, tak chętnie ujrzałabym go żonatym i piastowałabym kiedyś moje wnuki. Jak wszyscy ludzie od Adama i Ewy ja również mam nadzieję, że moje wnuki będą lepsze od nas i nie będą musiały walczyć z tym wszystkim, z czym nam kazało walczyć życie.

Jestem gotowa wypełnić teraz warunek naszej umowy, Panie Boże, i proszę Cię tylko o wypełnienie Twoich zobowiązań. Rachunki nasze wyrównane. Amen.

\*

- A więc to jest Wiedeń? - spytał Michał, patrząc z nateżeniem przez swoje ciemne okulary. Wpatrywał się teraz we wszystko z takim wysiłkiem, że na twarzy, jak ustawicznie noszona maska, osiadł mu grymas nateżenia. Widział jeszcze trochę, ale już koło ust począł mu się zarysowywać błagalny wyraz jak u ludzi niewidomych. Kupiłam mu laskę z rączką z kości słoniowej, którą starał się posługiwać jak najbardziej nonszalancko, co bardziej ścisnęło mi serce niż gdyby otwarcie macał nią przed sobą drogę w świecie, który z



każdym dniem usuwał się bardziej w cień przed jego wzrokiem.

- Tak... Wiedeń - odparłam trochę zawstydzona, gdyż doprawdy nie było powodu chełpić się widokiem roztaczającym się przed nami.

- Według tego, co opowiadałaś, oczekiwałem czegoś innego - rzekł Michał.

- Ja również - przyznałam. - Ale w lutym nigdzie nie wygląda pięknie...

- Mówiłaś, że tutaj pachnie fiołkami, a ja czuję spleśniałe pomyje - ciągnął dalej Michał, węsząc dokoła.

Od czasu, gdy zaczął tracić wzrok, zaostrzył mu się niesłychanie zmysł powonienia, a tutaj bezsprzecznie aż buchało zapachem smażonej cebuli i zjełczałego tłuszczu ze wszystkich jadłodajni. Ulicami przesuwały się tłumy ludzi pod czarnymi parasolami, ociekającymi wodą. Wszystko miało smutny, zmęczony wygląd: domy, ludzie, ich odzież, obuwie, nawet kroki i wyraz twarzy. Wyszliśmy od doktora Konrada i na rogu ciemnej, pustej uliczki czekaliśmy, czy nie uda się złapać taksówki. Wszystkie jednak, z rzadka przejeżdżające tędy, były zajęte. Od chwili przyjazdu musiałam wciąż borykać się z dziwnym wrażeniem, że znam tu każdy kamień, każdy hałas i każdy zapach tego miasta jak własną kieszeń, a mimo to czuję się obco i nie mogę się rozeznąć w tym wszystkim. Możliwe, że gdybym przyjechała tutaj dla przyjemności, byłabym prawdopodobnie zaznała wzruszeń natury sentymentalnej. Obecnie jednak jedynym moim dążeniem było wszystko, co dotyczyło Michała: jego wzrok, jego przyszłość, jego życie.

- Niech pani posłucha, pani Tillmann - powiedział mi profesor Lanzhof - mógłbym po prostu umyć ręce albo wysłać naszego studencika do sanatorium w Odenwaldzie i czekać, co z tego wyniknie. Mógłbym pani polecić wywieźć go do Arosy,

by zobaczyć, co tam z nim zrobią asy z kliniki Mayo. Ale jeśli chce pani posłuchać mego zdania, to radziłbym najpierw pojechać do Wiednia i zasięgnąć rady doktora Kohna. Ten człowiek całe swe życie strawił nad badaniem gruźlicy oczu. Jest prawdziwym geniuszem w beznadziejnych przypadkach; ten cholerny Żydziak kilka razy dokonał po prostu cudów. Kohn, Artur Kohn, to znaczy obecnie doktor Konrad, odkąd wyrzucono go z uniwersytetu i w ogóle z Niemiec. Nie znam oczywiście jego adresu, ale czytuję jego artykuły w różnych pismach. Zdaje się, iż osiąga fenomenalne wyniki dzięki swemu wynalazkowi, proteinie, którą nazwał... aha - tubokolina 287. Jest to coś w rodzaju leku starego Kocha, tylko... jak by to powiedzieć... jest to bardziej dynamiczny środek. Pani rozumie, lek jest jeszcze w stadium eksperymentalnym i w pewnych wypadkach nie tylko nie skutkuje, ale może nawet pogorszyć stan pacjenta. Za to jeśli się uda, wyświadcza olbrzymie dobrodziejstwo i doprawdy warto zaryzykować. Radzę - jedźcie do Wiednia. I proszę mi przysłać od czasu do czasu kartkę z biuletynem o stanie zdrowia naszego pacjenta. Szczęśliwej drogi, madame Tillmann. Uszanowanie. Najniższe uszanowanie.

Nastąpiła oszałamiająca wymiana depesz z Johnem w Nowym Jorku. On również zgadzał się z tym, że należy zasięgnąć porady doktora Konrada i pozostać jeszcze przez pewien czas w Europie, i równocześnie przesłał mi przekaz na pieniądze potrzebne na tę wyprawę. Nie troszczyłam się nigdy zbyt wiele o kwestie pieniężne (chyba że nie miałam w danej chwili ani grosza), ale teraz, po raz pierwszy w życiu, czułam wdzięczność dla losu, iż mam za co kupić zdrowie dla mego dziecka. Zadzwoiłam do Klary do Wiednia i ona zamówiła nam wizytę u doktora Konrada, po czym pewnego szkaradnego wieczoru w lutym przyjechaliśmy do tego miasta, którego nie widziałam od dwudziestu pięciu lat. Zapomniałam

już o ulicach, po których hulał wiatr, o nędznym wyglądzie taksówek i o rękach zewsząd wyciągniętych chciwie po napiwek. Zajechaliśmy do pewnego eleganckiego hotelu na Ringu, gdzie przed wieloma laty spędziłam cały wieczór z głupim rewolwerem, nie chcąc wypalić w odpowiednim momencie.

- Wiesz, kiedyś, jako smarkata, chciałam w tym hotelu popełnić samobójstwo - rzekłam do Michała, bez ustanku krążącego po pokoju i palcami obmacującego kontury mebli i drobiazgi na stole, by się z nimi zapoznać.

- No i co, popełniłaś je? - zapytał z właściwym sobie humorem.

- Nie. Nie byłoby zresztą warto. W ogóle nie warto poddawać się przygnębieniu.

- Mony! Do mnie nie musisz wygłaszać przemówień podnoszących na duchu - odparł. - Nie jestem tchórzem i nie poddaję się przygnębieniu. Zrozumiano?

- Zrozumiano. Jedyną ważną rzeczą jest nigdy nie tracić równowagi ducha.

- Ja jej nie stracę, o ile ty jej nie stracisz.

W ten sposób zawarliśmy układ, którego potem dotrzymywaliśmy lojalnie, prawda, Micki?

Podczas pierwszej wizyty doktor Konrad zrobił na nas obojgu bardzo niemiłe wrażenie i zauważyłam, że za każdym jego zbliżeniem Michał cofa się i kurczy instynktownie.

- Jeżeli zmienił nazwisko, to równocześnie powinien był zmienić swój nos - powiedział Michał z rozgoryczeniem.

Doktor Konrad był chudym, z lekka zgarbionym człowiekiem w nieokreślonym wieku. Wyglądał tak, jakby odziedziczył wszystkie cechy rasowe żydowskich karykatur z faszystowskich afiszy. Palce miał poplamione nikotyną, co u lekarza stanowiło widok odrażający; był wyjątkowym krótkowidzem i rozmawiając z kimś wchodził po prostu na niego,

ziejąc mu prosto w twarz mieszaniną niezbyt przyjemnych zapachów; czuć go było tytoniem, odgrzewanymi potrawami, mydłem dezynfekcyjnym i, dla złagodzenia, wodą kolońską, którą skrapiał swą chustkę do nosa.

- Po prostu zatruwa powietrze - mawiał o nim Michał. - Ostatecznie jest mi to obojętne, skoro tylko bada moje oczy, ale przy każdej wizycie mam wrażenie, że przeżywam atak gazowy.

Doktor miał, prócz tego wszystkiego, obrzydliwy zwyczaj wciągania powietrza przez zęby, i wadę wymowy, wskutek której litera „r” brzmiała u niego jak „w”. Trudno też niesłychanie było się z nim dogadać.

- Ha, ha! - mówił. - O! O! Hm... Tak. Nie... Ach, tak! No, dobrze. To już lepiej.

Był to cały jego sposób stawiania diagnozy. Poza tym miał zwyczaj nie kończyć zdań, pozostawiając je niejako w zawieszeniu, co strasznie męczyło.

- Kto powiedział, że pani syn dostanie... Tatata! Leczyłem już straszniejsze wypadki niż... O! O! Pani ma zaufanie... Proszę go już mnie pozostawić, nie... Dobrze. Wymagam zaufania i bezwzględного posłuszeństwa. Bezwzględного. Tak? Hm! Jak długo?... Proszę o nic nie pytać, bo i tak nic nie powiem... O nie! Sześć miesięcy, dwa lata, pięć... Bardzo ciężka praca, ale... Co takiego? Aha! Świetnie! No więc? Dobrze!

A jednak po kilku wizytach zaczęłam przywykać do niego i nabierać zaufania. Pewnego dnia przesunął sobie okulary na czoło i przez moment widziałam jego oczy. Były to duże, ciemne oczy, przejrzyste, wspaniałe, zmęczone, dobrotliwe oczy, patrzące z bezbrzeżnym smutkiem spod ciężkich, pomarszczonych jak u małpy powiek. Przypuszczam, że to właśnie te oczy pozwoliły mi nabrać do niego zaufania.

Powoli i Michał zaczął wyzbywać się uprzedzeń - pod wpływem napawającej go otuchą pewności siebie i przekonaniu samego lekarza o możliwości dokonania cudownej kuracji. Poczulałam ogromną ulgę, gdy mi oświadczył, że przez pewien czas gotów jest poddawać się wszelkim doświadczeniom. Położono go tedy do łóżka, karmiono ściśle według wskazówek, wyprowadzano na przechadzkę niby pieska na smyczy i z powrotem kładziono do łóżka. Doktor Konrad zalecił mu pozostanie w Wiedniu przez pierwsze dwa tygodnie kuracji. Te dwa tygodnie ubiegły na badaniach, próbach, zastrzykach. Rządził tym wszystkim bardzo surowy rygor, który absorbował Michała tak, jak chorych zajmuje zawsze reżim ich kuracji, stając się dla nich z czasem namiastką prawdziwego życia, którego pozbawiła ich choroba. Po kilku dniach chłopiec niecierpliwie zaczął oczekiwać każdej następnej wizyty u lekarza. Konrad miał specjalny zmysł humoru, który Michałowi bardzo przypadł do gustu. Nie patrzył na przykład na ludzi jako takich i nie mówił o nich nigdy jak o ludziach. Widział w nich tylko objawy patologiczne. Jedną z najpiękniejszych, najbardziej podziwianych wiedeńskich aktorek nie nazywał nigdy inaczej, jak „lekkim przypadkiem zębów Hutschinsona”; profesor Lanzhof był dla niego „pięknym przypadkiem dość posuniętej choroby Brighta”, a Flori Rieger, odwożący nas najczęściej do doktora swoim autem - „ślicznym okazem żołądkowo - kiszkiowej hipertrofii”. Michał zachwycał się tymi fachowymi określeniami i wszystko było na najlepszej drodze.

Florian Rieger był człowiekiem, którego Klara nazywała swoim mężem, jakkolwiek naprawdę nie byli poślubieni. Był to gentleman szczupły i elegancki, bardzo powściągliwy i przypominający mi nieco romantycznego wuja Teodora, tego, który kiedyś trzymał orła w klatce. Wszystko we Florim było wąskie: i twarz, i ramiona, i ręce, i stopy, a nawet umysł w

pewnych punktach. Włosy miał nie tyle szpakowate, co przyprószone siwizną. Jego miłość do Austrii była chwilami aż niesmaczna, podobnie jak niesmaczna byłaby miłość zakochanego mężczyzny zbyt wychwalającego ukryte wdzięki swej żony. Potrafił doprowadzić mnie do szału zniecierpliwienia, zatrzymując auto i zapuszczając się w wykład pełen nieprzytomnego zachwyty nad jakimś detalem architektonicznym.

- Czy to nie cudowne, Marion? - wykrzykiwał Florian, głosem drżącym ze wzruszenia, z oczami pełnymi zachwyty. - Niech pani tylko popatrzy. Proszę łaskawie spojrzeć teraz na to. Musi pani przyznać, że to nieporównane, mimo że gust pani jest spaczony na skutek patrzenia na amerykańskie drapacze chmur.

- Tak, Flori, wspaniale, ale nie widział pan sylwetki Manhattanu o zachodzie słońca. I pozwalam sobie również zwrócić panu uwagę, że już jesteśmy spóźnieni o dziesięć minut na umówioną wizytę.

Flori wzdychając włączał biegi swojej maszyny.

- Już, już. Pani wciąż się spieszy. Na nic nie ma czasu: ani na jedzenie, ani na korzystanie z życia. Prawdziwa Amerykanka!

Florian Rieger nie mógł ożenić się z Klarą z powodów bardzo austriackich i bardzo katolickich. Zależało to od papieża, a ten wzbraniał się unieważnić jego pierwsze małżeństwo i w ten sposób umożliwić mu zawarcie drugiego związku. Powoli dowiedziałam się, że żona Floriego zwariowała i wegetowała w jakimś zakładzie, gdzie Flori skrupulatnie odwiedzał ją w każdą środę, zanosząc jej kwiaty i cukierki. Zjadała ona cukierki i rozsypywała kwiaty, absolutnie nie poznając Floriego. Tymczasem on i Klara żyli ze sobą jak mąż z żoną. Klara zrezygnowała z tańca i oddała się wychowywaniu Renaty, córki Floriego.

- Czy nie uważasz, że dobrze byłoby być tak głęboko przywiązana do wiary katolickiej jak Flori? - wzdychała czasem Klara. - Wyobraź sobie tylko, jak to musi być zabawne uważać za grzech własne uczucia, a żywienie ich za upadek moralny! Wiesz, co ci powiem, dziecinko? My obie mamy zbyt wyrobiony intelekt, a to pozbawia człowieka całego smaku życia.

- Ty przynajmniej nie stałaś się osobą tak szanowaną jak ja - powiedziałam ku jej pocieszeniu. - Żebyś widziała, jak wypełniam swoje obowiązki społeczne jako pani Johnowa Sprague! Mój Boże! Tak walczyłyśmy w młodości ze wszystkim i ze wszystkimi, a patrz, do czego dałyśmy się doprowadzić! Ty, gdy tylko papież wyrazi zgodę, poślubisz Floriana, a ja jestem ślubną żoną... trustu.

- Trust? Co za śmieszna nazwa - rzekła Klara. - Co to takiego?

- Sama dokładnie nie wiem. To jest coś, z czego John jest szalenie dumny. Za każdym razem, gdy nie możemy sobie na coś pozwolić, to zawsze z przyczyny trustu. Wyobrażam go sobie jako rodzaj pogańskiego fetysza, któremu John oddaje po cichu cześć w jakimś zakamarku swego gabinetu, i któremu trzeba od czasu do czasu składać ofiarę z pieniędzy i złota.

Klara przyglądała mi się oczami pełnymi zarazem zakłopotania i rozbawienia.

- A więc tak, wróbelku, koniec z nami. Ja stałam się najbardziej zażartą reakcjonistką, jaką można sobie wyobrazić, a ty poślubiłaś grubego portfel. Mogłyśmy śmiało pozostać po prostu w domu.

- A czemuż wyrzekłaś się swego tańca?

- A ty czemu zarzuciłaś skrzypce? Czemu zawiesiłaś na kołku rzeźbę?

- Ponieważ muszę teraz myśleć o wyleczeniu Michała. To przecież o wiele ważniejsze, prawda?

- Właśnie. Flori także, Renata również.

Renata była szczupłym, delikatnym piętnastoletnim stworzonkiem. Miała wielkie, błękitne oczy z ciemnymi rzęsami i połyskliwe, granatowoczarne włosy; to połączenie nadawało wiele oryginalności jej urodzie. Michał mawiał o niej:

- Renata przypomina piękną muzykę.

Lub:

- Renata jest jak mrożona śmietanka na wrzącej czekoladzie. Łagodna i orzeźwiająca, ale gdy się znajdzie pod spodem wrzątek, doznaje się lekkiego wstrząsu.

Renata spędzała z Michałem długie godziny i byłam bardzo szczęśliwa, że tak w porę weszła w nasze życie, kiedy Michał większość czasu musiał spędzać w łóżku; nie był przynajmniej skazany na samotne rozmyślenia. Renata, częściej zwana Bummerl, czytywała mu książki i czasopisma oraz listy, pisywane doń przez Johna i Marcina. Czasami przynosiła ze sobą gitarę i z ogromnym przejęciem śpiewała naiwne piosenki. Uczyła grać Michała, układając mu palce na strunach. On z kolei dawał jej lekcje angielskiego i w ten sposób żyli szczęśliwie w małym, własnym świątku, pełnym tajemnic, śmiechu i najdoskonalszej harmonii.

Jakoś w drugim tygodniu naszego pobytu w Wiedniu Florian Rieger zaczął być stale zaaferowany i zdenerwowany.

Klara mówiła o mężu z pełnym serdeczności niezadowoleniem:

- To kompletny wariat! Zamecza się dla sprawy z góry skazanej na niepowodzenie.

Sprawa, o którą walczył Florian Rieger w ciągu tych gorączkowych dni przy końcu lutego, była to kwestia decyzji, wobec której postawiono Austrię po powrocie kanclerza



Schuschnigga z fatalnej wizyty w Berchtesgaden. W mieście wrzało jak w kotle; postronny obserwator mógłby sądzić, że przygotowuje się ono raczej do targów krajowych niż do głosowania, które zdecyduje o tym, czy Austria pozostanie niezależnym, suwerennym państwem, czy też stanie się częścią Niemiec.

Kiedy wreszcie przestało padać, ulice przybrały wygląd po prostu zbyt odświętny, tak że ta polityczna kampania nabrała charakteru starych wiedeńskich operetek. Wielu mężczyzn przechadzało się po ulicach w tradycyjnych strojach alpejskich górali: w krótkich, białych pończochach i skórzanych spodniach domowej roboty, odsłaniających kolana. Był to śmieszny sposób objawiania swych prohitlerowskich sympatii. Nie widywało się prawie ludzi nie noszących w klapie marynarki znaczka ze swastyką lub czerwono - biało - czarnej odznaki „Ojczystego Frontu”. Ludzie nabrali komicznego zwyczaju patrzenia najpierw na klapę ubrania, a później dopiero na twarz. O każdej porze na Ringu odbywały się pochody, przy czym nierzadko następowały zderzenia dwóch przeciwnych stronnictw. Tak jedni, jak drudzy, jako prawdziwi wiedeńczycy, mieli nieograniczone zaufanie w podniecający wpływ muzyki; toteż zewsząd brzmiały dźwięki trąb, melodyjne pogwizdywania fletów i dudnienie bębnów. Widok tego ogólnego podniecenia musiał na przygodnego widza działać jak barwne przedstawienie, na którym sam Wiedeń najlepiej i najweselej się bawił.

Florian Rieger dniami i nocami pisywał teraz artykuły do gazet, zwoływał wiece, całował rączki wpływowych dam i przekonywał mężczyzn. Duszą i ciałem należał do popleczników Schuschnigga. Był pewien, że osiemdziesiąt procent ludności będzie głosować za niepodległością Austrii. Klara była nastrojona bardziej sceptycznie; źródłem jej orientacji był dozorca ich domu. Dozorca w przystępie nagłej

szczeroci wyznał kiedyś Klarze, że jest mu obojętne, czy będzie tak, czy siak. Wolałby, oczywiście, by Austria zachowała swoją suwerenność, równocześnie jednak wstąpił do partii narodowosocjalistycznej - na wszelki wypadek...

Pewnego słonecznego, chłodnego piątku zaanektowałam auto Floriego i zawiozłam Michała w góry, na południe od Wiednia, do Alpenhof. Renata wybrała się z nami, by rozerwać w drodze Michała i towarzyszyć mi, gdy będę wracać. Doktor Konrad w swój zwykły sposób nakazał nam nie zwlekać z wyjazdem ani godziny.

- O nie! Źle dla jego... Co takiego? Nudy? Ależ to dobrze na... Najlepsze lekarstwo! Zaraz mu obniży temperaturę i... Może go pani odwiedzać co parę... O ile będzie spokój...

Powietrze było świeże i lekkie, i gdy tak przemykaliśmy obok uśpionych wiosek, wzdłuż winnic, a później przez lasy i wąskie górskie parowy, po raz pierwszy uczułam, że znowu jestem w ojczyźnie.

Doktor Konrad przybył przed nami. Wszystkie weekendy zwykł był spędzać w Alpenhof ze swoimi pacjentami. Uszczypnął pożąłkłymi od nikotyny palcami policzków Renaty, która tę poufałość przyjęła z męczeńskim uśmiechem.

- Dobre krążenie. Doskonale zrównoważenie działania gruczołów - mrucał z uznaniem. - Może trochę jeszcze jajniki niezupełnie... ale zresztą... Ha! Ha!

Było to jedno z najbardziej dokończonych zdań, które usłyszałam z jego ust, i wywnioskowałam z tego, iż subtelna uroda Renaty musiała na nim wywrzeć głębokie wrażenie.

Pokój przeznaczony dla Michała był niewielki, ale bardzo miły, z meblami z ciemnego dębu i tapetą w kolorze seledynowym. Nie wyglądał na pokój chorego, raczej na celę uczzonego mnicha.

Wysłałam na balkon, by pozwolić dzieciom pożegnać się ze sobą. Słyszałam ich szepty i śmiechy, a później doleciał do

mnie głos sygnaturki wiejskiego kościółka. Podałam się swojskiemu nastrojowi mego kraju.

Do pokoju weszła pielęgniarka dając znak, że należy skończyć wizytę. Obiecałam Michałowi przyjechać w przyszłym tygodniu i ruszyliśmy z powrotem: Renata milcząca i zadumana, ja pełna dziwnej, nielogicznej nadziei, że w końcu wszystko przybierze dobry obrót.

- Czy nigdy nie próbowałaś tego, ciociu Marion? - spytała po bardzo długiej chwili milczenia Renata.

- Czego, dziecinko?

- Wyobrażać sobie, że jest się niewidomą, trzymając oczy zamknięte i macając drogę przed sobą.

- Nie, dziecko.

Było już prawie zupełnie ciemno, mimo to w lusterku widziałam, że nawet w tej chwili ma zamknięte oczy.

- A ja tak. Codziennie zamykam je na jakieś dziesięć minut. Z początku musiałam je zawiązywać chustką, ale teraz potrafię je utrzymać zamknięte i nie szachruję wcale.

- A po co to robisz, Renato?

- Och, tak sobie. Chciałabym wiedzieć, jak to jest, kiedy człowiek... zaniewidzi. W ten sposób mogę sobie wyobrazić, czego mógłby pragnąć Michał i co może sprawiać mu trudność. Właściwie... ciociu Marion, czy nie mogłabym zostać pielęgniarką i... opiekować się Michałem, gdyby tego potrzebował?

- On nie oślepnie - powiedziałam z uporem.

- Masz rację. Już nigdy nie pomyślę, że mógłby potrzebować pielęgniarki. Nie można prowadzić żołnierzy do bitwy, nie mając pewności zwycięstwa. A to też jest walka, prawda? I powinniśmy wierzyć, że zwyciężymy. A kiedy Michał wyzdrowieje i wróci do Ameryki, będę wtedy mogła zostać zakonnica i wstąpić do klasztoru. Tak. Zrobię to na pewno, jak on wyjedzie.

Zdawałam sobie sprawę z tego, jak dalece litowała się sama nad sobą, gdyby Michał wyzdrowiał. Nigdy już potem człowiek nie potrafi tak się nad sobą litować, jak mając lat piętnaście i przeżywając tragedie bohaterki z romansu...

W następną sobotę Renata nie mogła ze mną jechać, ponieważ dostała kataru, a dolegliwość ta była tabu w Alpenhof. Klara w zastępstwie zaofiarowała mi swoje towarzystwo. Flori w tych ostatnich dniach poprzedzających plebiscyt potrzebował swego samochodu, ale wołał pozbyć się Klary. Przyjechała tedy po mnie autem wynajętym na cały dzień.

Olbrzymi Murzyn, stojący zawsze przed hotelem, pomógł mi wsiąść, wyszczerzywszy równocześnie do Klary w uśmiechu swe olśniewające zęby.

- Jak się masz, Ahmedzie? - spytała Klara.

- Dziękuję pięknie, madame, jako tako. Ciężkie czasy... - odrzekł, zatraskując drzwiczki samochodu. Miał na sobie szerokie spodnie i czerwony fez, tak bowiem wyobrażano sobie w Wiedniu przebranie stosowne dla osobnika tak egzotycznego jak Murzyn.

- Ciekawa jestem, co z sobą zrobi biedny Ahmed, jeśli sprawy ułożą się niepomyślnie - rzekła Klara. - Bądź co bądź zhańbił przecież czystość rasy.

- Skąd ty go znasz?

- Jak to? Nie mówiłam ci? Przecież to właśnie jest ojciec Ignominii. Biedak, wygląda bardzo malowniczo w swoim przebraniu, ale na pewno nie robi wrażenia Aryjczyka.

- Jakim cudem wylądował tutaj, przed hotelem?

- Cóż... Kiedy jego pułk wrócił do Afryki, został w Niemczech i pojechał za nami do Berlina. Jest po prostu stworzony na ojca rodziny i chciał pozostać przy żonie i dziecku. Pracował w jakimś kabarecie. Kiedy wycofałam się ze sceny, zabrałam go z sobą i Flori wyszukał mu to zajęcie.

Anna rzuciła go i wyszła za mąż za jakiegoś narodowego socjalistę.

- A co się stało z Ignomią?

- Phi! Ta dopiero zrobiła karierę! Podobno robi teraz furorę w Paryżu. Tańczy w Tabarinie; mężczyźni zasypują ją perłami i rubinami.

Trudno mi było to małe, czarne, zastrachane bobo, które kiedyś nosiłam na rękę, wyobrazić sobie jako bożyszcze Paryża.

- Pytanie, czy miałyby równe powodzenie w Harlemie - rzekłam pobłaźliwie, a Klara roześmiała się sarkastycznie.

Nad prawą skronią miała pasmo siwych włosów. Pieszczotliwie dotknęłam go końcem palców.

- Wiesz - rzekła - jestem już zupełnie siwa. Płuczę włosy wodą utlenioną, by zachować blond kolor, ale pozostawiam to pasmo, żeby pamiętać o moim podeszłym wieku i farbowanych włosach.

- Dobrze wiesz, że ci z tym do twarzy!

- Przynajmniej Flori utrzymuje to samo. Czy nie uważasz, że nadawałby się on na fryzjera albo na zarządzającego eleganckim hotelem? Nadawałby się zresztą do wszystkiego, tylko nie do polityki. Możliwe, że niedługo będzie zmuszony chwycić się któregoś z tych pięknych zawodów. No, zobaczymy. Bo widzisz, teraz wszystko sprzysięgło się przeciwko nam. Jesteśmy Austriakami, kiedy nie wolno się czuć Austriakiem; indywidualistami, kiedy indywidualizm uważa się za przestępstwo. Cud, doprawdy, że tacy ludzie jeszcze żyją. Bardzo ciężko należeć do niewłaściwej generacji! Uważam, że ludożercze szczepy, w których w dniu swych czterdziestych urodzin pożera się własnych rodziców, mają rację. Pozwala to uniknąć wielu nieprzyjemności.

Zastałyśmy Michała zupełnie już zadomowionego i w dobrym humorze. Choremu o wiele łatwiej przebywać wśród

innych chorych niż żyć z ludźmi zdrowymi, nieświadomymi czym może być choroba. Zauważyłam, że Michał był spokojniejszy i bardziej zrównoważony niż kiedykolwiek, niemal pogodny. Dr Konrad był zadowolony z jego stanu. Pozwolił nawet zabrać go na małą przejażdżkę wąską drogą biegnącą u podnóża gór. Po powrocie do Alpenhof wypiliśmy kawę z Michałem, poznałyśmy innych pacjentów, asystowałyśmy przy popołudniowym mierzeniu temperatury i odniosłyśmy wrażenie, że chłopcu pilno już pożegnać się z nami.

- Na przyszły raz przyjedzie ze mną Renata - rzekłam, odjeżdżając.

Na obiad zatrzymałyśmy się w małej oberży przy drodze. Jazda i świeże powietrze zaostrzyły nam apetyt. Oberżystka ulokowała nas w prywatnym pokoiku i podała nam obiad składający się z gorącego rosółu, pieczonego kurczęcia po austriacku oraz czarnej kawy i strudla z jabłkami na deser.

I właśnie wtedy gdy kobiecina wносиła kawę, Klara gwałtownie odwróciła się do drzwi i nastawiła uszu. Mężczyźni, których ochryple śmiechy dobiegały przedtem do nas, umilkli raptem, i w ogólnej ciszy słychać było tylko głos z radia w kącie salki.

- Proszę nie zamykać drzwi - szepnęła Klara. - To Schuschnigg, prawda?

- A może wielmożne panie zechcą przejść tam, aby posłuchać... Nie przypuszczałam, że to może interesować wielmożne panie. To wielmożne panie nie są cudzoziemkami?

Klara zerwała się z miejsca i poszła za nią do ogólnej sali, a ja podążyłam za nimi.

Było to nieoczekiwane pożegnalne przemówienie Schuschnigga, który żegnał się z ojczyzną i stwierdzał niepewnie, iż ulega brutalnej przemocy Niemiec. Kiedy wreszcie jego zgębiony głos zakończył słowami hymnu

narodowego „Boże, zachowaj Austrię!” w izbie zapanowała chwila niezdecydowanego milczenia. Chłopi zdawali się oczekiwać jakiegoś bliższego wyjaśnienia, jakiejś wskazówki, co teraz należy począć. Wreszcie jeden z nich postawiwszy hałaśliwie swój kieliszek na szynkwasiu, zamówił kolejkę dla wszystkich. Rozległ się gwar, wzrastający stopniowo, po czym kilka rąk podniosło się w hitlerowskim pozdrowieniu, a ktoś zawołał głośno: „Heil Hitler”! Brzmiało to jak oratorium, w którym poszczególne głosy podejmują temat, i w końcu chór rozwija triumfalny motyw alleluja. Klara stała nieruchomo, spoglądając na twarze wyjących mężczyzn, po czym obróciwszy się nagle na pięcie, zawróciła do prywatnego pokoju, zamknawszy za sobą drzwi.

- Płaćmy i jedźmy stąd... - rzekła jakimś drewnianym, nie swoim głosem. Widząc jak łzy ciurkiem spływają jej po twarzy, zrozumiałam dopiero, że Austria jest i moją ojczyzną i że są to ostatnie godziny jej życia. Na tę myśl odczuwałam jedynie przelotny smutek i gwałtownie zapragnęłam znaleźć się z powrotem w Ameryce, przy boku Johna.

Weszła gospodyni i gdy spiesznie wyrównywałyśmy rachunek, zrozpaczonym wzrokiem spoglądała na nie dokończony przez nas strudel.

- Czy wielmożnym paniom nie smakował strudel? - dopytywała się strapiona. - Taki dobry strudel... Szkoda go zmarnować. Może wielmożne panie zechcą go zabrać ze sobą? Nie? A więc wielmożne panie nie znają się na tym, co dobre! Dobranoc.

Odwróciła się od nas, do żywego dotknięta w swej ambicji dobrej kucharki. Klara była wściekła i rozżalona.

- Masz tych swoich Austriaków! - rzekła wsiadając do auta. - Strudel z jabłkami! Całe serce mieści się u nich w żołądku! I ja nie jestem lepsza! Zajadać strudel z jabłkami

zamiast stać przy boku swego mężczyzny w chwili decydującej o życiu lub śmierci! Prędeż, wróbelku!

- Zauważyłaś? - spytała, gdyśmy przejeżdżały przez jakąś małą miejscinę.

- Tak. Widziałam.

Policjant na zbiegu ulic miał na rękawie opaskę ze swastyką.

- Nosił ją chyba przez cały czas w kieszeni - burknęła Klara.

Skreśliłyśmy przez główny plac, pełen podnieconego, radosnego, rozśpiewanego tłumu. Ludzie tłoczyli się zewsząd i nasze auto z trudem posuwało się naprzód. Klara, która teraz prowadziła, trąbiła wściekle i klęła przez zęby. Nie było ani jednego domu, na którym nie powiewałaby chorągiew ze swastyką. Ludzie byli nieprzytomni z entuzjazmu. Mali chłopcy, wskakując na stopnie auta, wykrzykiwali dziko, wymachując nam przed nosem chorągiewkami ze swastyką.

Wszystkie wioski i miasteczka, mijane po drodze, znajdowały się w tym samym stanie podniecenia. Kilkakrotnie zatrzymywano nas i jacyś młodzieńcy z bardzo ważnymi minami zadawali nam najrozmaitsze pytania. Raz nawet przetrzymano nas pół godziny na posterunku policyjnym. Wszystko to rozgrywało się w nocy i robiło wrażenie jakiegoś nierzeczywistego, fantastycznego widowiska.

- Jak w średniowieczu! - szeptałam sama do siebie. - Nie do wiary, po prostu nie do wiary!

- Dziecinko - odezwała się Klara - nie było cię w kraju, kiedy płonął Reichstag. To dopiero początek! A Renata jest sama w domu! Dziecko samiuteńkie w domu... Gdyby jej się coś stało...

Nie dokończyła zdania i dalej pędziłyśmy ku czemuś strasznemu i niepewnemu. Sytuacja spotykana po drodze była tylko nędzną parodią szalu, jaki ogarnął Wiedeń. Tu były



jeszcze bardziej nieprzeliczone tłumy, las chorągwi, śpiewy, marsze i pochody, jakby całe miasto nagle zaraziło się bakcylem szaleństwa.

Straciłyśmy mnóstwo czasu na przedostanie się do starej kamienicy, w której mieszkała Klara. Stróż otworzył nam bramę - miał oczywiście swastykę na flanelowej bluzie.

- Heil Hitler! - rzekł, podnosząc w górę prawą rękę.

- Dobry wieczór - odparła Klara, przechodząc obok niego. Stróż skrzywił się znacząco, mrugnięciem dając do zrozumienia, że tego wszystkiego nie traktuje serio. - Czy mój mąż jest w domu?

- Nie. Pan baron jeszcze nie wrócił, ale może to i lepiej. Jacyś dwaj panowie pytali o niego, ale im powiedziałem, że pana barona nie ma.

- Dobrze - odparła Klara, wsuwając napiwek w jego wyciągniętą rękę.

Renata spała twardo w swej białej batystowej koszulce nocnej. Na łóżku Klary leżała pomarańcza, a do poduszki była przypięta karteczka:

Tatuś dzwonił. Prosił, żeby nie czekać na niego dziś wieczór i żeby się nie niepokoić. Da ci znać, jak tylko będzie mógł. Czekałam na ciebie do dziesiątej, ale już jestem za bardzo śpiąca. Całuję cię bardzo mocno

Bummerl PS. Pomarańcza jest dla ciebie - to prezent ode mnie.

Klaro, droga przyjaciółko! Jakże chętnie zostałabym tej nocy z tobą, ale byłaś surowa i nieubłagana i kazałaś mi natychmiast wracać do hotelu. Sądziłaś może, że Flori poszuka schronienia w moim pokoju; stało się to, ale dopiero później, gdy zaczęto go poszukiwać.

Na powrót do hotelu zmitrężyłam niemal godzinę; Ring wrzał po prostu i czterokrotnie zatrzymywali mnie jacyś osobnicy, nie mający po temu najwyraźniej żadnych

uprawnień. Kiedy zajechałam w końcu, Ahmed otworzył drzwiczki samochodu, pomagając mi przy wysiadaniu. Miał na sobie szerokie spodnie i fez, a jego czarna twarz była ponura jak noc. Ale na malowniczym przebraniu nosił już swastykę.

W ciągu jednej nocy Wiedeń zmienił zupełnie swój wygląd: tłumy płynące ulicami nie były tymi samymi tłumami, które krążyły nimi jeszcze wczoraj; rozlegało się nagle warczenie samolotów i wszędzie pełno było swastyk - na guzikach, mundurach, chorągwiach; wszędzie pełno było czołgów i armat, toczących się tymi samymi ulicami, które niegdyś były światem mego dzieciństwa, jakby nagle okazało się, że nigdy nie kwitły kasztany, nie było na świecie kiści liliowych bzów ani rozmarzającej kantyleny skrzypiec.

- Czy pani mnie poznaje po głosie? - zapytano mnie nieco dramatycznie przez telefon, w dwa dni po oszałamiająco triumfalnym przyjeździe Hitlera do Wiednia.

- Oczywiście! - zawołałam, poznawszy głos Floriana Riegera i doszedłszy do wniosku, iż woli nie wymieniać swego nazwiska. - Gdzie się pan podziewa? Klara jest w rozpacz.

- Całuję pani rączki, Marion. Czy nie zechciałaby pani łaskawie dać jej znać, żeby się nie martwiła? Mam ważne powody, by nie dzwonić do domu. (Mieszkanie Riegerów zostało gruntownie zrewidowane i obecnie znajdowało się prawdopodobnie pod ścisłym nadzorem).

- Oczywiście, zaraz ją zawiadomię. Czy nie trzeba panu czegoś załatwić?

- Gdyby to nie sprawiło pani zbytniego kłopotu, to prosiłbym jeszcze uprzejmie, by pani zechciała powiedzieć Klarze, żeby dała pani mój brązowy garnitur i parę koszul; dostarczyć będzie mi to można pod adresem, który znajdzie pani w swojej dzisiejszej poczcie. Błagam tylko, żeby pani nie

pozwoliła przyjść Klarze. Będzie pani łaskawa? Całuję rączki; wiedziałem, że można liczyć na panią. A tam, gdzie pani pójdzie, proszę zażądać czarnego pudła. Bardzo przepraszam za kłopot. Rączki całuję.

Od razu zesłałam na dół, by odebrać pocztę, zanim zdąży przejść przez zbyt wiele rąk. W jednej z kopert znajdowała się karta reklamowa z adresem firmy zajmującej się handlem zwierzętami: „Swego psa kupi pan najlepiej w Apfla”. Domyśliłam się, że był to adres, o którym wspominał Flori, i od razu pospieszyłam do Klary z dobrą nowiną. A więc Florian nie został aresztowany jak wielu jego stronników politycznych. Ucieszyłam się bardzo widząc, iż Klara uspokoiła się trochę i była raczej rozgniewana niż niespokojna.

- Powtórz mi dosłownie, co mówił - poprosiła, a ja słowo w słowo powtórzyłam jej, że Flori prosi, by się nie martwiła i żeby mu przysłała brązowy garnitur i parę koszul.

- To wszystko? I nic więcej? - wypytywała bezustannie, a ja zapewniałam ją, że nie. - To właśnie jest w stylu Floriego - stwierdziła ze złośliwym uśmiechem. - Brązowy garnitur! Ma wszystkiego trzy garnitury i każdy z nich nosi po dziesięć lat, ale nigdy po dwa dni z rzędu!

Zmarszczyła brwi i zamyśliła się. Odbyliśmy walną naradę i Klara zdecydowała się jednak nie posyłać mu żadnego ubrania.

- Posłuchaj, wróbelku - rzekła. - Przypuśćmy, że wędrujesz z tym garniturem zapakowanym w paczkę lub walizkę i nagle zatrzymują cię i rewidują paczkę. Albo, co gorsza, mogą cię śledzić i wypatrzeć, dokąd niesiesz pakunek. To ich od razu naprowadzi na ślad Floriego. Mony... czy... czy mogłabyś mu pożyczyć trochę pieniędzy? Przypuszczam, że bardziej będą mu potrzebne niż brązowy garnitur. Będzie musiał słono płacić Apflowi za ukrywanie go.

- Ty znasz ten sklep?

- Tak. Apfel to jegomość, za którego wyszła dawna pokojówka matki Floriego. Ujeżdżał dawniej konie, ale złamał nogę i musiał zrezygnować ze swego zawodu.

Klara napisała list, a Renata nagryzmoła u dołu stronicy cały szereg krzyżyków: „Każdy krzyżyk oznacza pocałunek i modlitwę o ciebie”, napisała na marginesie. Zmusiłam Klare do dania słowa honoru, że zostanie w domu i nie zrobi żadnego głupstwa, po czym wybrałam się w drogę. Rozejrzałam się na ulicy, czy nie ma nikogo, kto by wyglądał na agenta tajnej policji. Nie czułam się pewnie. Wskoczywszy w taksówkę, kazałam się odwieźć do hotelu. W barze hotelowym wypłam coś na rozgrzewkę, gdyż trzęsłam się ze strachu jak galareta. Potem, wzięwszy drugą taksówkę, pojechałam do handlarza zwierząt.

Był to mały sklepik. Niski człeczyna wyszedł kulejąc z za przepierzenia i zapytał, czego sobie życzę.

- Chciałabym obejrzeć czarnego pudła... - rzekłam, zdając sobie sprawę z głupoty tego powiedzenia.

Człeczyna spojrział na mnie martwym wzrokiem.

- Czarnego pudła? - powtórzył spokojnie.

- Tak, czarnego pudła. To przecież pan przysłał mi ten prospekt, prawda?

- To pani jest tą damą, co mieszka w Bristolu?

- Tak, ja.

- Dobrze. Proszę wejść.

Uchylił przede mną rąbek zasłony tworzącej przepierzenie i poszedł przodem. Minęliśmy straszliwie brudną kuchnię, potem ciemny korytarzyk, jakieś oszklone drzwi i w końcu znaleźliśmy się w sypialni tak zastawionej meblami, że musiałam po prostu przecisnąć się między łóżkiem a szafą. Tutaj również czuć było zwierzętami. Małpka o chorym wyglądzie wykrzywiła się do mnie ze zbyt małej klatki.

Niewielkie radio wrzeszczało na cały regulator, a dwa kanarki usiłowały przekrzyczeć głos, który przemawiał.

Florian Rieger wstał z łóżka, na którym siedział, pochylił się w ukłonie i rzekł - typowo po austriacku:

- Całuję rączki, pani Marion. Ma pani prześliczny kapelusik.

Miał zaczerwienione oczy, jak gdyby od czasu, gdyśmy się widzieli po raz ostatni, nie przespał ani jednej nocy.

- Jak się pan czuje, Flori?

- Jeszcze żyję... a to już coś - odparł.

Oddałam mu list Klary. Przeczytał go chciwie; mimo to, gdy mu wytłumaczyłam sprawę brązowego garnituru, był wyraźnie rozczarowany.

- Noszę ten łach od porażki Schuschnigga... Sam sobie wydaję się nędzarzem.

Apfel stał obok klatki z małpką, w żołnierskiej postawie na „spocznij”.

- Dziękuję wam, Apfel... - rzekł pobłaźliwie Flori i człeczyna utykając wyszedł z pokoju.

- Klara zapytuje, czy pan jest go zupełnie pewny? - powiedziałam, gdy się za nim zamknęły drzwi.

- Kogo można być pewnym w dzisiejszych czasach?

- Pan przebywa tutaj od piątku?

- Ach, nie! Mój Boże! Boję się pozostawać w jednym miejscu dłużej niż kilka godzin. Pierwsze dwie noce przespacerowałem, kryjąc się w tłumie. Ostatnią spędziłem w domu publicznym, udając pijanego. Jest to miejsce względnie bezpieczne, ale kosztuje słono.

- Mam dla pana pieniądze - rzekłam.

Wzdrygnął się, kiedy wsunęłam mu je do kieszeni, gdyż odmówił zrazu ich przyjęcia.

- Przyjmuję pieniądze od kobiety... zupełnie jak sutener...

- Nie jestem kobietą. Zresztą już najwyższy czas zapomnieć o dobrych manierach. Co pan teraz zamysła zrobić? Co mam powiedzieć Klarze? Czy nie mógłby pan przedostać się za granicę?

- Nie mam paszportu. A zresztą nawet gdybym miał, nie na wiele by mi się przydał. Może pani być pewna, że zatrzymaliby mnie na granicy. Czułbym się jednak o wiele lepiej, gdyby Klara i Bummerl niezwłocznie wyjechały do Pragi. Mieszka tam jedna z moich szwagierek i na pewno udzieli im schronienia. Boję się, czy nie zechcą aresztować Klary... lub dziecka jako zakładniczek. Na samą myśl o tym tracę po prostu głowę! Wie pani, że to ich system i w ten sposób sięgają po tych, na których ujęciu im zależy.

- Powtórzę to Klarze, ale wątpię, czy będzie chciała wyjechać wiedząc, że pan zostaje tutaj.

- Żebym chociaż mógł z nią pomówić! - rzekł, przeczesując palcami swą szpakowatą czuprynę. - Żebym mógł się z nią zobaczyć, choć przez parę minut! Zdołałbym jej wytłumaczyć, że to jedyna rozsądna rzecz, jaką może zrobić!

On sam w tej chwili nie robił wrażenia zbyt rozsądnego.

- Ale pan, Flori - powiedziałam z naciskiem - pan nie może przecież biegać ciągle po ulicach czy sypiać w domach publicznych. Przecież pan musi coś postanowić! Radzę panu dobrze się zastanowić nad ewentualnym sposobem przedostania się za granicę. Słyszałam, że mają zaostrić czujność, więc lepiej byłoby umykać jak najprędzej.

- Wyjadę - powiedział z mdłym uśmiechem. - W każdym razie wydostanę się jakoś. Bądź co bądź jesteśmy jeszcze przecież w Austrii, a jak pani wiadomo, Austriacy nie są zbyt dokładni. Zawsze się znajdzie jakaś dziura, przez którą się będzie można wyślizgnąć. Ach, gdybym mógł pogadać z Klarą! Niech jej pani powie, że ją kocham. I gdybym mógł dostać ten brązowy garnitur...

Było to moje pierwsze z wielu późniejszych tajemnych spotkań z Florim. Widywaliśmy się w podrzędnych kawiarenkach, na jakiejś ławce w parku, w Lasku Wiedeńskim podczas ulewnego deszczu. Dostarczyłam mu przekłete brązowe ubranie i zorganizowałam spotkanie z Klarą. Nerwy miałam wkrótce w strzępach. Klara stanowczo odmówiła wyjazdu z kraju, dopóki mąż będzie się znajdował w niebezpieczeństwie.

W końcu Florian Rieger zniknął nagle na trzy dni i byliśmy pewne, że został aresztowany przez gestapo. Pomimo to Klara poszła do fryzjera, by położyć nową farbę na włosy.

- Znasz przecież moją dewizę: farbować się i nie poddawać. Męstwo kobiet składa się z zupełnie innych pierwiastków niż dzielność mężczyzn i fakt natarcia twarzy kremem w chwili nieszczęścia jest czasem tego dowodem - stwierdziła.

Pewnego popołudnia poszłam z Renatą do kina, by ją rozerwać trochę w jej ustawicznym strapieniu o ojca. Wracając wieczorem spostrzegłam, że przed moim hotelem przechadza się kulejąc Apfel z czarnym pudlem na smyczy.

- Jaki ładny pies - rzekłam, pochylając się, by go pogłaskać. Apfel pochylił się również i szeptem przekazał mi wiadomość od Floriana Riegera, a mianowicie że opuścił on Wiedeń i chce się przedostać do swej matki mieszkającej w jakimś miasteczku blisko granicy czeskiej.

- Będzie się starał przekraść na drugą stronę - szeptem mówił Apfel. - Ale na to potrzeba pieniędzy. Jeśli pani łaskawa, to proszę mu je wysłać na adres matki. .

- Niech pan już idzie - szepnęłam również. - Może pan mieć przykrości.

Miałam takie wrażenie, jakby nas obserwowało pięciuset agentów tajnej policji.

Nazajutrz rano Klara otrzymała wezwanie na policję, gdzie trzymano ją przez sześć godzin.

- Co oni z tobą robili? - spytałam, gdy nareszcie przyszła do mnie do hotelu, późno po południu, prawie przezroczysta i tak zmęczona, jak niegdyś po ciężkim występie przed obojętną publicznością.

- Nic. Daj mi papierosa. Po prostu wypytywali mnie.

- Czy to było badanie trzeciego stopnia?

- Co takiego?

- No, czy cię męczyli? Czy ci palce ściskali sprężynami?

- Jakoś nie zauważyłam, żeby robili coś takiego. Chyba nie. Młody człowiek, który mnie przesłuchiwał, był nawet bardzo łagodny i uprzejmy. Mówił napuszonym stylem o tańcu przyszłości. Był kiedyś na jakimś moim występie w Monachium. Otwarcie powiedział, że mogłabym wiele zrobić dla narodowego socjalizmu. Wiesz, te wszystkie bujdy - wyzwalanie nieznanymi mocami zapachu za pomocą wskrzeszania dawnych tańców ludowych, i tak dalej.

- Czy to miała być przynęta?

- Prawdopodobnie. Miałam ochotę roześmiać mu się w nos. To dowód, że dotąd nie udało im się złapać Floriego, prawda?

- Na pewno. A co im powiedziałaś?

- Prawdę. Że jestem tylko guwernantką u pana Riegera i nie mam pojęcia, gdzie może obecnie przebywać. Na to młody człowiek poradził mi, żebym się dobrze zastanowiła, i polecił mi przyjść do nich w piątek. Zaznaczył, iż spodziewa się, że do tego czasu będę już znać miejsce pobytu Riegera.

- Wiesz, kochanie, to według mnie nie wróży nic dobrego. Co masz zamiar zrobić?

- Sama nie wiem - Klara wzruszyła ramionami.

- Czy odebrali ci paszport?

- Na razie nie.



- A więc powiem ci, co powinnaś zrobić. Pakuj manatki i pierwszym samolotem zmykaj do Pragi. Ja tu pozostanę i skontaktuję się z Florim - postaram się, by jak najprędzej znalazł się za granicą. Mnie, jako obywatelce amerykańskiej, łatwiej będzie to przeprowadzić.

- Nie opowiadaj bajek, Mony. Obie wiemy doskonale, że nie wypuszczą mnie stąd. Na wyjazd potrzebne jest przecież pozwolenie, a ja go nie mam. Jestem teraz nawet zadowolona, że nie wiem, gdzie jest Flori. Gdyby nie to, to kto wie, mogliby mnie zmusić do powiedzenia im tego w piątek. Człowiek nie wie, gdzie są granice jego wytrzymałości, póki nie przeszedł badania.

Kiedy to powiedziała, poczułam nagłe zadowolenie, że dotychczas nie zdążyłam jej powiadomić, iż Flori znajduje się obecnie u swojej matki. Lepiej było pozostawić ją nadal w nieświadomości, nawet kosztem zmartwienia i niepewności. Nie śmiałam nawet spytać jej o adres matki Floriego, dokąd obiecałam wysłać mu pieniądze.

Gdy Klara poszła do domu, by podać obiad Renacie, do późna w noc chodziłam po swoim pokoju paląc papierosy i łamiąc sobie głowę, w jaki sposób wyprawić przed piątkiem Klarę z kraju. Jeśli nawet dotychczas nie była inwigilowana, to obecnie mogłam być pewna, że śledzi ją tajna policja... O czwartej nad ranem wzięłam proszek nasenny mówiąc sobie, że przecież nazajutrz muszę mieć trzeźwy i wypoczęty umysł. Mimo to gdy koło ósmej zbudził mnie telefon, miałam takie uczucie, jakby mi ktoś okręcił głowę wełnianą chustką.

- Słucham... - powiedziałam, przy czym wydawało mi się, że język mam zrobiony z flaneli, a wargi pergaminowe.

- To ja, Micki... - powiedział głos w telefonie. - Obudziłem cię?

- Nic nie szkodzi. Jak się czujesz, Micki?

- O, doskonale! A ty?

- Ja również.
- To dobrze. Zdjęła mnie ochota powiedzieć ci dzień dobry.
- Szatański pomysł... ale dziękuję ci, mimo wszystko. Dzień dobry.
- Bardzo mi brakowało ciebie w piątek. Czy nie mogłabyś wynająć auta i przyjechać dzisiaj?
- Nie przypuszczam, Micki. Mam masę ważnych spraw do załatwienia.
- Cóż może być ważniejsze od wizyty u chorego syna?
- Mniejsza z tym. Opowiem ci, gdy się zobaczymy.
- A czy jutro mogłabyś przyjechać?
- Słuchaj, Micki, nie udawaj stęsknionego kochanka! Co ci się stało?
- O! Mnie osobiście nic... ale w ogóle były tu małe nieprzyjemności... w Alpenhof.
- Posprzeczałeś się z doktorem? A może zrobił ci jakąś przykrość? - spytałam, kalkulując szybko, jakie znów trudności mogą powstać.
- Nic podobnego. Tylko w tej chwili nie jestem już w Alpenhof. Przenocowałem w hotelu Semmering. Myślałem, że może zechcesz przyjechać.
- Potrząsnęłam głową, by pozbyć się resztek oszołomienia.
- Czy nie zechciałbyś być mniej tajemniczy, Micki? - spytałam spokojnie. - Nie jestem w stanie rozwiązywać zagadek przed śniadaniem, a poza tym nie strawiłam jeszcze wczorajszego weronalu.
- Chciałem ci tylko dyskretnie zakomunikować różne rzeczy. Przyjechali wczoraj i zabrali doktora Konrada.
- Kto go zabrał i dokąd?!
- Kochanie! Czy ty przypadkiem nie straciłaś zdolności pojmowania? - spytał uprzejmie. - Aresztowali go. Oni, rozumiesz przecież. Po prostu oni. Nie ma sensu siedzieć w

klinice bez lekarza, prawda? Poza tym zbiegli się tu wczoraj ludzie ze wsi i zdemolowali całe laboratorium. Była to doskonała demonstracja, jak wygląda furor teutonicus. Cudotwórcza tubokolina 287, obawiam się, podzieliła los wszystkich protein. A później mieliśmy mały pożar i dlatego w nocy trzeba było wędrować do hotelu Semmering. W życiu nie widziałas takiej gromady wycieczkowiczów... w dodatku ślepych jak nietoperze.

- Och, Micki! - to jedno zdołałam wyjąkać, wysłuchawszy tej ponurej opowieści. - Och, Micki!...

- Tak, matko, to straszliwy cios. Stary Konrad był najbrzydszym Żydem na świecie, ale cenię go bardzo wysoko. Uważam, że był to jedyny człowiek, który mógłby przywrócić mi zdrowie. No, ale teraz to już skończone. Trudno. Przyjedziesz po mnie?

- Michale - rzekłam zgnębiona - możliwe, że właśnie dzisiaj będę musiała zostać w mieście. Czy nie mógłbyś sam wynająć samochodu... albo wrócić koleją?

- Jeżeli trzeba, spróbuję. Ale w ostatnich czasach stałem się straszliwie niezręczny i niesamodzielny. A czy Bummerl nie mogłaby przyjechać?

- Nie, właśnie ona nie może - krzyknęłam, by pokryć rozpacz, która mnie ogarnęła na myśl, że Michał sam się przyznaje do niemożności poruszania się bez cudzej pomocy. - Tutaj zaszły rozmaite komplikacje, rozumiesz?

- Dobrze, dobrze. Nie ma potrzeby, żebyś ty aranżowała wszystko - odparł Michał. - Zajmij się tym, co dotyczy Bummerl... Uważaj na nią bardzo... A ja już sam zajmę się sobą.

Przyjechał w południe i jakkolwiek utrzymywał, iż czuje się świetnie, był blady jak papier. Wstrząsały nim dreszcze, a temperatura podskoczyła na 37,9. Położyłam go zaraz do łóżka i przez lekarza hotelowego wezwałam okulistę.

Widocznie nie można było tak nagle przerywać zastrzyków bez poważnych następstw. Głowiłam się, jak mój biedny syn zareaguje na tę nagłą zmianę systemu kuracji. W ustach miałam gorycz rozżalenia i wczorajszego środka nasennego. Rozbili nie tylko laboratorium, myślałam, zniszczyli równocześnie wzrok mojego dziecka!

- Czy nie zrobiłoby ci to różnicy, gdybym cię zostawiła samego przez chwilę? Muszę się zobaczyć z Klarą - powiedziałam, stanąwszy przy łóżku Michała.

Ułożyłam sobie pewien plan ucieczki Klary i Renaty i chciałam go z nimi omówić.

- Gdyby zaszła potrzeba wyprawienia ich wszystkich z kraju, to czy mogę liczyć na ciebie? - spytałam syna.

- Naturalnie! Jak nawet możesz, mamusiu kochana, zadawać takie śmieszne pytania?!

- Bo widzisz, nie mam nigdy pewności, jak dalece jesteś zwolennikiem Hitlera. A może pod wpływem ostatnich przeżyć zmieniłeś przekonania?

- Jeśli chcesz wiedzieć, to jestem zwolennikiem Anschlussu, jak zresztą większość Austriaków. To, co zaszło w Alpenhof, nie jest oczywiście piękne, ale bądź przekonana, że gdyby Fuhrer dowiedział się o czymś podobnym, byłby pierwszy za ukaraniem sprawców. Nie można uprawiać pola, nie zaorawszy go wprzód.

- Szkoda tylko, że zaorali takiego człowieka jak doktor Konrad, prawda, Micki?

- Właściwie dobrze się stało, bo po aresztowaniu dostał się pod opiekę władz, zanim wpadła ta banda z wioski. Na pewno by go zabili. Wyobrażali sobie, że Aryjczyków używał jako świnek morskich do swych eksperymentów - rzekł Michał.

Westchnęłam głęboko na takie zaślepienie własnego dziecka. Miałam ochotę ostro z nim podyskutować, ale

spojrzawszy na jego wychudzoną twarz i blady uśmiech, dałam spokój i wyszłam, by pojechać do Klary.

Był śliczny, słoneczny dzień. Gdy przechodziłam obok Ahmeda, nie pozdrowił mnie jak zwykle, ale wpatrzył się gdzieś prosto przed siebie, w próżnię. Spojrzawszy w kierunku jego wzroku, spostrzegłam po drugiej stronie ulicy auto, w którym siedziało dwóch mężczyzn o niewinnym, na pozór, wyglądzie. Miałam zamiar wziąć taksówkę, ale teraz zmieniłam plany i idąc bardzo wolno w dół Ringu zatrzymałam się przed jakąś wystawą. Ujrzałam, że auto jedzie za mną w żółtym tempie. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Dotychczas lękałam się jedynie o mych przyjaciół, teraz jednak niebezpieczeństwo zaczęło zagrażać bezpośrednio mojej osobie. Śpieszno mi było do Klary, ale powściągnęłam niecierpliwość. Skręciłam przy gmachu opery i przecięłam Ring. Wydało mi się zupełnie niemożliwe, bym kiedyś w dzieciństwie chodziła tą trasą do szkoły. Rozejrzałam się. Samochód przystanął i jeden z mężczyzn wysiadł. Serce waliło mi jak młotem. Usiadłam na ławce, by uspokoiło się nieco. Mężczyzna zatrzymał się również pod pozorem zapalenia papierosa. Tutaj, na tym gazonie, Klara ongiś tańczyła dla mnie, a teraz w każdej chwili mogą ją ująć i uśmiercić. Lęk, by nie zrobić czegoś, co mogłoby jej zaszkodzić, przerodził się we mnie w panikę. Ale coś trzeba było robić; nie mogłam siedzieć bez końca na tej ławce. Jak tylko to wszystko się ułoży, pomyślałam, pierwszym statkiem wracamy do Stanów. Alpenhof i doktora Konrada dotknęła katastrofa i nic już ani mnie, ani Michała nie zatrzymuje na kontynencie.

Wstałam z ławki, skinęłam na taksówkę i kazałam się zawieźć prosto do Klary. Płacąc rozejrzałam się dokoła, ale nie spostrzegłam ani auta, ani nikogo, kto mógłby mnie śledzić. Pociągnęłam za dzwonek do mieszkania Riegerów,

ale nie wydał dźwięku. Mimo to Klara natychmiast otworzyła mi drzwi. Ręce jej drżały i przeraziłam się na ten widok.

- Owinęłam dzwonek kawałkiem szmatki, żeby nie dzwonił - szepnęła mi do ucha. - On śpi. Wrócił.

- Chyba nie Flori?

Skinęła twierdząco i na palcach wprowadziła mnie do salonu, gdzie portrety antenatów rodu Riegerów wyjrzały na nas ze swych ram, spokojnie i ze staroświecką godnością.

- Tak, on. Znalazł sposobność, by niepostrzeżenie dostać się do domu.

- Ależ to szaleństwo! - powiedziałam. - Po prostu zbrodnia, żeby...

- Daj mi papierosa. Skończył mi się zapas - odparła Klara, opierając się o fortepian. Patrzyła na mnie z dziwnym, bladym uśmiechem. - Tak, wrócił. Chce się sam zgłosić. Widocznie jest już doprowadzony do ostateczności.

- Nie możemy na to pozwolić - rzekłam.

- Oczywiście, że nie. Mężczyźni to strasznie słabe stworzenia, nie uważasz?

- Gdzie Renata?

- Wyszła na lekcję muzyki.

- Czy ona wie?

- Nie, to zbyt ciche. Prawda?

- Czy on dlatego wrócił, że bał się, iż wam coś mogą zrobić? - zapytałam, usiłując przeniknąć znaczenie tego dziwnego uśmiechu, prześwietlającego twarz Klary.

- Tak. Właśnie dlatego wrócił. - Powietrze w pokoju zdawało się falować od dumy, tkliwości i niezmiernego przywiązania, kryjącego się w tych słowach. - Czy to nie wariat?

- Czyżby to była telepatia? Czuł, że ci coś zagraża? Klara wzruszyła ramionami.

- Kto wie?... Tyle przecież ciekawych spraw istnieje pomiędzy dwojgiem ludzi, żyjących z sobą tak blisko i szczęśliwie jak my...

- Słuchaj, Klaro - rzekłam nagle - wszystko przygotowałam. Kazałam zarezerwować dwa miejsca w samolocie do Pragi na jutro. Ty z Renatą przyjdiesz na lotnisko, niby dla pożegnania się z nami. Jeśli ktoś będzie was śledził to trudno. My, to znaczy Michał i ja, przyjedziemy w ostatniej chwili. Ty rzucisz mi się w objęcia, a Renata obejmie za szyję Michała, i w ten sposób wyjdziemy za siatkę. Ktoś będzie się prawdopodobnie starał zatrzymać was; wówczas ja udam, że nie rozumiem ani słowa po niemiecku, zrobi się zamieszanie, wywiąże się sprzeczka, zatarasujemy im drogę. Tymczasem wy obie z Renatą, mając przy sobie nasze bilety, wsiądziecie do samolotu, i zanim się spostrzegą, samolot wystartuje. Jak ci się podoba ten plan?

- Nic nie wart - odparła Klara. - Jesteś idiotką, wróbelku. Gdy samolot wystartuje, ciebie wsadzą do aresztu, a nas zatrzymają na pierwszym postoju. To chyba jasne?

- Tak, teraz sama widzę... - bąknęłam strapiona. - Ale co w takim razie zrobimy?

- Ba! Żebym to wiedziała, Marion, żebym wiedziała! Czy mogłabym dziś wieczorem przysłać do ciebie Renatę? Wolałabym, by nie wiedziała, że ojciec jest w domu. A poza tym mam masę roboty. Muszę najpierw przyrządzić mężowi dobrą kolację: omlet z grzybami, który tak lubi, i wstawić do lodu butelkę szampana. Jeśli już idziemy na dno, to trzeba przynajmniej tonąć w wielkim stylu. Przed nami jeszcze cała długa noc, może nam zaświta jakaś dobra myśl... A słuchaj, Mony... gdyby coś się stało... czy zaopiekujesz się Renatą?

- To przecież rozumie się samo przez się.

- Tak jakby była twoim własnym dzieckiem?

- Tak. Jakby była moim własnym dzieckiem.

- Serwus - rzekła Klara, używając pozdrowienia Z naszych lat dzieciennych i otworzyła mi drzwi.

- Serwus, Klaro - odparłam.

Gdy uścisnęłyśmy sobie dłonie, ręka Klary była gorąca i przestała drżeć.

Wyszędłszy z kamienicy rozejrzałam się bacznie na wszystkie strony, ale nie było nigdzie samochodu ani człowieka, który mógłby mnie śledzić. Może już zaczynam widzieć duchy? - pomyślałam. Zaczął padać deszcz. Byłam przemarznięta, zmęczona, wytrącona z równowagi i wystraszona.

- Jakiś pan czeka na panią - powiedziano mi w recepcji.

- Pan? - spytałam.

Czułam, że wargi zbieleły mi zupełnie i ledwie mogłam powstrzymać szcęknięcie zębami. To ten mężczyzna z auta! Gestapo!

- Tak, proszę pani. Nalegał, by mógł wejść do pani pokoju, ale tak manewrowałem, by mu w tym przeszkodzić.

- Czy podał swoje nazwisko?

- Nie. Chciał mówić z panią, więc poprosiłem, by przyszedł później. On jednak postanowił zaczekać i kazał mi się natychmiast zawiadomić, gdy pani wróci. Jest teraz w barze. Czy wielmożna pani zechce pomówić z tym panem?

- Tak. trzeba raz z tym skończyć - powiedziałam zmęczonym głosem.

Urzędnik skinął na boya, który pobiegł w stronę baru. Jestem przecież obywatelką amerykańską, snuło mi się po głowie. Nie mogą mnie tak po prostu zaaresztować. Znajduję się pod opieką Stanów Zjednoczonych Ameryki. Odwołam się do ambasadora...

Włożyłam rękawiczki i zapaliłam papierosa, ale okazał się on wątlą podporą. Nogi trzęsły się pod mną jak galareta. I nagle zobaczyłam, kim był ten natrętny pan idący za boyem;



był najwyższy i najszerszy w ramionach ze wszystkich mężczyzn znajdujących się w hallu, a na głowie miał ten sam zabawny stary kapelusz, który co najmniej od trzech lat zbierałam się wyrzucić! Serce poczęło mi bić szybko i mocno w całym ciele, czułam jego uderzenia nie tylko w piersi, ale i w uszach, i w ustach, i w krzyżu. Wspaniała okazja do zemdlenia, pomyślałam, gdy John podszedłszy do mnie zawołał:

- Hallo, moja dziewczynko!

- Hallo, Johnie! Hallo. Johnie!

- Ależ ty jesteś jeszcze mniejsza niż cię zachowałam w pamięci - mówił, pochylając swą wysoką postać tak, że zaleciał mnie zapach whisky; nigdy żaden zapach w życiu nie wydał mi się tak przyjemny!

Widocznie skurczyłam się w praniu odparłam i ściągnęłam te idiotyczne rękawiczki, podając mu obie dłonie.

- No i co, dziewczuszko? Zdziwiłaś się na mój widok?

- No chyba! Ale dlaczego nic przysłałeś telegramu?!

- O! Tak sobie. Chciałem zobaczyć twoją minę, gdy tak ni stąd, ni zowąd zjawie się w Wiedniu.

- No i jaką zrobiłam minę?

- Strasznie zabawną, za którą mam ochotę cię uściskać. A nogi znowu przemoczyłaś, naturalnie. Mogłem się tego spodziewać!

Zawstydzona spojrzałam na swoje nogi. John wziął mnie pod rękę. Był zupełnie jak wielki piec pełen dobrego ludzkiego ciepła, które promieniowało z niego.

- To jest pan Sprague - powiedziałam. - Prosimy o jeszcze jeden pokój.

Chwyciłam palcami rękaw płaszcza Johna, lękając się, iż mógłby się odsunąć ode mnie. Czułam emanującą z niego błogosławioną falę ciepła i opieki.

- Poprosimy chyba o dwupokojowy apartament z salonikiem, aby było jak najwygodniej. Zgadzasz się, dziewczynko?

- O, Johnie! Błagam cię, nie żartuj. Czuję, że w tej chwili muszę się znaleźć na górze. Zaraz się rozpłaczę. Czuję to.

- Dobrze, dobrze. Więc proszę nam dać coś najwygodniejszego na tym samym piętrze - polecił recepcjoniście. - A ty, smyku, odbierz mój bagaż od portiera, gdzie go zostawiłem. Masz, to dla ciebie.

„Bagaż” stanowiło brązowe kartonowe pudło przewiązane sznurkiem. Zajęło ono wraz z nami miejsce w windzie, a służba hotelowa usiłowała odnosić się do niego z wielkim taktem.

- Czy to ma być ostatnia nowość, którą „Esquire” lansuje jako wykwintny bagaż w podróży dla dobrze ubranego Amerykanina? - spytałam.

A później zanurzyłam twarz w szorstką wełnę płaszcza Johna i rozpłakałam się w windzie tak, jak nie płakałam od trzeciego roku życia. Było to chyba mocno krępujące dla urzędnika, portiera i boya, jadących razem z nami, ale ostatecznie służba hotelowa widuje niejedno.

- Widzisz, nie miałem czasu odszukać swojej walizy. Wskoczyłem zupełnie nagle. Wprost z biura wsiadłem na statek. Szczoteczkę do zębów musiałem kupić na pokładzie...

Ten szczegół zwiększył tylko moje łkania i długo jeszcze po zainstalowaniu nas w pokoju 21 - 22 wylewałam potoki łez. John wziął mnie jak dziecko na kolana i głaskał po ramieniu, pomrukując od czasu do czasu:

- O, tak! Dobrze, dobrze. Wypłacz się. To ci ulży. Zrzuc kamień z serca. Oj, oj, oj, ile ty masz w sobie tej słonej wody! Masz, weź moją chusteczkę...

Niektórych mężczyźni kochamy za ich urodę, innych za ich inteligencję i zdolności, innych znowu dlatego że umieją

nas kochać lub dlatego że dobrze tańczą, albo ich towarzystwo odpowiada nam podczas podróży statkiem, w barze czy łóżku. Jednych kocha się instynktem, który mówi, że będą dobrymi ojcami naszych dzieci, drugich intelektem, ponieważ wyczuwa się w nich ten sam sposób myślenia. Innych znów zmysłami, ponieważ są namiętni, jeszcze innych wreszcie fizycznie, gdyż odpowiadają nam temperamentem. Kocha się czasem dlatego, że ktoś w ten czy inny sposób zakłada nogę na nogę, tak a nie inaczej pali papierosa, lub po prostu we właściwy sobie sposób trzyma ręce w kieszeniach. Jednych kochamy, bo jesteśmy im potrzebne, a innych - bo stawiają nam opór. Czasem kocha się kogoś za jego wady. Ciebie, Johnie, kochałam najwięcej wówczas, gdy byłam chora lub czułam własną bezsilność, kiedy byłam przerażona i nieszczęśliwa. Wielu mężczyznom zawdzięczam miłe chwile w życiu, ale przy tobie jednym mogłam cudownie, nie krępując się wypłakać każdy mój smutek. Dzięki ci, Johnie, że zawsze miałeś dla mnie w pogotowiu swoją chusteczkę do nosa...

- A teraz powiedz, jakim cudem znalazłeś się tutaj tak nagle, razem ze swoim pudłem? - zapytałam, wylawszy parę litrów łez.

- Ale nie martwisz się chyba, że przyjechałam?

- Och, nie, Johnie! To mi po prostu wraca wiarę w Opatrzność - powiedziałam usiłując powstrzymać szlochanie, wstrząsając mną jeszcze po ataku płaczu.

- Powinnaś w nią wierzyć - odparł John. - Ale to nie ona mnie tu sprowadziła, tylko Miss Crump po prostu. Ustawicznie kładła mi w głowę, że potrzeba mi wypoczynku, i w końcu miałem tego dość i wybrałem się w drogę.

- Czyżbyś niedomagał, Johnie? - spytałam zaniepokojona.

- Przeciwnie, jestem w doskonałej formie. Ale Miss Crump podsuwała mi również pod nos wszelkie możliwe

gazety na wypadek, gdybym przypadkiem przeoczył wiadomość, że pan Hitler schował Austrię w kieszeń. Uważała, że lepiej będzie, jeśli osobiście zaopiekuję się tobą. Nie miała zaufania, czy będziesz miała na tyle sprytu, by trzymać się z daleka od tego wszystkiego. A przede wszystkim, Marion, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że wyjechałaś z domu przed czterema miesiącami? Czyż człowiek nie ma prawa zateśknąć za własną żoną?

- Tak, tak, wiem dobrze - odparłam ze skruchą - że nigdy nie byłam typem, który Miss Crump uważałaby za odpowiedni na żonę dla ciebie. Ale, Johnie, wiesz przecież, że musiałam zająć się Michałem. Nie mogłam postąpić inaczej, prawda?

- A jak on się czuje? Lepiej? - spytał z miną bardziej zatroskaną niż w najgorszych momentach z okresu Dinky.

Potrząsnęłam głową.

- Sam się przekonasz. Nie zawsze zresztą jest w tak złym stanie jak dziś. Widzisz, miewa czasem takie chwile przygnębienia...

- Biedactwa! Musieliście tu przejść niejedną ciężki moment, prawda?

John podsunął mi pod brodę rękę ściśniętą w kułak, co miał zwyczaj robić, ilekroć chciał ukryć wzruszenie.

- Daj spokój, bo znowu zacznę beczeć.

John nalał do szklanki wody i dopilnował, bym wypila czternaście łyków, aby uspokoić łkanie, które przeszło w czkawkę. Umyłam twarz i poszłam do pokoju 417, by zanieść Michałowi radosną nowinę.

Tej nocy spaliśmy w naszych łóżkach z rękami splecionymi nad Wielkim Kanionem, a przed zaśnięciem opowiedziałam Johnowi o wszystkich powikłaniach, w które zostałam wciągnięta. Gdy skończyłam, zapalił papierosa i zaciągnąwszy się głęboko rzekł:

- Pomyślmy trzeźwo nad tym wszystkim.

Widziałam, jak malutkie światełko papierosa wędruje tam i z powrotem do jego ust, słyszałam, że pocierał sobie brodę, i wiedziałam, że rozmyśla. Była to dla mnie niezmierna ulga, ta świadomość, że John znajduje się przy mnie, że zdejmie z mych barków część kłopotów i ułoży wszystko.

- Posłuchaj, dziewczuszko - rzekł w końcu. - Są tu trzy różne sprawy i najlepiej będzie potraktować je oddzielnie. Najpierw sprawa doktora Konrada. Jeżeli ty i Michał jesteście zdania, że on może mu uratować wzrok, to musimy wydobyć stąd tego człowieka i wysłać go do Nowego Jorku. Pomówię jutro z naszym konsulem generalnym i zobaczymy, co się da zrobić. Jestem przekonany, że go puszczą, jeśli będzie miał wizę amerykańską. Zrobię wszystko, by otrzymał ją jak najprędzej. Tymczasem poproszę moich kompanów, by poruszyli wszelkie sprężyny celem wydobycia go z obozu.

Następnie trzeba koniecznie wyprawić stąd Klarę. Nie odebrali jej paszportu i, jak powiadasz, uprzedzili ją o przesłuchaniu w piątek. Może to być groźba, ale z drugiej strony kto wie, czy to nie życzliwe ostrzeżenie, by zmykała jak najprędzej. Mam wrażenie, że to raczej przestroga; po cóż inaczej zostawialiby jej paszport? Sądzę, że najrozsądniej będzie, jeśli wsiądzie w pociąg do Pragi i legalnie, otwarcie przekroczy granicę. Jeśli ją zatrzymają, zawsze będzie dość czasu na to, by obmyślić co innego. Milczał przez chwilę.

- A teraz przejdźmy do sprawy jej przyjaciela... Ten nie ma paszportu, a nawet gdyby miał, to i tak złapaliby go na granicy, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Trzeba będzie pożyczyć dla niego paszport u któregoś z kompanów i w ten sposób przemycić go za granicę. Jutro rano muszę dokładnie obejrzeć tego jegomościa, bym mógł wyszukać kogoś podobnego, kto zgodzi się pożyczyć mi paszport na kilka dni. Jak myślisz, czy on może uchodzić za Amerykanina?

- Kto? Flori? Na pewno nie! Wygląda tak po austriacku jak orzeł dwugłowy.

- Hm. To trudniejsza sprawa. A czy mógłby chociaż zachowywać się jak Amerykanin, by uratować swe życie?

- Nie przypuszczam. Nawet jeśli będzie szło o jego życie. Wątpię, czy kiedykolwiek widział Amerykanina...

- Trudno... Wydobędziemy go tak czy owak. Pogadam o tym z kompanami. Oni mają swoje chody. A teraz bądź grzeczną dziewczynką, nie martw się i zaśnij. Zobaczysz, że wszystko pójdzie gładko.

- Tak, Johnie. Dotychczas nie przypuszczałam, że to można załatwić tak gładko. Jestem bardzo głupia, tak przypuszczam.

- Możesz być tego pewna - rzekł i czułam, że uśmiecha się w mroku.

Jakie to zabawne, rozmyślałam, kończę już czterdziesty trzeci rok życia, a po raz pierwszy, dosłownie po raz pierwszy czuję, że jestem pod czyjąś opieką! To cudowne uczucie. Dzięki ci, Johnie, dzięki! Nie pragnę już samodzielności. Nie chcę sama borykać się z losem. Oczywiście, pozostaje jeszcze sprawa wzroku Michała. Ale to już moja sprawa i w tym wypadku żaden człowiek na świecie nie może mi pomóc, nawet John. Na tę myśl musiałam westchnąć, a chcąc powstrzymać westchnienie, uległam ostatniemu atakowi czkawki.

- A co byś powiedziała, gdybym położył się przy tobie i przytulił cię? - spytał John z przeciwległego brzegu Wielkiego Kanionu. - Może by ci to pomogło?

- Przypuszczam, że tak - odparłam z wdzięcznością robiąc mu w łóżku miejsce obok siebie. Wtuliłam głowę w przytulne zagłębienie na jego piersi koło ramienia i zamknęłam oczy. A więc to był Wiedeń, moje rodzinne miasto. A tu, obok mnie, leżał mój mąż, John W. Sprague III, z rodziny Sprague'ów z

Hartford. Jakie dziwne zakręty robi droga ludzkiego życia! Ringiem maszeruje wojsko, biją bębny, ale nie w takt marszu. Nie, to nie odgłos bębnów, to rytm serca Johna, tuż przy moim uchu, i to jego uderzenia nie były rytmiczne. To pewnie dlatego, że ma tak wielkie serce, przemknęło mi przez myśl. A później miękki aksamit snu i marzeń przesłonił rzeczywistość.

Już raz kiedyś, dawno temu, wyjeżdżałam z Wiednia rozgoryczona, z buntem w duszy. Gdy samolot wystartował obecnie, a pod nami w dole zarysowały się wieże kościołów i katedr, parki i mozaika dachów, Dunaj i łagodnie falista linia wzgórz, miałam tylko jedno pragnienie: bym w przyszłości nie musiała już nigdy wracać do martwoty tego wspaniałego miasta.

Samolot wzbijał się powoli. Przebił się przez gęsty kłęb białej waty, wznosił ponad zbitą warstwę chmur i przemknąwszy obok bladej tarczy porannego słońca skierował się na północ, ku granicy. Zauważywszy, że Renata blednie, uśmiechnęłam się do niej.

- Nie boisz się chyba, dziecinko?

- Miałabym się bać? Boże, nic podobnego! To po prostu taki nerwowy wstrząs.

Nagle wstrzymała oddech i chwyciła złoty krzyżyk wiszący na jej szyi na cienkim łańcuszku. Samolot wpadł w dziurę powietrzną, a Renata leciała po raz pierwszy w życiu. W chwilę potem wzięła spokojnie papierową torebkę i z rezygnacją, dyskretnie, zwróciła w nią wszystko.

John zorganizował wyjazd Riegerów w trzech grupach. Moja rola była najłatwiejsza.

- Bierz ze sobą Renatę i bądź cicho - rozkazał.

Klara wyjechała pociągiem poprzedniego dnia, wraz z Michałem, jako jego pielęgniarzka. To on sam wymyślił ten strategiczny manewr i błagał Johna, by mu pozwolił przemycić ją w ten sposób.

- Niechże chociaż na to przydadzą się te moje cholerne oczy - powiedział.

John uśmiechnął się, podnosząc brwi.

- Myślałem, że staniesz po stronie faszystów, młody człowieku. Jakim cudem chcesz brać udział w spisku przeciwko nim?

- Oto właśnie typowy przypadek, gdzie jednostka odczuwa konflikt między uczuciem osobistym a ideą - odparł z humorem Michał. - Nie potrafiłbym opuścić w nieszczęściu takich przyjaciół jak Klara i... i Renata. Prawda?

- Oczywiście - rzekł z wielkim zadowoleniem John.

Klara włożyła swój strój siostry Czerwonego Krzyża, przypięła medal otrzymany podczas wojny, a Michał wpadł w stan takiego podniecenia, jak aktor mający za chwilę wyjść na scenę. Tak samo przeżywał tremę Manfred Halban przed występem.

Paszport Klary okazał się wzorem poprawności, opatrzony mnóstwem pieczętek i wiz, w tym również wizą amerykańską. Przy okazji zdumiałam się niepomiernie stwierdziwszy, że jej prawdziwe nazwisko nie brzmiało bynajmniej Balbi. Nazywała się całkiem zwyczajnie: panna Przystapińska, i tylko w dawnej Austrii, w mieszaninie narodów było możliwe, by poddani mogli się martwić z powodu swego nazwiska. Teraz jednak oddało jej ono ogromną przysługę - wydostała się za granicę i szczęśliwie przyjechała do Pragi. W mojej torbce spoczywała depesza od Michała, następującej, umówionej treści:

Nie martw się z powodu mego przeziębienia, dziś czuję się o wiele lepiej.

John wziął na siebie przewiezienie Floriana Riegera. Zmobilizował w tym celu całą grupę mężczyzn. Trzech przyjaciół miało mu towarzyszyć i w razie potrzeby odwrócić uwagę straży granicznej oraz stworzyć pozory, że Flori jest



beztroskim, cudzoziemskim pasażerem, należącym do hałaśliwego i lekko wstawionego towarzystwa. Próba generalna tego wszystkiego odbyła się nocą w naszym pokoju hotelowym.

Flori zgolił wąsy, przedział na głowie zrobił z drugiej strony i włożył parę amerykańskich okularów w rogowej oprawie. Johnowi udało się zdobyć paszport, ale amerykański - tylko Amerykanie mieli widocznie dość odwagi i poczucia humoru, by zdobyć się na wyrwanie ofiary ze szponów hitlerowskich władz. Michał stracił parę godzin na wtłaczanie w głowę Floriego zdania: „Nie rozumiem po niemiecku”, najczystszy brooklyńskim akcentem, gdyż, jak na złość, Jack Conley, z którego paszportem miał podróżować Flori, pochodził właśnie z Brooklynu. Obecnie cała piątka znajdowała się w pociągu, ale nie mogli jeszcze przebyć granicy. Minuty posuwały się z wolna, a ja wciąż myślami błądziłam wokół Johna i Floriana. Widziałam ich niemal, jak siedząc w przedziale grają w brydża na kartonowym pudle Johna, zamawiają napoje i robią jak najwięcej zgiełku, by nie rzuciła się w oczy milkliwość Jacka Conley'a. Ciekawa byłam, czy Florian, poprawny gentleman, potrafi wywiązać się ze swej roli.

- Niech się pan nie odzywa, gdy pana ktoś zagadnie po niemiecku. Niech pan sobie zatka uszy woskiem, żeby nic nie słyszeć, tak będzie najlepiej. I, na litość boską, niech się pan nie odwraca, gdyby ktoś krzyknął pańskie prawdziwe nazwisko! Niech się pan nie denerwuje i niech pan nie wkłada rękawiczek. Niech pan wciśnie głębiej kapelusz, o tak. Niech pan nie zwraca uwagi na niemieckie dzienniki. Proszę udawać śpiącego albo pijanego, wszystko jedno. Był pan przecież na wojnie? Przechodził pan z pewnością gorsze momenty i wyszedł pan cało, nieprawdaż? Widzi pan - teraz jest znowu to samo, co na wojnie. Tylko się nie poddawać!

Flori ugiął się pod ciężarem rad, których mu udzielano. Włożono na niego garnitur z firmą „Brook Brothers”, zaopatrzone w walizę pooblepianą nalepkami statku, na którym rzekomo przybył z Ameryki, i na wypadek rewizji zapakowano do niej amerykańską bieliznę. Dano mu amerykański zegarek, a pod pachę wsunięto plik amerykańskich gazet. Nie zapomniano nawet o takim szczególe jak listy adresowane do Mr Jacka Conley'a, które wraz z portfelem zawierającym fotografie pani Conley z dwojgiem dzieci włożono do kieszeni Floriego. Mimo to jego towarzysze niepokoił się bardzo.

- Nie grał nigdy w futbol i dlatego nie ma zmysłu zespołowego - twierdzili. - Jeżeli wpadnie, leżymy wszyscy.

Miałam wrażenie, że John najchętniej zaaplikowałby mi jakiś silny narkotyk na czas trwania podróży, albo znokautował i nieprzytomnego przewiózł przez granicę. Gdy sobie wyobraziłam, co im się może przytrafić, poczułam, że robi mi się słabo. Gdybym miała taki złoty krzyżyk jak Renata, trzymałabym go pewnie kurczowo, i jak ona szeptałabym po cichu modlitwy, co biedaczka robiła na przemian z torsjami, nie wypuszczając z ręki swej papierowej torebki.

Nasz samolot wylądował o dziewiątej rano, a pociąg, którym jechali mężczyźni, miał przybyć na dworzec o czwartej po południu, a przyjechali dopiero o szóstej. Gdy zaleciałyśmy na miejsce, padał deszcz, ale Praga, podobnie jak Paryż, jest miastem, któremu srebrzystoszary opar dodaje tylko uroku. Michał leżał w łóżku z podwyższoną temperaturą i trochę za bardzo podniecony. Klara wyszła, podobno by zwiedzić Hradczany, ale podejrzewałam, że po prostu nie mogła usiedzieć na miejscu. Renata z początku udawała pielęgniarkę, ale po chwili, usłyszawszy dzwony kościelne, wymknęła się również, by się pomodlić.

Michał usnął, a Klara wciąż nie wracała. Co tu robić? Bóg, który w ostatnich czasach niejednym cudem działał dla mnie, pomógł mi i teraz. Na biurku znalazłam przycisk będący po prostu kawałkiem sękatego drewna. Wzięłam go do ręki i poczęłam obracać w palcach. Okazało się, że jest o wiele cięższy niż przypuszczałam, a powierzchnię ma szorstką, podobną do kory. Czubkami palców starałam się wyczuć jego kształt i tkankę. Wyjęłam z torebki mały nożyk, który zawsze nosiłam przy sobie, i zaczęłam rzeźbić coś, co widocznie tkwiło w mojej podświadomości. Drzewo, odporne z początku, zaczęło powoli poddawać się ostrzu i wkrótce wyłonił się kształt więźnia. Miał ręce skrepowane na plecach i klęczał z odrzuconą do tyłu głową, jakby przenikała go na wskroś ogromna męka. Stare lekarstwo nie zawiodło i tym razem. Przestałam myśleć o Michale, Johnie i Florianie Riegerze. Nie słyszałam ponownego bicia dzwonów, mając do pokonania trudności w sylwetce mego więźnia. Był to wciąż jeszcze zarys, gdy Renata wróciła z tak błyszczącymi oczami, jakby dopiero co skąpała je we łzach.

- Czy tatuś przyjechał?

- Pociąg będzie dopiero za dwie godziny.

Spojrzała na moją figurynkę, będącą na razie tylko zawiązkiem w łonie tworzywa, i zaczęła się śmiać.

- Co to będzie? Małpka?

- Sama jesteś małpka. Idź, umyj sobie buzię i przyczesz się, chyba chcesz ładnie wyglądać, gdy się Michał obudzi, może nie?

Nie spojrzała nawet w lustro zaplatając warkocze, ale gładziła tak długo włosy na głowie, póki nie przylegały zupełnie płasko do czaszki. Były to jakieś szczególne ruchy, ale zrozumiałam po chwili, iż starała się zrobić pociągającą nie dla wzroku Michała, ale dla dotyku jego rąk. Zdumiewało mnie nieraz w ciągu następnych miesięcy, jak dalece potrafiła

bezustannie pamiętać o jego chorych oczach. Nawet mnie zdarzało się czasem zapomnieć o tym i byłam zła na siebie, zrobiwszy chłopcu przykrość wskutek drobnej nieuwagi. Podeszłam do niej i przytuliłam policzek do jej policzka, chcąc jej okazać, jak bardzo ją lubię.

- Jestem strasznie głodna - powiedziała z powagą. - To dlatego, że wymiotowałam i teraz mam zupełnie pusty żołądek.

Jest to jeden z drobnych szczegółów, który zapamiętałam. Doskonale pamiętam też ciasto, które jedliśmy po powrocie Klary. Do dziś czuję jego smak. Było to drożdżowe ciasto nadziewane powidłami i posypane makiem obsmażanym w cukrze. Ale rozmowę, prowadzoną w oczekiwaniu na pociąg o 5.35, pamiętam piąte przez dziesiąte. Po prostu rzucałyśmy jakieś urywki zdań, by zabić czas. Wreszcie zadzwonił telefon: dzwonił John.

- W porządku - powiedział.

Zdawało mi się, że brakuje mu tchu, i słyszałam, że dyszy głośno.

- W porządku? Wszystko? - zapytałam.

- Tak. Wszystko w porządku. Jesteśmy już na dole. Umyślnie zadzwoniłem, zanim wejdziemy na górę, by - jak to powiedzieć - osłabić wrażenie.

- Doskonale - odparłam, po czym zwróciłam się do Klary:

- A więc już są. John powiada, że wszystko w porządku.

Byłam zupełnie nieprzytomna z powodu gwałtownego odprężenia. Michał otoczył ramieniem szczupłe ramionka Renaty.

- Spokojnie, Bummerl, spokojnie - szeptał.

Klara trzymała w ręku mego niedokończonego więźnia.

- Czy nie będziesz się gniewać, jeśli pójde do swego pokoju? - spytała. - I przyślesz mi tam Floriana? Nie lubię robić z siebie przedstawienia...

Dziwnie sztywno poszła ku drzwiom i bałam się przez chwilę, że zemdleje. Była to zabawna myśl. że Klara, dumny, silny archanioł, mogłaby zemdleć.

Wyszła jednak opanowawszy się, właśnie w chwili, gdy winda zatrzymała się na naszym piętrze.

- Leć, Bummerl - powiedział Michał, dając Renacie lekkiego klapsa w ramię. W progu zderzyła się z Johnem i nagle, pochyliwszy się, chwyciła jego rękę i pocałowała ją wybiegła z pokoju. John stał zmieszany, trąc dłoń.

- Hallo, zbawco! - zawołałam, ale zdaje się, nie był w tej chwili nastrojony do żartów. Podszedł do telefonu.

- Obsługa pokoi?... Nie, nie mówię po czesku. Lepiej byłoby, gdybyście wy mówili po angielsku. Proszę mi zaraz przysłać na górę butelkę szkockiej whisky, tak, całą butelkę, i wodę mineralną z lodu.

- Czy to była ciężka przeprawa, Johnie? - zapytałam go późno w noc, gdyśmy już leżeli, a on ujął moją rękę.

- Nie, raczej komiczna. Tylko dwa momenty były niemiłe. Raz w Bratysławie, na granicy, gdzie jeden z ludzi kontrolujących paszporty poznał Riegera. Był on dawniej kelnerem w jednej z tych przeklętych kawiarni, w których wiedeńscy trawia najlepsze lata swego, życia. Rieger stracił zupełnie głowę, ujrawszy go w mundurze. Zaczął powtarzać: „To już koniec. Koniec ze mną.”

Trzeba było jednak próbować szczęścia, choć, prawdę powiedziawszy, nie miałem wielkiej nadziei, że nam się uda. I wyobraź sobie, ten człowiek ani mrugnął. Jakby go sobie w ogóle nie przypominał. Byliśmy przekonani, że Rieger zwariował i ulega halucynacji; celnik bowiem uśmiecha się z ukłonem i oddając mu paszport powiada najczystsza angielszczyzną, jaką kiedykolwiek słyszałem: „Dziękuję, panie Conley”. Ale wiesz, co stało się potem? W momencie gdy wsiadaliśmy z powrotem do wagonu, zjawia się ten

człowiek i nie patrząc na Riegera mówi: „Szczęśliwej podróży, panie baronie Rieger. Życzę powodzenia!” Dziwni ludzie, ci twoi rodacy! Powiadają ci, nogi ugięły się pode mną jak camembert...

Patrzyłam na palący się w ciemności papieros Johna, wędrujący do jego ust, i usłyszałam, jak odetchnął głęboko.

- A co się stało drugim razem? - spytałam.

- Drugim razem? Ach, tak, to było jeszcze gorsze. Po tym alarmie wszyscy gęsiego udaliśmy się do WC. I gdy obaj czekaliśmy pod drzwiami, Rieger - mężczyzna! - łapie mnie za rękę i całuje! Zupełnie jak ta smarkata. Była to najobrzydliwsze uczucie, jakiego doświadczyłem w życiu! Żeby mężczyzna pocałował mnie w rękę! Jezu Chryste! Miałem wrażenie, że setki robaków roją mi się w rękawie...

- Ależ Johnie! Nie zapominaj, że uratowałeś mu życie - powiedziałam, pękając w ciemnościach ze śmiechu. - Pamiętaj, że austriackie matki przyuczają synów do „całowania rączek”. Zresztą córki również... o tak.

Poczułam, że ręka Johna zadrżała, gdy przyłożyłam do niej usta. Kochałam go w tej chwili tak bardzo, że zapomniałam nawet o Michale i jego oczach.

Nazajutrz rano właśnie jedliśmy wszyscy śniadanie w moim pokoju, gdy jakiś niski, tłusty, uśmiechnięty jegomość zażądał widzenia się z Florianem Riegerem. Zapukano do drzwi i zamiast oczekiwanego boya zjawił się w nich ów grubas.

- Przepraszam, że państwu przeszkadzam o tak wczesnej porze - powiedział. - Ale jest to sprawa dość ważna. Czy mam przyjemność mówić z panem baronem Florianem Riegerem? - spytał, zwracając się do Floriego.

John nie zrozumiał, ponieważ jegomość mówił po niemiecku. Klara pod stołem trąciła nogą Floriego, aby się nie zdradził.

- To jest mój pokój i pan się chyba pomylił - rzekłam, odstawiając filiżankę. - Mój małżonek, Mr Sprague, i jego przyjaciel, Mr Conley, nie rozumieją po niemiecku. A więc mnie musi pan wytłumaczyć, o co chodzi.

- Przychodzę do pana z poleceniem od pańskiej matki, panie baronie - rzekł mały grubas, puszczając mimo uszu moje słowa i zwracając się wyłącznie do Floriego.

Nastąpiła chwila ciszy, tylko Renata z hałasem upuściła łyżeczkę; przygotowywała właśnie dla Michała jajko po wiedeńsku.

- Pańska matka, pani baronowa Aloizia Rieger, mieszka w Thaya, willa „Tannenruh” - rzekł jegomość, wydobywając kopertę z kieszeni. - Otrzymałem rozkaz doręczenia panu tego listu od niej. Czy nie zechce pan zapoznać się z jego treścią? Nie? A więc będę miał zaszczyt przeczytać go panu.

Mały grubas wyciągnął okulary, umieścił je na nosie i wydobył list z niezaklejonej koperty.

Drogi mój synu! - zaczął czytać bezbarwnym głosem. - Zostałam zaaresztowana i nie zwolnią mnie dopóty, dopóki ty nie wrócisz do Wiednia. Błagam cię zatem, wracaj zaraz i uratuj życie twej nieszczęśliwej

Matce

Położył list na stole, przed Florianem, pomiędzy maselniczką a talerzykiem konfitur.

- Poznaje pan pismo swojej matki? - spytał łagodnie.

- Flori... - powiedziała Klara.

Michał siedział wyprostowany, trzymając dłoń Renaty w swojej, Renata z pasją gryzła koniec warkocza, ale nie płakała ani nie krzyczała. John wstał odsuwając krzesło.

- Powiedzcie mi, co to wszystko ma znaczyć?

- Daję panu dziesięć minut do namysłu, panie baronie - rzekł uprzejmie jegomość. - Na zewnątrz czeka dwóch ludzi, by pana odprowadzić do pociągu, o ile pan zdecyduje się

jechać. Rozumie się, nie wywieramy na pana żadnego nacisku. Jeśli pan pojedzie, zrobi to pan absolutnie z własnej, nieprzymuszonej woli. Czy panie pozwolą mi zapalić?

Zapaliwszy cygaro z ohydnie ostentacyjną dyskrecją usunął się do okna i udawał, że wygląda przez nie.

- Klaro? - powiedział Flori.

- Tak, najdroższy... - odparła, patrząc mu prosto w oczy z odwagą wprost nie do zniesienia.

- Ty wiesz, że nie mogę zostawić matki w ich rękach, prawda?

- Tak, Flori.

- Wybaczysz mi, jeśli tam wrócę? Klara skinęła głową.

- Nie chciałabyś, bym uratował się za taką cenę?

- Pewno że nie, Flori.

- Wiedziałem o tym. Renato?

- Tak, tatusiu?

- Co byś zrobiła na moim miejscu?

- To samo, tatusiu.

- Przyrzeknij mi, że zaopiekujesz się Klarą.

- Tak, tatusiu, i będę się modliła za ciebie. Wkrótce będziesz wolny.

- Na pewno, dziecinko. Klaro... od tej chwili to jest twoja córka. Czy wychowasz ją tak, jakbym ja ją wychował?

- Ja chcę wracać z tobą - rzekła Klara. - Marion zaopiekuje się Renatą.

- Nie bawmy się w sentymenty. (Biedny Flori! Był najsentymentalniejszym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu). Musimy przecież być rozsądni. Jeśli wrócisz ze mną, wszystko stanie się sto razy trudniejsze. Jak długo jesteś wolna, masz zawsze możliwość przyjścia mi z pomocą.

- Flori ma rację - odezwał się. - Wyciągniemy go z tego, prawda, Johnie? Musisz zostać z nami. Może to zresztą



tylko czysta formalność. Może go tylko tam zawiozą, a my już poruszymy wszystkie sprężyny, żeby go zaraz wypuścili.

Wszyscy wiedzieliśmy dobrze, że były to słowa na wiatr, ale w tej chwili chcieliśmy się łudzić. Kiedy Flori wziął Klarę w objęcia, złękłam się, by się nie załamał, nie rozplakał lub nie zrobił jakiejś straszliwej sceny. Ale nic takiego nie zaszło. On, tak na ogół gadatliwy, był cichy i milczący. Ucałował Klarę i Renatę, uściskał dłoń Johna i Michała, a skłoniwszy się przede mną, rzekł:

- Dziękuję za wszystko, Marion, auf Wiedersehen. Całuję rączki. Dzięki raz jeszcze, panie Sprague. Przykro mi, że zrobiłem panu tyle kłopotu... zwłaszcza że wynik jest taki... Gruss Gott. Do widzenia.

Zwrócił się potem do małego, grubego jegomościa:

- Pozwoli pan, że wezmę drugi garnitur na zmianę i parę koszul. Przypuszczam, że chce być pan obecny w pokoju, gdy będę pakował rzeczy, panie... Jak pańskie nazwisko?

- To bez znaczenia... - mruknął grubas, po czym skłonił się każdemu z nas z osobna. - Przykro mi, że zakłóciłem państwu spokój przy śniadaniu - powiedział, a wskazując drzwi Riegerowi, rzekł uprzejmie: - Pan zechce pójść pierwszy, panie baronie.

Na zewnątrz czekało dwóch mężczyzn. Nie nosili wprawdzie mundurów, ale ich wygląd i sposób zachowania zdradzał strażników więziennych.

Spojrzałam na Michała po zabraniu Floriego. Trzymał w rękę moją figurkę więźnia; rozłamał ją na dwie połowy, a łzy spływały mu spod czarnych okularów.

John, podszedłszy, poklepał go po ramieniu.

- Głowa do góry, synu - powiedział. - Głowa do góry, mój chłopcze. Teraz, kiedy już użyłeś sobie do woli, pora wreszcie opuścić tę przeklętą Europę i wracać do domu. Chyba że jeszcze wciąż podoba ci się tutaj?

## ROZDZIAŁ V

Nadszedł ważny moment, gdy Marion odkryła w swym plecaku butelkę likieru gencjanowego. Widocznie leżała sobie w bocznej kieszeni od ostatniej wyprawy na narty z Krzysztofem i jakimś cudem uniknęła rozbicia, gdy Marion wpadła w rozpadlinę. Nie ma na świecie bardziej wzmacniającego napoju niż taka nalewka na korzeniach alpejskich roślin. Marion pociągnęła kilka łyków i od razu poczuła, że jej rezygnacja znika, a jej miejsce zajmuje nieokiełznany optymizm. Znów ciepło poczęło ogarniać jej ciało, a zlodowaciałe wargi zaczęły tajać. Mam tutaj przecież wszystkie wygody, pomyślała. Jestem ciepło ubrana, noga mnie nie boli i mam dość miejsca, by się poruszać i rozgrzać. Słońce jeszcze nie zaszło, a Krzysztof na pewno wyruszył już na poszukiwania. Mam papierosy i czekoladę, a nawet tę błogosławioną butelkę, dającą mi siłę i otuchę. Zapalniczka działa, a w kieszeni mam jeszcze inny czarodziejski przyrząd, mianowicie moje wieczne pióro. Mogę dla zabicia czasu napisać kilka listów do moich przyjaciół. Mogę wypić połowę mojej butelki, drugą połowę zachowując na rozniecenie ognia, gdyby mi na to przyszła ochota. Jeślibym podpałiła plecak, ogień płonąłby przez parę godzin...

W doskonałym nastroju Marion, usadowiwszy się wygodnie, puściła w ruch swoje wieczne pióro.

Droga Klaro - zaczęła pisać - nie zdziw się, otrzymawszy list skreślony na papierze, jeżeli nie nazbyt poetycznym, to w każdym razie najbardziej higienicznym, jaki może istnieć. Nie ruszam się nigdy w góry bez zapasu tego użytecznego materiału i oto, okazuje się, że obecnie oddaje mi on wielką przysługę. Wpadłam w głąb szczeliny i oczekuję właśnie przybycia ekipy ratowniczej.

Chętnie wysłałabym ci stąd pocztówkę z widokiem tych wszystkich czarodziejskich kryształów rzucających

błękitnozielone blaski, ale rozporządzam jedynie papierem toaletowym. Życie - jak wiesz - jest ciągłym szeregiem kompromisów i obie od dawna musiałyśmy się z tym pogodzić, że na świecie nie istnieje nic stuprocentowego. Myślę o tobie, Klaro, moja droga, serdeczna przyjaciółko, i próbuję odgadnąć, co możesz robić w tej chwili.

Przypominam sobie twoją ostatnią wizytę, jeszcze za życia Johna, który właśnie wyjechał do Albany; wróciłyśmy wtedy bardzo późno z jakiegoś przyjęcia. Postanowiłyśmy przejść się jeszcze trochę po parku, by przed snem zaczerpnąć świeżego powietrza. Gardenie, przypięte do naszych ramion, zwiędły. Nie miały jeszcze brązowego koloru, ale przybrały już żółtawy odcień topionego masła.

- Dla nich, tak jak dla nas, wszystko się już skończyło - powiedziałam, a ty dodałaś:

- Tak, ale właśnie teraz pachną.

Nie pamiętam, która mogła być wtedy godzina, ale przypuszczam, że było między piątą a szóstą rano. Świt był rześki, na ulicach panował spokój, i gdyśmy doszły do parku, najwyższe piętra drapaczy chmur poróżniewały jak wnętrza muszli. Spostrzegłam coś na jezdni, coś, co zajęło mnie do tego stopnia, iż zostawiwszy cię na chodniku, zbliżyłam się, by obejrzeć to coś z bliska. Nie wierzyłam własnym oczom, a jednak była to prawda. Tam, na środku jezdni, leżało jabłko końskiego nawozu, jeszcze ciepłe, lekko parujące w chłodzie poranka. Skinęłam na ciebie; podeszłaś, by zobaczyć, co znalazłam.

- Prawda, jakie to ładne? - spytałam, a ty, patrząc na nie również z przyjemnością, rzekłaś:

- Przecież na Manhattanie to niemal cud! Jak myślisz? Skąd się tutaj wzięło?

- Może koń mleczarza? - poddałam. A ty dorzuciłaś:

- Wszystko jedno. Jest wspaniałe. Pachnie... czy to ci nie przypomina mnóstwa przyjemnych rzeczy? A kolor ma zupełnie złoty.

- Tak. I za chwilę przyleci mały wróbelek, dziobnie, potem zleci się cała gromada jak w pogoni za złotem.

- To odkrycie uczyniło ten poranek czymś naprawdę rozkosznym - rzekłaś. A potem dodałaś jeszcze: - Przecież to jeden z przejawów życia.

Wróciłyśmy potem do domu i przyrządziłyśmy kawę, bekon i tosty.

Widzisz, Klaro, my obie mamy swoje własne kłopoty i radości, naszych mężczyzn, sprawy zawodowe i własne życie. Ale z tobą jedną mogłam podzielić radość z jabłka końskiego nawozu znalezionego na drodze i ty jedna rozumiałaś mnie zawsze, bez zbytecznych słów.

Chciałabym mieć cię przy sobie w tej chwili. Ta przygoda z tobą byłaby podwójnie zabawna - gdybyśmy mogły się pośmiać z niej obie. Nie potrzebuję ci mówić, co myślę. Gdybyś kiedykolwiek otrzymała ten list, będzie to znak, że sytuacja była naprawdę poważna. Wiem jednak, że jeśli do tego dojdzie, domyślisz się tego, o czym nie piszę, i bez mojej prośby zrobisz wszystko, czego mogłabym sobie życzyć.

\* \* \*

Marzec 1939. Było to w nasz pierwszy wieczór w Staufen, kiedy spotkaliśmy Krzysztofa.

Ten wieczór był tak ciemny, że cała wioska wydawała się zamknięta w łupinie orzecha. Czułam się samotna jak palec, wyszedłszy na werandę, aby się móc wypłakać. Od kilku godzin zbierało mi się na płacz; miałam wrażenie, iż jestem starym, gumowym termoforem, w którym zrobiła się dziurka, i bałam się, by me łzy nie pociekły, zanim Michał nie zaśnie.

Przyjechaliśmy po południu i z dworca autokar zawiózł nas do hotelu, jedyne przyzwoitego hotelu w Staufen, poza

olbrzymim sanatorium dla chorych na gruźlicę, położonym na południowym zboczu. Tego samego popołudnia udaliśmy się do małego domku, w którym mieszkał obecnie doktor Konrad, i tutaj wzrok Michała został poddany surowemu badaniu. Przeprowadziłam później Michała przez plac do hotelu i zjedliśmy obiad w jadalni o drewnianych ścianach; wkładałam mu kolejno w rękę talerze, łyżki, solniczkę, widelec - jak zwykle. Górskie powietrze dodało mu werwy i począł komicznie naśladować szwajcarską niemczyznę, którą mówiła służąca. Tyle mówił i śmiał się tak głośno, iż goście od innych stolików poczęli oglądać się ukradkiem, spoglądając na nas, nowych przybyszów, z chłodną niechęcią, jaką zwykle zasiedziali goście okazują nowo przybyłym. Z trudem udawało mi się zachować spokój w głosie i nie dopuścić do tego, by łzy popłynęły ze mnie jak z dziurawego termoforu. Słuch Michała tak dziwnie się wyostrzył, że przez cały czas musiałam mieć się na baczności.

- A więc powiedz mi teraz, co ci zdażył naopowiadać stary Konrad?

- Och, zdaje się, że jest bardzo zadowolony z twego stanu. Przecież wiesz, że jest pewny, iż potrafi wyleczyć tę chorobę.

- Na serio?

- Bez wątpienia. Powiedział mi, że udało mu się jeszcze ulepszyć jego tubokolinę.

- Czy nie uważasz, że Konrad się zmienił?

- Co przez to rozumiesz? - spytałam, chcąc sprawdzić, czy Michał widzi jeszcze na tyle, by spostrzec, co zrobili z doktorem. Miał zapadnięte szczęki i wywiniętą górną wargę, spoza której wyglądały świeżo wprawione sztuczne zęby, co nadawało mu wyraz łakomy a zarazem złośliwy. Ten sam wyraz widziałam już kiedyś - na pyszczku małej małpki u Apfla.

- A więc, przede wszystkim, jego zapach się zmienił; jest teraz zupełnie znośny. A następnie - czy nie zauważyłaś? - lubi teraz gadać. Przypomnij sobie tylko, jaki był dawniej milczący - jak karp. Teraz trudno go po prostu zahamować, kiedy zacznie opowiadać swoje historie.

- Może nie wolno im było rozmawiać w obozie koncentracyjnym i gdy odzyskał wolność, chce to sobie powetować.

- Mam nadzieję, iż nie poprzestanie tylko na słowach, i że zrobi dla mnie więcej niż ci, tam w Ameryce.

- Chyba po to przyjechaliśmy tutaj, Micki? Ale wiesz, czego on wymaga - zaufania i bez - względ - ne - go posłuszeństwa.

- Słucham, panie profesorze. Mam zaufanie i będę posłuszny. Ale jeśli dziś wieczorem każesz mi wypić jeszcze jedną szklankę mleka, to pęknę.

Nie wiem, dlaczego mężczyzna pijący mleko tak zawsze wzrusza kobiety. Musi to pozostawać w jakimś tajemniczym związku z typowo kobiecym mechanizmem laktacji. Gdy w godzinę później Michał leżał już w łóżku, patrzyłam na niego, jak pił swą szklankę mleka, na którą jednak udało mi się go namówić. Trzymał ją oburącz, jak za czasów swego dzieciństwa, i znowu z trudem powstrzymywałam się od rozczulenia.

- A teraz - dobrej nocy i niech ci się przyśni coś miłego - rzekłam, przechodząc koło jego łóżka. - Wiesz? Sen na nowym miejscu zawsze się sprawdza.

Nie powinnam była tego powiedzieć; był to ostatni cios zadany memu gumowemu termoforowi. Michał chwycił mnie za rękę i przyciągnąwszy do siebie, rzekł łagodnie:

- Dlaczego zadajesz sobie tyle trudu, Momy? Przecież przede mną nie musisz udawać. Naprawdę. To mnie obraża. Nie jestem tchórzem. Powinienem gromadzić pojęcia o wielu

rzeczach, dopóki jeszcze można; na zapas. Przypomnij sobie, co powiedział stary, mądry Szekspir: „Mężczyźni powinni umieć odchodzić, jak przyszli; wystarczy być na to przygotowanym...”

Gdy tylko Michał zasnął, wśliznęłam się w stare niedźwiedzie futro Johna, przywiezione z Nowego Jorku, i wyszłam na werandę, biegnącą wzdłuż fasady hotelu. Na dworze było tak ciemno, iż posuwając się naprzód, musiałam się oprzeć o balustradę. Nie było widać gór ani jezior, niebo i gwiazdy nie istniały, tylko nisko nawisłe chmury otulały wieś swym aksamitem. Wszystkie odgłosy przycichły, a światełka pogasły.

Czułam pod palcami wilgotne drewno balustrady i chłodną wilgoć padającą mi na włosy i policzki. Czułam się mała, beznadziejnie samotna i zagubiona w świecie. Otuliłam się szczelnie w futro i rozplakałam się. Przez całe życie zazdrościłam ludziom posiadającym łatwość łez. To przecież tak, jakby się serce oddawało do prania i odbierało z powrotem wykrochmalone, gładkie, bez jednej fałdki. Ale ja należę do tych nieszczęsnych ludzi, którzy nie potrafią płakać; mają tylko ściśnięte gardło, lodowate ręce, dreszcze przebiegające wzdłuż pleców jak noże przesywające całe ciało... ale łez nie wylewają. Ostatni raz płakałam po niespodziewanym przyjeździe Johna do Wiednia. Na wspomnienie tego dnia podwójnie obfity strumień łez puścił mi się z oczu.

Nie płakałam, kiedy Miss Crump zadzwoniła do mnie wtedy z biura, by potokiem rozżalonych słów, przerywanych co chwilę przez „a nie mówiłam”, zawiadomić mnie, że John, uległszy wylewowi krwi do mózgu, został przewieziony do szpitala. Nie płakałam w sali przedsiębiorstwa pogrzebowego, gdy prezbiteriański duchowny z twarzą kłowna zrywał sobie płuca, by nas doprowadzić do płaczu; a nawet wówczas, gdy

wezvano mnie do ostatniego pożegnania z Johnem (tak pięknie napuścili mu twarz tłuszczem i różem, że wyglądał jak olbrzymia, uśmiechnięta lalka, zupełnie mi obca). Nie zapłakałam, gdy trumna przy dźwiękach orkiestry, wśród stosu kwiatów, zniknęła powoli w zapadni krematorium z tą przedoskonaloną, zmechanizowaną precyzją, która pogrzeby amerykańskie czyni tak mało ludzkimi. Nie płakałam, gdy czytano testament Johna i ów sławny trust począł działać; ani wtedy, gdy robiąc porządek w jego biurku, znalazłam wszystkie moje listy pisane do niego przed naszym ślubem, rachunek z hotelu Savoy za apartament, który kiedyś wynajął dla mnie, i dwa jadłospisy z restauracji, w której jedliśmy wówczas razem. Na ślubie Marcina byłam najbardziej dekoracyjną, a najmniej wzruszoną matką, a gdy John - junior wyjeżdżał do Chin, wydałam dla niego i dla jego przyjaciół doskonały pożegnalny obiadek, nie tracąc zupełnie równowagi. Dopiero teraz, w tę ciemną, dziwną, cichą noc, owinąwszy się w starą niedźwiedzicę Johna i oparłszy o balustradę obcej werandy, otwarłam śluzy i pozwoliłam łzom swobodnie płynąć.

Płakałam długo i rzewnie, a im więcej zalewałam się łzami, tym bardziej miałam ochotę płakać. Słyszałam własne łkanie i sprawiło mi wielką ulgę móc sobie na nie pozwolić. Otoczyłam ramionami jeden ze słupów podpierających dach werandy, wsparłam na nim czoło i dałam upust swej żalości. Czułam, że drzewo drży, jakby żyło i współczuło mi. W końcu szlochałam już tylko cicho i poszukawszy chustki do nosa, wytarłam sobie twarz.

I właśnie wtedy w panującej dokoła ciszy usłyszałam tuż obok siebie szelest cichego pocierania. Ktoś zapalił zapalniczkę; małe światełko błysnęło, zakreśliło łuk w powietrzu i zbliżyło się do fajki. W ciągu tej sekundy zauważyłam, że część werandy była oddzielona od reszty barierką. Za tą



barierką stało krzesło, a na nim siedział mężczyzna. Później znowu wszystko zatoneło w mroku. Usłyszałam, że pyka swoją fajkę, rozszedł się zapach dymu, a potem rozżarzony ognek wydobyl z ciemności zarys podbródka i policzka, po czym znikł.

Momentalnie przestałam szlochać. Zdawałam sobie sprawę, że mężczyzna siedzący na krześle wykazał niesłychanie wiele taktu, w ten sposób usiłując mi zdradzić swą obecność. Musiała to być przecież diablo kłopotliwa sytuacja dla mężczyzny, siedzącego sobie spokojnie na swojej werandzie, stać się nagle przypadkowym świadkiem nerwowego ataku zupełnie obcej kobiety. Mógł być nietaktownie opuścić werandę, na znak głośnego protestu. A jednak mój niewidzialny sąsiad okazał wielką wyrozumiałość operując fajką i zapalką i byłam mu za to nieskończenie wdzięczna. Jego gest pomógł mi również przestać płakać. W ciszy, która zapanowała, usłyszałam jego równy, spokojny oddech.

- Bardzo mi przykro... - zaczęłam, odzyskując panowanie nad swoim głosem. - W rzeczywistości nie jestem taką neurasteniczką, jakby się na pozór zdawało.

Ciemności rozjaśniły się znowu, zanim przyszła odpowiedź.

- Ależ nie - powiedział łagodny głos. - Z początku to ta wysokość działa raczej ujemnie na system nerwowy. Pamiętam, że w pierwszym tygodniu pobytu tutaj odczuwałem gwałtowną ochotę tłuczenia naczyń.

- Tak, to prawdopodobnie skutki wysokości nad poziomem morza - rzekłam, podchwytyjąc zbawcze koło ratunkowe, tak uprzejmie mi podsunięte.

- Z całą pewnością. Gdyby pani policzyła teraz uderzenia swojego pulsu, na pewno byłyby poniżej normalnego stanu.

Proszę sobie wyobrazić, że tutaj potrzeba sześciu minut na ugotowanie jajka na miękko.

- Normalnie potrafię nie płakać całymi latami - powiedziałam z uczuciem lekkiej wdzięczności.

- Nie mówmy już o tym, proszę pani, bo naprawdę będzie mi przykro.

- Dzisiejszy wieczór jest strasznie ciemny, prawda? - rzekłam, chcąc skierować rozmowę na inne tory.

- Tak. Możliwe, że jutro będzie padać deszcz, a może nawet śnieg. Chociaż jest za ciepło na śnieg.

- Ciepło? Ależ mnie się zdaje, że jesteśmy na biegunie północnym!

- Prędko pani przywyknie do górskiego klimatu. W przyszłym tygodniu, gdy księżycza zacznie przybywać, będziemy mieli wspaniałą pogodę. W ostatnim tygodniu mieliśmy trzy bardzo piękne dni. Dopiero wczoraj pogoda się zmieniła.

Słuchałam tego spokojnego, prawdziwie brytyjskiego głosu.

- Dlaczego Anglicy mówią zawsze o pogodzie? To ma w sobie coś bardzo uspokajającego.

- Tak, jesteśmy straszliwie banalni, i sprawa załatwiona, prawda?

- Oksford? - spytałam, próbując zdefiniować jego akcent.

- Ach nie. Nic aż tak ważnego. Cambridge... - odparł głos z ciemności.

Rozległo się znowu lekkie potarcie, iskra, a potem płomyk zbliżył się ku mnie, pod osłoną zgiętej dłoni, którą przeświecił na wskroś. Zapalając papierosa widziałam kości i żyły w tej ręce, a gdy podniosłam oczy, przez moment ujrzałam jego twarz, łagodnie oświetloną na tle panujących dokoła ciemności. Miał okulary, spoza których jego oczy wpatrzyły

się we mnie z tym specjalnie skupionym wyrazem, właściwym krótkowidzom.

- Dziękuję - rzekłam, dmuchnięciem gasząc zapalną. Ciemność otoczyła nas znowu, stojących bardzo blisko siebie, bardzo sobie obcych i bardzo odciętych od reszty świata. Miłe zapachy fajki i mego papierosa połączyły się i przez chwilę zachowywaliśmy milczenie. Później usłyszałam, że wstaje ze swego krzesła.

- A więc... dobranoc... - powiedział. - Mam nadzieję, że jutro będzie się pani czuła lepiej.

- Niech pan jeszcze nie odchodzi... To znaczy miałabym takie wrażenie... że wypłoszyłam pana z werandy, gdyby pan teraz odszedł. Chciał pan sobie spokojnie wypalić fajkę, a ja zepsułam nastrój swoim mazgajstwem.

- No więc dobrze... jeśli pani ma ochotę jeszcze chwilę porozmawiać - rzekł niepewnie.

Raczej wyczułam niż ujrzałam, iż oparł się na dzielącej nas barierce. Ciepło, bijące od niego, dochodziło aż do mnie wraz z zapachem wilgotnego tweedu. Wełna owcza na deszczu. Był o wiele wyższy ode mnie.

- Zaczynam przyzwyczajać się do ciemności, już trochę widzę... - powiedziałam.

Przysunęłam sobie krzesło i usiadłam; on również usiadł uprzejmie.

- Czy pani zna już tę część Szwajcarii? - zapytał, próbując na nowo nawiązać rozmowę. - Jest prześliczna, o ile ktoś lubi góry.

- A pan je lubi?

- Słucham? Ach, tak, bardzo lubię. To moja największa miłość.

- To musi być przyjemne, gdy przedmiot miłości jest tak wspaniały i potężny.

- Lubi pani narty?

- Owszem, bardzo.

- A więc będzie się pani tutaj dobrze czuła. Tutejsze warunki sprzyjają aż do maja jeździe na nartach. Tam, na Keesie, można jeździć niemal przez cały rok - wskazał jakiś kierunek we mgle. - To strasznie przykre, że nie widać dzisiaj gór. Są cudowne. Łańcuch Keesu jest najniższy po tamtej stronie jeziora; trzeba przejść przez przełęcz i przez lodowiec, by się dostać na Grauhorn. To ten wielki szczyt, tam, z tyłu. Jest tu w okolicy siedem lodowców, ale najpiękniejszy jest ten na Grauhornie. Ma kształt klonowego liścia. Będzie się pani podobał, jeśli lubi pani góry.

- Mówi pan o nim jak o żyjącej istocie.

- Bo to jest dla mnie istota żyjąca. Istota ogromna, surowa, piękna i niebezpieczna.

- Niebezpieczna?

- Tak, w tej chwili niebezpieczna. To pora lawin. Trzy lata temu lawina przysypała dwanaście osób, z których tylko cztery ocalały.

- Przez cztery lata mieszkałam w Alpach Bawarskich. Nie lękam się gór. Jeśli się je dobrze zna, nie są niebezpieczne.

Nie było na to odpowiedzi i pomyślałam sobie, że w stosunku do moich poprzednich łkań i płaczu, słowa te musiały mu się wydać mocno pretensjonalne.

- Przykro mi, że płakałam - rzekłam usprawiedliwiając się. - Ale, proszę mi wierzyć, że miałam po temu ważną przyczynę.

Wytrząsnął fajkę za balustradą.

- Rozumiem... Bardzo mi przykro - powiedział po chwili kłopotliwego milczenia.

Biedny Krzysztofie! Nawet się sobie jeszcze nie przedstawiliśmy; co ty musiałeś wycierpieć w swej angielskiej duszy, ostrożnej i zawsze na miejscu, gdy zaczęłam przed tobą wylewać swe żale! Ale ja przyjechałam z Ameryki, gdzie

ludzie sami o sobie mówią wszystko i interesują się prywatnym życiem swych bliźnich. A poza tym musiałam mówić, bo inaczej słowa by mnie rozsadziły. Noc była taka ciemna, bezpośrednia i tajemnicza jak konfesjonał. Puściłam się na szerokie wody.

- Przywiozłam chorego do lekarza, a ten zrobił mi bardzo niewiele nadziei. Dlatego płakałam.

- Strasznie mi przykro. A jednak podobno dokonuje się teraz nadzwyczajnych rzeczy w zakresie chirurgii płuc - odezwał się głos z wyraźną intencją pocieszenia mnie. (Wyobraź sobie, mój drogi, baba płacze najpierw jak małe dziecko, a później zaczyna przede mną wywlekać całą historię swego życia! Była to rzeczywiście niemiła sytuacja i pomyśl, żeśmy nawet nie przedstawili się sobie!!!)

- To nie ma nic wspólnego z płucami. Tu chodzi o oczy.

- Ach, oczywiście! Jakież ja jestem niemądry. Widziałem przecież tego młodego człowieka z panią w jadalni. I myślałem: jakież to wesoły chłopak...

- Tak, on znosi to raczej nieźle... - powiedziałam.

Nagle poczułam, iż z mego rozmówcy w ciemnościach spada przyłbica. Dotychczas było w nim coś romantycznego i tajemniczego. Łagodny, spokojny głos, ręka wąska i długa, chroniąca dłonią płomyk. Obecnie wszystko zredukowało się do osoby jednego z tych młodych, banalnych Anglików, przepełniających sale jadalne w Szwajcarii i patrzących arogancko na nowo przybyłych.

- Nazywam się Mrs Sprague - rzekłam, powracając nagle do dobrego tonu. - Przyjechałam z Nowego Jorku do doktora Konrada, chociaż prawdopodobnie nie było po co jechać.

- Bardzo mi miło, Mrs Sprague. Jestem Krzysztof Lankersham.

- Bardzo mi miło, panie Lankersham.

Zgasila papierosa o wilgotna balustrade, zatrzymujac w ruku niedopalek.

- Rok temu doktor Konrad uwazal jeszcze, ze potrafi wyleczyc chorebe lub przynajmniej zahamowac jej postepy. Obecnie pozostawia mi zaledwie cień nadziei. - Wiedzialam, ze jest w ogromnie zlým tonie opowiadac o swoich troskach, ale przynosilo mi to ulge.

- Doktor Konrad? Czy to nie ten mały odludek mieszkajacy w domku starego Hammelina? Powiadaja, ze to czlowiek ogromnej wiedzy i ze był więziony przez hitlerowców. Przyjechał tutaj niedawno, prawda?

- Tak. Blisko rok musieliśmy czynić starania, zanim udało nam się go uwolnić. Chcieliśmy, aby się przeniósł do Stanów Zjednoczonych, ale brakło mu odwagi. Nie chce już ani zdawać potrzebnych egzaminów, ani wyrabiać sobie na nowo praktyki. Obawia się również, że nie potrafiłby nauczyć się języka. Na mnie robi on wrażenie czlowieka, któremu przetrącono kręgosłup. Teraz pragnie tylko żyć w ukryciu i prowadzić dalej swe badania.

- To przecież zrozumiałe w jego wypadku. Nie uważa pani?

- Myślę, że tak. Tylko... rezygnacja nie leży w moim charakterze. Przyjechałam tutaj z zamiarem stoczenia walki o wzrok Michała. Liczyłam na zwycięstwo przy pomocy doktora Konrada, tymczasem on wydaje się zupełnie spłaszczony, jak balon, z którego uszło powietrze. To straszne, czym stają się ludzie w takich obozach koncentracyjnych.

- Jeśli pani jest taką bojową naturą, to nie powinna pani była przyjeżdżać do Staufen, Mrs Sprague.

- Dlaczego?

- Bo jest to przytułek wszelkiej maści uciekinierów. Nie wie pani o tym?

- A czy pan też jest uciekinierem? - spytałam, ale zaraz pożałowałam swej niedyskrecji.

- Właściwie... tak. Obawiam się, że w pewnym sensie istotnie jestem zbiegiem. Próbowałem uciec przed pewną nieokreśloną chorobą, znaną pod nazwą insulophobia. Po prostu nie byłem już w stanie wytrzymać dłużej w Anglii. To zresztą nic dziwnego, prawda? Do tego stopnia, że na sam widok parasola dostaję po prostu konwulsji.

- „Moim obowiązkiem jest służyć ojczyźnie, bez względu na to czy postępuje słusznie, czy niesłusznie” - zacytowałam z uśmiechem. Było to w dwa miesiące po zajęciu Pragi przez Hitlera, gdy brak siły Anglii wyraźnie się już zaznaczył.

- Ona, niestety, nie tylko postępuje niesłusznie, ale niebezpiecznie głupio. Zapewniam panią, że to najprzykrzejsza rzecz w życiu, czuć, że powinno się usprawiedliwiać wobec każdego: Pan pozwoli, jestem człowiekiem zupełnie przyzwoitym, chociaż jestem Anglikiem. Aż się niedobrze robi!

- O! Niech pan patrzy! - zawołałam.

Chmury się rozstały, a wśród nich ujrzałam kawałek jasnego, czystego, przejrzystego jak kryształ nieba, z sierpem księżycy, pełnego rozmigotanych gwiazd, większych i wspanialej błyszczących niż kiedykolwiek widziane przeze mnie w życiu. Z wolna ten rozstęp się poszerzał wśród postrzępionych chmur.

- Pewien mój stary przyjaciel mawiał, że nie będzie deszczu, jeśli widać skrawek nieba dość duży, by wystarczyć na babską spódnicę.

- Tak, w to samo wierzą szkoccy pasterze - odparł Krzysztof.

Na nowo nabił i zapalił swą fajkę, a potem przechyliwszy się przez balustradę obserwował niebo. Był wysoki i szczupły i miał twarz górala. Widziałam go teraz wyraźnie. Wszystko w

nim było duże i mocne: nos, usta i oczy, osadzone głęboko i ukryte za okularami. Choć mnie noc wydawała się bardzo chłodna, nie miał na sobie płaszcza, tylko gruby szlafrok na obszernej tweedowej marynarce.

- Zupełnie jakby przez tę szparę spoglądało się we wszechświat - zauważyłam.

- O, proszę, widać teraz Grauhorn - powiedział wskazując brodą kierunek. Z wolna pierzaste chmury zaczęły stawać się mniej zbite, po czym zaczęły przeświecać, robić się przezroczyste, aż w końcu znikły zupełnie. Góra wystąpiła z mroku, zupełnie biała i nierealna, w całym uroku chwytającego za serce piękna.

- To bardzo ładne, prawda? - rzekł Krzysztof z tym genialnym talentem Anglików do niedoceniańca wszystkiego.

Pomyślałam, że ten szczyt przypomina to, co Beethoven próbował wyrazić w ostatnich taktach swoich symfonii i czego nie dokonał. Nie mogłam jednak przecież wyjawiać tej myśli przed obojętnym, młodym Anglikiem, przed chwilą poznanym.

- Trzeba już będzie wracać - powiedziałam więc tylko.

- Chyba tak. Jeśli pogoda się utrzyma... będę szczęśliwy, jeśli pani pozwoli mi pokazać sobie trochę okolice. Przypuszczam, że wzięła pani ze sobą narty.

- Owszem, ale stare. Myślałam, że tu będzie można kupić nowe.

- Jeśli nie, może pani zawsze pójść po nie do Arlingen. Chwalić Boga Staufen nie zostało jeszcze odkryte przez elegancki świat.

Dopiero teraz zauważyłam, że jestem wprost nieprzytomna ze zmęczenia. Serce trzepotało mi zabawnie, w uszach dzwoniło, a puls bił z szaloną szybkością.

- Teraz czuję wysokość - rzekłam. - Spadło to na mnie tak nagle. Myślę, że najwyższy czas się położyć.



Wstałam rzuciwszy jeszcze okiem na góry. Widok był tak piękny, aż bolało. I dopiero pod jego wpływem zauważyłam, iż od kwadransa zapomniałam o swoim nieszczęściu z powodu Michała.

- Dziękuję panu za towarzystwo - rzekłam.

- Dziękuję, że pani pozwoliła go sobie dotrzymać - odparł.

Wyciągnęłam rękę ponad barierkę, a on ujął ją w swoją. Moje palce były wilgotne, zziębnięte i zeszywniałe, jego suche i ciepłe. Była to ręka tak miła, że nie do razu ją puściłam. Dlaczego jego ręka jest taka ciepła? - pomyślałam. I zaraz znalazłam na to odpowiedź: bo trzymał ją w kieszeni marynarki. Nagle i niespodzianie zbudziło się we mnie pragnienie, by zatrzymawszy moją rękę pozwolił mi ją wsunąć do swojej kieszeni, jak to robią młodzi ludzie, kiedy są zakochani i wydaje im się, że odkryli ten rodzaj subtelnej pieśczoćoty. Pragnienie to było tak silne, jakbym była wędrowcem zabłąkanym podczas burzy, a jego kieszeń domem napotkanym po drodze: z oświetlonymi oknami, dachem nad głową, ciepłym kątem, do którego można się bezpiecznie schronić. Cofnąwszy swoją zimną, samotną rękę, uniosłam ją z sobą do zimnego pokoju.

Tej nocy śniło mi się, że byłam jajkiem na miękko i mówiłam: „Trzeba mnie dłużej gotować, nie jestem jeszcze nawet ciepła”. A na to doktor Konrad rzekł: „To skutki wysokości”. Śniąc, przez cały czas zdawałam sobie sprawę, iż spotkało mnie coś bardzo miłego; nie mogłam sobie jednak przypomnieć, co to było.

\* \* \*

14 czerwca 1940 roku, ja, Marion, siedząc w szczelinie lodowca w Alpach Walezjańskich, czynię przegląd swego życia. Pamiętam zgrzyt klucza w zamku mego rodzinnego domu w Wiedniu i zapach naszego mieszkania w Hahnenstadt.

Pamiętam tysiące drobiazgów, nie mających dziś żadnego znaczenia. Ale myśląc o roku ostatnim, chwytam tylko jakieś urywki rozmów, drzenie czyjegoś głosu, kształt chmury nadciągającej nad świat. Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko wiedzieli, że zbliża się wojna, ale nikt nie wiedział, jak się do niej ustosunkować. Nikt nie chciał tej wojny, ale nikt nie wiedział, jak jej uniknąć. Wszyscy zjeżdżaliśmy w dół po jakiejś równi pochyłej, mając popsute hamulce, wpatrzeni z niepokojem w ostatni zakręt, za którym nieuchronnie czyhała ostateczna katastrofa.

Podczas gdy to wszystko działo się na świecie, ja zakochałam się w młodym człowieku, o piętnaście lat młodszym ode mnie. Jeśli istnieje coś bardziej patetycznego niż pierwsza miłość, to jest to miłość ostatnia. Gdy się jest po raz pierwszy zakochanym, człowiek jest bezbronny, a wszystko zupełnie wyjątkowe, absolutne i niezmienne. Nie posiadamy jeszcze doświadczenia, które mogłoby nas przestrzec, że miłość jest krucha pod każdym względem. Nie ma w nas ani śladu braku zaufania czy to względem siebie samego, czy względem osoby kochanej, a już przede wszystkim względem samego uczucia miłości. Ostatnia miłość jest jednak radością nie pozbawioną goryczy. Miłość znałam dobrze; wiedziałam jak wygląda jej początek, jej punkt kulminacyjny i koniec, i nie pragnęłam już przeżywać żadnego z tych okresów. Namiętność bywa zawsze kłopotliwa, a już stanowczo staje się czymś niepożądanym, gdy się przekroczyło czterdziestkę. Wiedziałam o tym i powtarzałam to sobie co dzień, od rana do nocy. A mimo to porwał mnie jakiś nieokreślony zew, jakiś wewnętrzny poryw, który kusił i szeptał, by ten jeden jedyny, ostatni, najostatniejszy raz w życiu dać się ponieść płomiennemu wirowi, bolesnemu, a tak rozkosznemu. Odkąd pamiętam, zawsze byłam w kimś zakochana, począwszy od czwartego

roku życia, gdy siadywałam na kolanach u Augusta. Dlatego też zakochawszy się po raz ostatni byłam za to niemal wdzięczna losowi, gdyż mogłam być wierna swej tradycji i czuć zarazem, że żyję, a przecież nikt nie musiał o tym wiedzieć. Widziałam kiedyś na Kubie tancerki, wykonujące najdziwsze ruchy z naczyniem pełnym wody na głowie, z którego potrafiły nie uронić ani kropelki. Miałam podobne uczucie, nosząc w sercu swoją absurdalną miłość i dbając o to, by z niej nie stracić ani jednego odcienia.

- Poznałem wczoraj pani braciszka - zakomunikował mi Krzysztof, spotkawszy mnie przy młynie, dokąd wyruszyłam na poszukiwanie mieszkania. - Zestawiliśmy program z naszych płyt gramofonowych i zafundowaliśmy sobie na werandzie śliczny koncert.

- Tak, Michał wspomniał o tym. Chciałam nawet podziękować panu za dotrzymanie mu towarzystwa. Był taki uszczęśliwiony.

- To bardzo miły chłopiec, ten pani brat.

Zaczerwieniłam się i ze złości o ten rumieniec zaczerwieniłam się jeszcze bardziej.

- To nie mój brat. To syn, mój młodszy syn.

- O! Doprawdy... Musiała pani strasznie młodo wyjść za mąż.

- No, nie mogę się skarżyć, że zostałam uwiedziona mając trzynaście lat - odparłam.

Na szczęście Krzysztof nie zgorszył się tym wcale, ale roześmiał się. Spojrzeliśmy na siebie i zaczęliśmy śmiać się w najlepsze. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w pełnym świetle i nagle blask słońca wydał mi się zbyt jaskrawy; czułam każdą zmarszczkę na swojej twarzy i zdawało mi się, iż muszą się one krzyżować po prostu jak ścieżki w dolinie. Miałam takie uczucie, jakbym była przedmiotem znajdującym się pod

mikroskopem. Żeby on chociaż nie miał okularów, pomyślałam.

- Michał mi mówił, że państwo szukają domku. Czy pani znalazła już coś odpowiedniego? Obawiam się, że wybór w Staufen będzie raczej ograniczony.

- Idę tylko na wzgórze rzucić okiem na domek, który opuściła ta włoska para. Klucz dano mi we młynie.

- Czy nie będzie pani przeszkadzać, jeśli pójdę z panią? Nie przeszkadzało mi to bynajmniej, wobec tego zaczęliśmy piąć się pod górę. Jak doskonale chodziło nam się razem, prawda, drogi Krzysztofie? Niewiele rozmawialiśmy podczas tej naszej pierwszej, krótkiej przechadzki. Wystarczyła nam sama przyjemność chodzenia. W pewnym momencie spojrzawszy na mnie z góry, z fajką w zębach, zapytałeś z uśmiechem:

- Czy pani zaprawiała się do marszu?

- Nie, nigdy. A dlaczego?

- Bo na ogół moje nogi są o kilka metrów za długie, by towarzyszyć na przechadzce paniom. Ale pani idzie jak mężczyzna.

- Wiem o tym. To już w dzieciństwie do rozpaczy doprowadzało moją matkę.

- Musimy, gdy tylko pogoda się ustali, wyruszyć razem do schroniska na Arli.

Była to obietnica, którą zabrałam ze sobą, ukrywając ją starannie niby kawałek szczerego złota.

Obejrzałeś ze mną wówczas domek i pomogłeś mi go wynająć. Poszedłeś ze mną do wiejskiego stolarza i wytłumaczyłeś, o jaki rodzaj mebli mi chodziło. Chodziłeś ze mną w góry, codziennie nas odwiedzałeś i zostałeś pierwszym prawdziwym przyjacielem Michała.

Michałowi właśnie specjalnie w tym czasie potrzebny był przyjaciel. Musiał wreszcie pogodzić się z myślą, że oślepie.

Pogodzić się z czymś, nie mogąc równocześnie zdobyć się na rezygnację, jest najcięższym zadaniem w życiu. W tym okresie musiał sam w sobie stworzyć trwałe zasady i czuć się szczęśliwym i pożytecznym mimo wszystko.

- Czy to nie byłaby wspaniała dewiza na herbie twojej matki: „Mimo wszystko”... - usłyszałam pewnego dnia słowa Krzysztofa. - Masz szczęście, że jesteś jej synem. Chcąc nie chcąc odziedziczyłeś jej radość życia. To jest rzecz bardzo zaraźliwa.

Jak każdego popołudnia Michał wyciągnięty na leżaku werandował na balkonie, a Krzysztof dotrzymywał mu towarzystwa. Nie słyszałam, co odpowiedział Michał, bo zeszłam do kuchni, by im przygotować kawę i pokroić świeżo upieczony placek. Gdy wróciłam na górę z ciastem, zmienili już temat rozmowy. Widocznie Krzysztof czytał na głos Michałowi; trzymał wskazujący palec między kartkami książki, rozprawiając o czymś, co im kazało przerwać lekturę. Postawiłam tacę na stoliku w pokoju Michała, żeby móc posłuchać nie będąc zauważoną. Z przyjemnością patrzyłam na ich głowy zbliżone do siebie. Wydało mi się, iż majaczące w dali szczyty gór tworzyły doskonałe tło dla czystego profilu Krzysztofa...

- ...Bardzo możliwe, że te wszystkie straszne, okrutne objawy stanowią poszukiwanie jakiejś nowej religii. Pomyśl tylko, jak dawno już została stworzona ostatnia religia. Niemcy mogliby zwiększyć swą „przestrzeń życiową” za pomocą środków pokojowych, przy użyciu dobrej woli, drogą wymiany, transakcji czy choćby zakupu. Ale to wszystko nie mogłoby się stać punktem wyjścia dla nowej religii. Religia wymaga krucjat, inkwizycji, świętych wojen. Możesz przecież dziś obserwować, jak tworzą się legendy i święty miecz razi niewiernych. Od swych wyznawców wymagają oni tego samego, czego wymaga każda religia: ślepego posłuszeństwa,

ubóstwa i poświęcenia własnej osobowości. Zdolność swobodnego myślenia nigdy, przez żaden Kościół, nie będzie mile widziana. Czytałeś kiedyś Biblię? Przypomnij sobie tylko, jakim gniewem zapłonął Jehowa do tych, którzy pohańbili krew żydowską przez połączenie się z potomkami plemienia Maob i Baala. Nie ma nic nowego pod słońcem, mój drogi. Przypomnij mi, żebym ci jutro przyniósł Biblię, a zrozumiesz, co miałem na myśli.

Michał milczał, ale widziałam, że zastanowiły go te słowa. Cieszyło mnie, że pod wpływem rozmów z Krzysztofem jego światopogląd ulega zmianom i staje się wszechstronniejszy, wykracza poza ten elementarny poziom zakrojony dla głupców.

Podaliśmy im kawę i ciasto na balkonie, a potem słuchaliśmy radia. Złapaliśmy transmisję z Paryża, w której Schani Kern dyrygował VIII Symfonią Beethovena, utworami Debussy'ego i własnym koncertem. Zabawnie było słuchać w tym zapadłym kącie mego starego przyjaciela; wciąż walczył o swój „pionowy poziom” w muzyce, podczas gdy ja byłam zadowolona, gdy mi się udał placek.

Prawda, że kochałam Krzysztofa za szlachetność owalu jego twarzy, wysmukłość postaci, ręce o długich, opalonych palcach, i za wszystkie te dobre, nieważne rzeczy, z powodu których kobieta kocha mężczyznę. Ale kochałam go również za to, iż był po prostu niezmordowany w wyszukiwaniu zajęć dla Michała, w udzielaniu mu wszelkich wiadomości i podtrzymywaniu w nim wiary we własne siły. On zajął się jego umysłem, gdy tymczasem ja poczęłam przyzwyczajając jego palce do posługiwania się rzeczami, których już nie mógł widzieć. Zbierałam mu kwiaty, owoce i najładniejsze kamyczki znalezione na zwirowisku. Przeprowadzałam do niego koty, psy, dzieci, a czasem nawet stary Hammelin, przyszedłszy go odwiedzić, pozwalał mu dotknąć swych twardych, żylastych

rąk. Było mnóstwo przedmiotów, których dotykanie sprawiało przyjemność: tkaniny szorstkie i gładkie, błyszczące i matowe; drewno, jedwab, szkło, liście. A każdy liść miał zupełnie inną fakturę: jedne były mszyste, inne gładkie jak jedwab, niektóre odrobinę lepkawe, a inne znów tak delikatne i ciepłe jak najpiękniejsza ludzka skóra. Rzeźbiłam dla niego rozmaite przedmioty, na razie jak najprostsze pod względem formy, stopniowo coraz bardziej skomplikowane, by przyzwyczajać jego palce do odgadywania ich znaczenia.

Bawiliśmy się w ten sposób gliną i plasteliną, którą sprowadziłam z Zurychu. Na koniec zabraliśmy się do studiowania Braille'a. Nie była to sprawa łatwa, ale w dniu, w którym Michał zdołał odcyfrować pierwszy fragment, okazało się, że nasze wysiłki nie poszły na marne.

Nasze popołudniowe koncerty stały się po prostu zasadą. Często zjawiały się na nich dzieci z młyna; uwielbiały one Michała, ponieważ potrafił bawić się z nimi godzinami. Uczył je piosenek i robił z nimi zamianę na języki: amerykański za szwajcarską niemczyznę. Jego talent naśladowania wszystkich dźwięków, jakie znalazły się w zasięgu jego słuchu, rozwinął się wprost niebywale. Powoli ułożył sobie cały program. Jego naśladowanie pozbawionych związku wyroczni Konrada, audycji radiowych z zakłóceniami i mieszaniną języków: francuskiego, niemieckiego i włoskiego w radiu szwajcarskim, były bardzo zabawne. Gdy dołączył do tego jeszcze parodię mowy Hitlera, zaczęło mnie to nie tylko bawić; wiedziałam teraz, że na koniec doszedł do tego, iż mógł dostrzec śmieszność w słowach i umyśle człowieka, który tak długo go fascynował. Wiedziałam również, że zawdzięczam to Krzysztofowi. Tego wieczoru, gdyśmy się zegnali, podałam mu rękę. Na ogół trzymał ręce założone na plecach podczas naszej pięciominutowej pogawędki w drzwiach domku. Wstrząs elektryczny, jakiego doznałam przy zetknięciu się

naszych dłoni, był jeszcze silniejszy niż się tego obawiałam. Krzysztof przytrzymał moją rękę i popatrzył na mnie z dziwnym zaciekawieniem. Zadałam sobie w duchu pytanie, czy mógł coś zauważyć.

- Dobranoc, Krzysztofie. Jeśli się pan pospieszy, to może zdąży pan jeszcze znaleźć się w hotelu, zanim zacznie padać.

Chmury wisiały zupełnie nisko nad ziemią, z południa dął wiatr, ciepły i łagodny. Cofnęłam moją rękę, którą puścił niechętnie, i wysunęłam ją przed siebie, by sprawdzić, czy padają już pierwsze krople deszczu.

- A pani, Marion, nie powinna zbyt długo być na nogach. Wczoraj dopiero koło drugiej się pani położyła.

- Skąd pan wie? - zapytałam zdziwiona.

Byłam lekko zdenerwowana, jak zwykle przy południowym wietrze, i nie mogąc zasnąć, załatwiłam korespondencję.

- Z mojego pokoju widać u pani światło.

- Nieprawda. Pana pokój wychodzi na jezioro, nie na podgórze.

- No więc dobrze. Nie mogłem spać i wyszedłem na chwilkę. Nie potrafiłem się oprzeć chęci ujżenia tego światła.

- Powodem tego wszystkiego jest ten południowy wiatr. Przecież to niemal sirocco, prawda? Mam nadzieję, że tej nocy będzie pan dobrze spał.

- Dobranoc, droga Marion.

- Dobranoc, Krzysztofie.

W jakiś czas później deszcz zaczął padać wielkimi kroplami rozpryskując się na liściach drzew koło domu; przypomniałam sobie, że zostawiliśmy na balkonie nasze książki Braille'a, i wyszłam, by je zabrać, zanim zdążą przemoknąć. Wzięłam ze sobą kieszonkową latarkę. Z dachu ciurkiem lała się woda, błyszcząc w promieniu światła. Nagle



zauważyłam cię mężczyzny w płaszczu nieprzemakalnym, opartego o nasze ogrodzenie i wpatzonego w balkon.

- Krzysztof... - powiedziałam przerażona. - Co pan robi tutaj na tym deszczu?

- Czekam na autobus, czy pani nie widzi?

- Nie, ale naprawdę...

- Odbywam przechadzkę dla zdrowia, jak każdy prawdziwy Anglik.

- Nie, proszę odpowiedzieć poważnie...

- A, skoro poważnie, no to trzeba pani wiedzieć, że zostawiłem tutaj mój kapciuch z tytoniem i nie mogę usnąć bez fajki. Czy mogę wejść, by go poszukać?

- Niech pan poczeka... - rzekłam mocno zakłopotana. - Ja... Michał śpi... Ja panu sama wyszukam ten tytoń. Proszę poczekać sekundę, już schodzę...

Jak zwykle miałam górę piżamy inną niż spodnie. Gdy się raz pomiesza te części, nigdy nie można ich potem dobrać przy wkładaniu. Powinnam była być w czarującym negliżu z czarnej koronki na kremowym spodzie, tymczasem miałam na sobie zmiętą piżamę, włosy w nieładzie i bose nogi. W życiu nie miałam, ani nie nosiłam rannych pantofli. Dobrze przynajmniej, że nie jestem posmarowana kremem, pomyślałam. Ale nie jesteś również umalowana! - szepnął mi złośliwy głosik wewnętrzny, gdy zabierałam kapciuch. No więc co z tego? Jakie to może mieć znaczenie? Nie zamierzam go przecież uwodzić. Niech właśnie zobaczy, jak wygląda kobieta w średnim wieku przed pójściem do łóżka. To może raz na zawsze położy kres temu szaleństwu. Podawszy mu przez uchylone drzwi jego przekłety kapciuch, zakopałam się do łóżka, rozgoryczona na siebie i cały świat. W nocy obudziłam się i przypomniało mi się nagle, iż nie dawniej jak przed trzema dniami Krzysztof odebrał dużą paczkę używanego przez siebie gatunku tytoniu. Musiał mieć zatem w

pokoju zapas, mogący mu starczyć na dwa miesiące. Dlaczego więc podczas deszczu wystawał pod moim oknem i wpatrywał się w światło? Myśl ta przeszła mnie jak harpun, a im bardziej starałam się od niej uwolnić, tym głębiej zapadała we mnie.

Pamiętasz, jak po raz drugi wybraliśmy się do schroniska na Arli, i jak zawiodły mnie siły przy przeprawie przez najwyższy komin? Umocowałeś mnie wtedy na linie, gdyż czułam, że nie potrafię wspiąć się o własnych siłach, i po prostu wwindowałeś mnie na sam szczyt. Byłam wtedy wściekła na siebie i czułam się stara jak Matuzalem.

- Rozumiem doskonale Fausta - rzekłam, gdyśmy już usiedli na ławce przed schroniskiem, a słońce przeświecało nam przez zamknięte powieki.

- Naprawdę? - rzekłeś leniwie. - Bo ja nie. W każdym razie nie drugą część.

- Gdyby się zjawił diabeł, ofiarowując się przywrócić mi z powrotem szesnaście lat, chętnie zgodziłabym się pójść do piekła. (Prawdę mówiąc, było to moim najgorętszym pragnieniem, by diabeł mógł się zjawić z podobną propozycją).

Gdy nic nie odrzekłeś, sądziłam, że nie dosłyszałeś lub zasnąłeś.

- Za pozwoleniem. Jakaż pani byłaby nudna, mając szesnaście lat, i jaka głupia! W dodatku miałaby pani brzydką cerę i grube, dziecinne nogi - rzekłeś w końcu.

Diabeł się nie zjawił, ale po wypowiedzeniu przez ciebie tych słów poczułam się lepiej, o wiele lepiej. Byliśmy tak dobrymi towarzyszami, nieprawdaż, Krzysztofie? Istniała między nami tak wyborna wymiana myśli, że nieraz przychodziło mi do głowy: dzieli nas tylko tych głupich piętnaście lat. To jedynie ta cyfra postarza człowieka, a ani zmarszczki, ani doświadczenie nie mają z tym nic wspólnego.

Jedynie fakt przynależności do generacji, w której się człowiek urodził, pozostawia na nim niezatarte piętno. Gdy wyobrażałam sobie czasem, że mogłabym rozmawiać z Krzysztofem na temat miłości, sama sobie wydawałam się takim anachronizmem jak sofa w stylu rokoko, która nagle znalazłaby się wśród mebli o opływowych liniach, zbudowanych ze szkła i chromowanej stali.

Michał wtedy zaczął marzyć o fortepianie, by poważnie wziąć się do studiowania muzyki.

- Jedźmy do Genewy wynająć mu pianino - zaproponował Krzysztof.

W Genewie czuł się jak u siebie w domu, ponieważ poprzednio pozostawał w jakimś związku z Ligą Narodów. Przypuszczam, że był sekretarzem któregoś z członków angielskiej delegacji na tym nieszczęsnym posiedzeniu w roku 1936, i przypuszczam, sądząc z jego rozgoryczenia i sceptycyzmu, z jakim odnosił się do sytuacji na świecie, że datowało się to właśnie z tych czasów.

- Ach, Krzysztofie! Czy nie zechciałby pan być tak anielsko dobry i sam pojechać do Genewy? Nie mogę przecież zostawić Michała samego - powiedziałam nerwowo.

Od owej deszczowej nocy starałam się go unikać. Nie chciałam się ośmieszać, a jednak stawało się to trudniejsze z każdą chwilą.

- Nie, nie będę anielsko dobry. Michał nie jest dzieckiem, a zresztą córka Hammelina chętnie się nim zajmie przez te dwa dni. A pani świetnie zrobi, gdy rozerwie się pani trochę, Marion. Poza tym czas już byłby najwyższy pójść do krawca i zamówić nowy kostium narciarski. Ten stary jest w opłakanym stanie, a Bóg wie, co będzie na przyszłą zimę. Trzeba się na to przygotować

Mogłabym również pójść do fryzjera, pomyślałam i zdecydowałam się nagle. Pójście do fryzjera staje się przecież

zawsze najpilniejszą sprawą każdej zakochanej kobiety. Moje włosy wypłowiwały od górskiego słońca, straciły połysk wskutek mycia wodą zawierającą wapień i ukazywać się w nich zaczęły pierwsze srebrne nitki. Naliczyłam ich dotychczas wprawdzie tylko pięć, ale i to wystarczy, by przerazić kobietę, zwłaszcza gdy kocha się w mężczyźnie dużo od siebie młodszym.

Przyjechaliśmy do Genewy wieczorem, ostatniego sierpnia. Po obiedzie wyszliśmy przejść się jeszcze po mieście i brzegiem jeziora. Krzysztof poszedł potem do jakichś swoich przyjaciół, z którymi się umówił, a ja położyłam się wcześniej. Nazajutrz rano, gdy udałam się do fryzjera, panował jeszcze pokój. Gdy wychodziłam od niego, nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że wojna się rozpoczęła.

Pamiętam, że tego dnia po południu pojechaliśmy do jakiejś miejscowości, której nazwy sobie nie przypominam. Siedząc na tarasie małej kawiarni rozmawialiśmy o wszystkim, prócz wojny. Było pogodnie i ciepło, a spokój dookoła wydawał nam się wprost niewiarygodnie głęboki i pełen czaru, może dlatego że w każdej chwili mógł być zakłócony.

Wróciwszy do miasta wynajęliśmy pianino dla Michała. Kupiłam również podręcznik dla początkujących i kilka sonat Clementiego. Krzysztof zaopatrzył się w stos książek.

- Od tej chwili przestaję się obijać i zabieram się naprawdę do mego państwa bizantyjskiego. Śliczny dzień był dzisiaj, Marion, prawda? Mimo wszystko, wie pani, mimo wszystko.

Wróciwszy do Staufen zastałam Michała w łóżka, z podwyższoną temperaturą. Nie była to już temperatura, tylko prawdziwa gorączka.

- Miałem tu rozmówkę ze starym Konradem - zawiadomił mnie uradowany. - Postanowiliśmy zmienić sposób kuracji. To są właśnie pierwsze objawy reakcji organizmu.

- Nie ma się chyba z czego cieszyć - rzekłam. - I to właśnie wtedy, gdy ja wyjechałam i nie mogłam zająć się tobą!

- O, to właśnie dobrze! Gdybyś tu była, mogłabyś robić trudności. Nie chciałem zresztą, żebyś się dręczyła kwestią decyzji. Przecież mimo wszystko ona powinna zależeć ode mnie.

- Ależ, na miłość boską, Micki, co za decyzja?!

- Konrad powiedział, że nie dojdziemy do niczego tą, jak ją nazwał, „zachowawczą metodą leczenia”. Zapytał mnie, czy byłbym gotów zgodzić się zaryzykować, a ja po namyśle zgodziłem się na to.

- Co zaryzykować?... - spytałam nie swoim głosem.

- No... Choroba, w tej chwili zlokalizowana, grozi rozszerzeniem się, i mogę ewentualnie przenieść się na tamten świat... Nie gniewasz się przecież na mnie, Mony... - rzekł nagle, ponieważ się nie odzywałam.

Wiedziałam, że stanowią dla niego tylko ciemny cień obok łóżka, toteż wsunęłam moją rękę w jego dłoń rozpaloną i drżącą.

- A zatem, Micki...

- Czy się umrze dziś, czy jutro, to ostatecznie kwestia, z którą zawsze się trzeba liczyć, prawda? Po cóż robić z tego tyle historii?

- Zdaje mi się, że nie robię żadnych historii.

- Powiedz, Mony, a gdyby tu chodziło o twoje oczy i o twoje życie... zaryzykowałabyś, prawda?

- Myślę, że chyba tak... - odparłam.

- Zaręczam ci, że tak. No więc sprawa przedstawia się następująco: Jeżeli zdechnę, no to zdechnę. A jeśli nie

zdechnę, to może mi się poszczęści i odzyskam wzrok. Pomyśl tylko, jakie to w ogóle ma znaczenie? Teraz, kiedy wojna wybuchła, miliardy młodych jak ja ludzi zginą, i to w warunkach na pewno mniej przyjemnych!

Pierwszy tydzień zabiegów przeszedł w ten sposób, że Michał leżał w łóżku drzemiąc, nie chcąc ani mówić, ani jeść, bardzo zmęczony, a równocześnie zbyt podniecony, by zasnąć naprawdę. Doktor Konrad przychodził co dzień, czasem nawet dwa razy dziennie, robić mu zastrzyki i czuwać nad jego reakcją na nie. Zostawał nieraz do późna w noc, pochłonięty swoistym oczarowaniem. Coś zapisywał i porównywał jakieś tabelki; nie miał zaufania do mego wykresu temperatury, ani do moich spostrzeżeń; sam musiał wszystko sprawdzać i wyciągać wnioski. Przesiadywał u nas do drugiej nad ranem, po czym niechętnie wracał do starego Hammelina, u którego mieszkał, by o wpół do szóstej zjawiać się znowu i sprawdzać, co zaszło w czasie jego nieobecności. Zdawało mi się czasem, iż traktuje Michała nie jak człowieka, ale jak tygiel, w którym jakiś roztwór doświadczalny wrze i kipi. W ogóle miał tylko trzech pacjentów. Były to równie beznadziejne przypadki jak choroba Michała i chorzy przyjechali za nim do Staufen, aby odbyć kurację. Patrząc czasem na tego małego człowieczka, wykrzywioną twarzą przypominającego gnoma, na jego fanatyczne oczy, zapytywałam się w duchu, czy ten rok spędzony w obozie koncentracyjnym nie pomieszał mu czasem zmysłów. Ale bez względu na stan swego umysłu posiadał on niezrównaną wiedzę i nie pozostawało mi nic innego, jak z zaufaniem odnosić się do jego sposobu leczenia.

W tym drugim tygodniu oczekiwania Michał wychudł po prostu na szkielet. Obawiałam się, że wąły tygielek, w którym kipsiał roztwór doktora Konrada, może nie wytrzymać. Moje dziecko stało się tak przezroczyście, tak spalone gorączką, że przez jego długie, gotyckie ciało wprost przeświecała każda

kosteczka, każde ścięgno, jak w postaciach Chrystusów ze szkoły prymitywów. Mimo to Michał posiadał niesłychaną odporność i gdy zaczynał się rzucać w malignie, nie miałam dość siły, by go utrzymać w łóżku. Krzysztof zaofiarował się zamieszkać u nas i zastępować mnie co jakiś czas. Odrzucałam uparcie propozycję sprowadzenia z Arlingen pielęgniarzki. Byłam pewna, że tylko ja mam prawo opiekować się Michałem; przysługę Krzysztofa przyjąłam jednak chętnie, toteż zainstalował się na tapczanie w pokoju Michała.

W trzecim tygodniu gorączka poczęła spadać, a Michał wyglądał w swoim łóżku jak kupa szarego popiołu. Przywieziono pianino, które wynajęliśmy dla niego, i ustawiono je w pokoju na dole, ale zadawałam sobie pytanie, czy Michał kiedykolwiek będzie na nim grał. Później przyszedł list od Renaty, pisany alfabetem Braille'a dla początkujących, którego Michał się nauczył.

Drogi Michale, uczę się pisać alfabetem Braille'a, żeby nikt nie musiał ci czytać moich listów. Jeżeli czubki twych palców są dość wrażliwe, w każdym liście znajdziesz pocałunek. Spodziewam się, że wrócisz niedługo do Nowego Jorku. Bardzo mi tu dobrze, ale byłoby jeszcze lepiej, gdybyś był ze mną. Wiele serdeczności od oddanej ci

Renaty Rieger

List ten nie opuszczał mego chorego syna i zauważyłam, że przechowuje go w łóżku jak królika Nibbla za czasów swego dzieciństwa. Krzysztof wyprowadził się już od nas, na co ledwie zwróciłam uwagę. Zasypywałam pytaniami doktora Konrada; otrzymywałam zawsze tę samą odpowiedź, że wszystko ma taki właśnie przebieg, jakiego oczekiwał, co było objaśnieniem zgoła niejasnym. Pod koniec trzeciego tygodnia Michał zaczął domagać się jedzenia i wypijał przerażające ilości mleka i soku z owoców.

A potem, w drugim dniu czwartego tygodnia, we wtorek, nastąpił fakt decydujący.

Byłam właśnie na balkonie, podlewając geranium. Michał leżał jeszcze w łóżku w swoim pokoju, gdzie od kilku tygodni panował mrok. W naszych drewnianych okiennicach wycięte były małe serduszka i czasem przedzierał się przez nie nikły promyczek słońca, i prześwietlał cały maleńki kosmos tańczącego pyłu. Wracając z balkonu z polewaczką w ręce zostawiłam za sobą otwarte drzwi, by świeże jesienne powietrze mogło wpłynąć do pokoju. Michał jak zwykle, ilekroć słyszał, że wchodzę, zwrócił głowę w moją stronę. Zresztą nie był jeszcze zupełnie ociemniały, mógł rozróżniać cienie poruszające się we mgle. - Chodź tutaj, Mony! - krzyknął nagle.

Postawiwszy polewaczkę szybko podbiegłam do jego łóżka. - Nie, nie, przynieś ze sobą ten jakiś przedmiot... - powiedział.

Posłusznie wzięłam naczynie i przyniosłam mu je. Nie przypuszczałam, że je widzi. Sądziłam, że usłyszał dźwięk blachy, gdy je stawiałam na stole. Trzymałam polewaczkę przy sobie, a tymczasem Michał dotknął jej wyciągniętymi rękami. Naczynie zadźwięczało.

- Hm!... - mruknął do siebie. Odsunawszy polewaczkę chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie. - Hm!... - mruknął znowu.

- Wróć, proszę, do drzwi i wejdź jeszcze raz... - poprosił po chwili.

Podniosłam się i zadając sobie w duchu pytanie, do czego to wszystko zmierza, stanęłam w oświetlonym prostokącie drzwi, po czym znowu wróciłam do pokoju.

- Czy ty masz na sobie biały fartuch? - zapytał Michał.

- No, oczywiście - odparłam. - Jestem antyseptyczna od stóp do głów.



Dopiero w sekundę później zrozumiałam całą doniosłość tego pytania. Kolana ugięły się przede mną i nagle musiałam przysiąść na jego łóżku.

- Poczekaj chwileczkę... - rzekł bawiąc się materiałem mojej sukni. - Poczekaj, Mony. Czy ta sukienka jest rzeczywiście czarna?

- Tak... niemal czarna. Jest granatowa, ale tak ciemna, że może uchodzić za czarną... - odparłam.

Język począł mi się nagle plątać, jak gdybym była pijana. Michał nie przestawał obmacywać mojej sukni i wpatrywać się we mnie. Kręcił głową, by mnie obejrzeć ze wszystkich stron. Później zaczął palcami obrysowywać zarys białego fartucha na ciemnej sukni.

- To bardzo ładne zestawienie - rzekł. - Widzę je. Ciemno - białe. A teraz cofnij się o krok... Jeszcze widzę. Cofnij się jeszcze trochę... Nie, teraz już nie widzę. Wróć, proszę... O! Teraz znowu widzę! Zdaje się, że dostrzegam również twoje zęby... biały połysk... i twoje włosy.

Dotknął mych zębów, a ja cieszyłam się, że są takie szerokie, i siedziałam jak najspokojniej, by mu nie przeszkodzić w tej czynności o tak niesłychanym znaczeniu.

- No więc, Mony - rzekł - zdaje się, że mimo wszystko mieliśmy szczęście!

Co by tu jeszcze było do wspomniania? Najpierw przyszła zima i nic się nie działo; ludzie zaczęli tracić powagę i żartować sobie z tej wojny, która nie była wojną. Od północy dał mroźny wiatr. Krzysztof zatopił się zupełnie w wielkości i upadku państwa bizantyjskiego. Później wiatr zmienił kierunek, powiał z południa, i z gór zaczęły schodzić pierwsze lawiny. Pewien niski, gruby generał zaczął w Staufen przebąkiwać o konieczności przeglądu wojskowego; każdy mężczyzna, kobieta i dziecko poczęło chodzić ze strzelbą i ćwiczyć się w strzelaniu. Wszyscy oświadczyli, że raczej

zginą na progu swych domostw niż pozwolą sobie wydrzeć wolność.

Jeszcze później zagwizdały kosy i Finlandia została pokonana. Jaskółki punktualnie nadleciały nad równiny i padła Norwegia. A gdy zakwitły fiołki i jabłonie, przysła kolej na porażkę Holandii i Belgii. W tej chwili, gdy pierwsze zielone wisienki zwisają z gałęzi naszej wiśni, nastąpiło załamanie się Francji. Ciekawa jestem, czy gdy leszczyny zamienią swe zielone pąki na twarde, brązowe skorupki, istnieć jeszcze będzie Anglia?

Dziś rano przyniosłeś mi, Michale, pierwsze poziomki; własnymi oczami wypatrzyłeś je czerwieniejące w zieleni przydrożnej trawy, a ty, Krzysztofie, przyszedłeś dziś rano z włosami wilgotnymi od rosy, by się ze mną pożegnać.

Czy pamiętasz jeszcze tę ciemną, mglistą noc, kiedy zalewałam się łzami na werandzie? Wydaje mi się, że to było tak dawno, w jakichś zamierzchłych czasach; na świecie panował jeszcze pokój, a z chwilą wybuchu wojny weszliśmy w nową erę. Długo musiałam się błąkać, zanim cię spotkałam, Krzysztofie, mój ukochany; czterdzieści cztery lata wędrówki po różnych gościach życia, a teraz, gdy cię wreszcie znalazłam, muszę pozwolić ci pójść na tę wojnę.

Na ciebie, Marcinie, mój dobry, prawy, uczciwy chłopcze, liczę najwięcej, i na twój spokojny, zrównoważony umysł, gdyż tacy jak ty są właśnie solą tej ziemi. Kocham cię równie mocno jak Michała, choć uważałeś, że zbyt go rozpieszczałam. Gryzmołę do ciebie ten list na dnie przepaści, przebiegam myślą całe moje życie w nadziei, że uda mi się znaleźć punkt, w którym wszystko się zdecydowało, zrozumieć, jak doszliśmy do obecnego punktu, i dokąd nas to wszystko zaprowadzi. Jestem jednak ciągle tak samo zdezorientowana, a siedzenie mam zupełnie zlodowaciałe. Nie boję się... wcale się nie boję. Nigdy się nie bałam. Nic mi się

przecież nie może stać. Pierwszą zasadą jest zachować równowagę ducha. Chciałam być treserką lwów! Boże! Zmiłuj się nade mną!

Mój Boże! Teraz nie pora na zgrywanie się. Wiesz przecież, że kocham cię bardzo. I ciebie kocham, Krzysztofie; żałuję, że nie powiedziałam ci tego dzisiaj rano. Kocham cię miłością upartą, - gorzką, zawilą, jasnowidzącą miłością, która trwa aż do końca.

Jestem trochę zmęczona, Krzysztofie. Chciałabym móc się wyciągnąć i zasnąć, przespać całą zimę i zbudzić się dopiero, gdy wojna się skończy, a dzika jabłoń znów okryje się kwiatem... Czy ma to dla ciebie jakieś znaczenie, najdroższy?

## ROZDZIAŁ VI

Słońce dosięgnęło wreszcie samej krawędzi szczeliny, w której siedziała skulona Marion, i zrobiło się jeszcze zimniej. Palce jej tak zeszywniały, że już nie mogła utrzymać w nich pióra. Tylko papieros trzymany w ustach zdawał się ogrzewać ją jak piecyk. Żaden papieros w życiu nie smakował jej tak bardzo; w tym miniaturowym żarze zdawała się tkwić kwintesencja wszelkiego dobra, wszelkiej siły, wszystkiego, co pachnie i może dodać człowiekowi otuchy. Gdy Marion wpatrywała się tak w żarzący koniec papierosa, przez sekundę zwidywało się jej, że jest to rozpalony żelazny piecyk w ciepłym pokoju, w którym niegdyś oddała się obcemu, choremu człowiekowi i poczęła Michała. Raz jeszcze, przez krótką chwilę, rozgrzał ją ten żelazny piecyk, ale potem zgasł i zimno chwyciło na dobre. Marion, upuściwszy niedopałek na dno przepaści, nastawiła ucha, by usłyszeć niepochwytne szelest jego upadku. Mróz odebrał czucie jej członkom, ale równocześnie niebywale wyostrzył jej zmysły. Jakimś szóstym zmysłem czuła, że Krzysztof doszedł już do lodowca i szuka jej teraz w każdej szczelinie. Ja i świat, pomyślała nagle, zostaliśmy zepchnięci w przepaść, z której nie potrafimy się wydostać, o ile ktoś nie przyjdzie nam z pomocą.

Promień słońca był już szeroki zaledwie na cal. Marion miała jeszcze siedem papierosów i pół butelki nalewki gencjanowej. Trzykrotnie próbowała wołać i jodłować, ale jej głos nie miał już żadnego dźwięku. Przyklękawszy na zdrowej nodze, zaczęła grzebać w plecaku, szukając butelki. Mam nadzieję, że nie zamarzła, błędziło jej po głowie. Alkohol przecież nie zamarza tak łatwo, ty idiotko. Trzeba będzie zapytać Johna, w jakiej temperaturze zamarza alkohol. To znaczy Michała albo Marcina.

Miała trudności z wyjęciem korka swymi zgrabiałymi, zupełnie pozbawionymi czucia palcami, ale w końcu udało się jej tego dokonać i znowu wypła dwa łyki. Stał się cud. W minutę później czuła się zdrowa i silna, czuła się zdumiewająco dobrze. Opierając się o lód, wstała. Pochyliła się, by wydobyć głowę spod sklepienia lodowej wnęki, które, jak się jej zdawało, tłumilo jej głos, gdy wołała. Była to pozycja bardzo ryzykowna, zwłaszcza wobec złamanej nogi. Hopla! Jestem królową przestworzy, pomyślała Marion,. pełna uznania dla siebie. Hej! Podajcie mi wszyscy ręce. Otóż to. Dziękuję wam, drodzy przyjaciele.

Utrzymując równowagę na lodowym cyplu poczęła nawoływać głośno, w równomiernych odstępach czasu, nie nazbyt często, by oszczędzić głos, i niezbyt rzadko, by czasem ktoś, mijając szczelinę, nie przeszedł nie zwracając na nią uwagi. Po jakimś czasie wydało się jej, że słyszy słaby odzew na swoje nawoływania. Zawołała znowu, umilkła i na nowo poczęła nasłuchiwać. Usłyszała tylko trzask lodu, z którym zdążyła się już oswoić, po czym ponownie wydała głośny okrzyk.

Była strasznie zmęczona i senna, ale czuła się nieźle. Należało raz jeszcze napić się nalewki, by pokonać senność i utrzymać dobre samopoczucie. Wydobyła butelkę z kieszeni, przytrzymując się równocześnie drugą ręką. Jej palce były zupełnie sztywne i bez czucia jak palce trędowatych. Butelka wypadła z nich; podskoczywszy dwa razy zatrzymała się wreszcie o występ lodu, tłukąc się równocześnie.

Marion z otwartymi ustami wpatrywała się w swój utracony skarb i nagle, zupełnie niespodziewanie, jak tyle razy w życiu, wybuchnęła śmiechem. Komiczne! Najkomiczniejsze, co się mogło zdarzyć! Pochyliła się, żeby lepiej widzieć szczątki swojej butelki. Leżały w małej kałuży alkoholu z miną tak skruszoną jak małe dziecko, gdy zmoczy

swoje majteczki. Widocznie sam Bóg chciał, bym zachowała trzeźwość, gdy Krzysztof mnie odnajdzie, pomyślała Marion i śmiała się dalej, we własnym śmiechu szukając ochrony przed mrozem i z wątpieniem.

Słońce dosięęło krawędzi i zgasło.